JEDNA DECYZJA MOŻE ZMIENIĆ CAŁE ŻYCIE W PIEKŁO.
TRZYMAJĄCY W NAPIĘCIU THRILLER PSYCHOLOGICZNY.

ZROBILIŚMY COŚ ZŁEGO

SONIA ROSA

FILIA

SONIA ROSA

ZROBILIŚMY COŚ ZŁEGO

FILIA

1.
WIOLETA

„Zaraz zginę” – przechodzi mi przez myśl, bo obawiam się, że tym razem on mnie zabije… Palący ból w płucach, brudna woda z mydłem wdzierająca się do ust, nosa i uszu, narastająca panika – walczę, ale on złapał mnie mocno, jest zbyt silny… Palce kurczowo zaciskam na obramowaniu umywalki, jego dłoń nadal trzyma mnie za kark, niczym bezdusznie przeznaczonego do utopienia kociaka. Kiedy w końcu łapie mnie za włosy i gwałtownie wygina moją głowę, spazmatycznie łapię oddech i krzyczę, ale mój krzyk pozostaje jedynie kwestią mojej wyobraźni, bo w łazience jest cicho.

– Zrozumiałaś, o czym rozmawialiśmy, suko? – pyta.

Kiwam głową na tak, wciąż się krztusząc, w skrajnej panice. W ustach czuję ohydny posmak wody z mydlinami, pieką mnie oczy, kręci mi się w głowie, nogi mam jak z waty. Już kiedyś mnie podtapiał, to nie jest pierwszy raz. Wiem, że to tylko kolejna „lekcja”, nauczka, które uwielbia mi dawać, jednak za każdym razem boję się o życie, wiem, jak cienka jest granica pomiędzy resztką rozsądku a pierwotnym, zwierzęcym instynktem zabójcy. Co, jeśli któregoś razu on przytrzyma moją głowę pod wodą tak długo, aż zwiotczeję w jego ramionach i nigdy więcej nie zaczerpnę powietrza? Co, jeśli utopi mnie w wannie, zlewie czy umywalce, a ja stanę się po prostu jedną z tych cichych ofiar, bestialsko mordowanych przez domowych oprawców w czterech ścianach mieszkania, które miało być miłosnym gniazdkiem, a zamieniło się w ponurą więzienną celę?

„Mężczyzna, który z sadystyczną przyjemnością maltretuje własną kobietę, pewnego dnia może się w porę nie zatrzymać” – myślę, wycierając się w jeden z ręczników. Wtedy on wyrywa mi go z ręki i ciska nim w moją twarz.

– Zatkana umywalka, brudne ręczniki i upstrzone plamami lustro – cedzi. – I ty masz czelność nazywać siebie panią domu?! Plugawisz to miejsce swoim niechlujstwem. Jesteś karykaturą kobiety! – zarzuca mi i łapie mnie za włosy u nasady karku. – Słyszysz, co mówię, dziwko?! – syczy prosto do mojego ucha.

Nagle jego dłonie ugniatają moje pośladki, wślizgują się pod bluzkę i zaciskają na moich piersiach.

– Zabawmy się! – rozkazuje. – Może chociaż do tego się nadajesz.

Opuszcza moje legginsy i bierze mnie od tyłu, opartą o umywalkę. W lustrze widzę nasze twarze. W jego oczach jest obłęd, w moich przerażenie.

Kiedy ze mną kończy, wyjmuje z szafki pod umywalką cytrynowy płyn do mycia glazury i każe mi się zabierać za sprzątanie.

– Jeśli łazienka nie będzie lśnić, a umywalka wciąż będzie zatkana, tym razem cię w niej utopię – mówi cicho, starannie akcentując każde słowo, jakby recytował jakąś aktorską kwestię.

Sięgam więc po jedną z małych kolorowych gąbek, moczę ją i wyciskam odrobinę za dużo perfumowanego płynu, którego drażniący zapach momentalnie wypełnia całe pomieszczenie. Szoruję wannę, kiedy on wraca do łazienki i, nie zwracając na mnie uwagi, podnosi klozetową deskę, żeby się wysikać. Kiedy stoi tyłem do mnie, wyobrażam sobie, że przynoszę z kuchni nóż i jednym wprawnym ruchem ucinam mu fiuta. Szybko jednak otrząsam się z takich myśli i staranniej poleruję wannę. „Gdyby wiedział, co mam w głowie, zatłukłby mnie tu i teraz” – myślę, kiedy on myje ręce.

– Co na kolację? – pyta chwilę później.

„Twój ucięty kutas obsmażony w głębokim oleju” – myślę, ale na głos mówię coś o czekającej w lodówce potrawce z kurczaka, a on z aprobatą kiwa głową.

– Jedno trzeba ci przyznać, gotujesz świetnie – mówi i klepie mnie w tyłek, co, biorąc pod uwagę, że pochylam się nad wanną, wychodzi tanio i upokarzająco…

Kolację jemy przy świecach, które on zapalił i poustawiał na parapecie. Okna są niezasłonięte, mój mąż lubi, kiedy sąsiedzi mogą do woli przyglądać się naszej rodzinnej „sielance”. A tak przecież wyglądamy, siedząc razem przy stole – sielankowo. Zasinień na mojej szyi nikt zza okna nie zauważy, na to nie ma szans. W moim talerzu jest barszcz. Dziwi mnie to, bo tego dnia nie gotowałam zupy. Chwilę później zdaję sobie sprawę, że to gęsta krzepnąca krew, w której pływają kawałki rozmiękłych jarzyn, i budzę się z ochrypłym krzykiem.

Kolejny koszmar… Od jakiegoś czasu nie jestem już jego żoną, ale nadal je miewam. Lepkie od krwi, bolesne, realistyczne sny, w których wraca do mnie nasze pełne przemocy dysfunkcyjne małżeństwo. Zresztą prześladują mnie nie tylko koszmary, bo Adam wciąż jest realny, spaceruje tymi samymi ulicami, oddycha tym samym powietrzem, osacza mnie…

Siadam na łóżku. Norbert śpi obok. Tego wieczoru oboje dość dużo wypiliśmy i po raz pierwszy został u mnie na noc. Sypiamy ze sobą od kilku tygodni. To ja go poderwałam po jego powrocie do Polski, mając w tym ukryty cel. Nasz seks jest całkiem niezły, ale

nie tylko o to w tym wszystkim chodzi. Chcę, żeby coś dla mnie zrobił, potrzebuję go. Mogłabym wybrać na jego miejsce kogoś innego, ale ze względu na jego przeszłość to on wydaje mi się najodpowiedniejszy.

Budzę go pocałunkiem, a moja dłoń zaciska się na jego penisie i zaczyna go pieścić.

– Zabijesz go dla mnie – szepczę.

– Co? – Wyrwany ze snu pieszczotą i skupiony na przyjemności, Norbert chyba nie do końca wierzy własnym uszom.

– Mówię, że go dla mnie zabijesz. Adama, mojego byłego męża. Nie dlatego, że jestem noszącą w sobie zbyt wiele urazy, upokorzoną i zdradzoną byłą żoną. Zrobisz to dlatego, że on jest potworem – wyjaśniam.

Chwilę później biorę do ust jego penisa i doprowadzam kochanka do finiszu, a on w milczeniu zaciska palce na moich włosach, aż z cichym jękiem dochodzi. Wtedy wstaję i bez słowa naga i bosa idę do kuchni. Pijąc sok, patrzę w okno. Na zewnątrz wstaje dzień, niebo barwią kolory przedświtu, radośnie śpiewają ptaki.

„Tak, podjęłam już decyzję i nie zamierzam jej zmieniać. Chcę, żeby Adam zginął" – myślę, zaciskając dłonie na zimnej szklance z pomarańczowym sokiem.

Chwilę później w kuchni zjawia się Norbert, podchodzi do mnie i obejmuje mnie od tyłu.

– Za ile? – pyta tylko, zaskakująco gładko przechodząc do kwestii finansowych.

Podaję mu więc sumę. Niemałą, ale też nie oszałamiającą.

– Pierwsza rata w gotówce przed mokrą robotą, druga po – zaznaczam.

On jeszcze przez chwilę się waha, jednak w końcu mówi „okej". Na myśl o tym, że takie banalne krótkie słowo przypieczętowuje los Adama, uśmiecham się pod nosem. „Ten popaprany sadystyczny sukinsyn pewnie jeszcze śpi, nie mając pojęcia, że właśnie dogadałam się z jego mordercą" – zdaję sobie sprawę.

I nagle myślę o Alicji. Nienawidzę jej nawet teraz, po naszym rozwodzie z Adamem, chociaż przecież nic już nas nie łączy. Widząc ją na ulicy, przechodzę na drugą stronę. Jej syn jest potworem, ona również w pewien sposób. Będąc moją teściową, musiała się domyślać, że on mnie maltretuje, widywać moje siniaki, czuć, że coś jest nie tak. Nigdy jednak nie reagowała, nie pytała, czy wszystko w porządku, nie oferowała pomocy. Wręcz przeciwnie, czasem miałam wrażenie, że cieszyła ją moja dramatyczna sytuacja, jakby to, że znalazłam się w potrzasku, sprawiało jej sadystyczną przyjemność. „Bezduszna suka" – myślę, zaciskając dłonie w pięści. „Być może z nią też kiedyś się policzę, ale najpierw odpłacę za wszystko Adamowi" – obiecuję sobie.

Parząc kawę, Norbert pyta, jak ma to zrobić.

– Masz jakieś szczególne preferencje? Utopienie? Dźgnięcie nożem? Upozorowane samobójstwo? – Teraz, kiedy dobiliśmy targu, a on otrząsnął się z pierwszego szoku i zaskoczenia, jego głos jest spokojny i rzeczowy, mówi o tym tak, jakby pytał, czy wolę szpinak od brukselki.

– Zabij go na śmierć. – Uśmiecham się krzywo, przyglądając się, jak zalewa wrzątkiem filiżanki z kawą. – Po prostu go zabij.

* * *

Godzinę później, kiedy mój kochanek wychodzi, samotnie siadam na balkonie i zapatrzona w połyskujące w promieniach porannego słońca jezioro, myślę o swoim małżeństwie. Przed ślubem i tuż po nim było prawie idealnie. On o mnie walczył, adorował mnie i zasypywał kwiatami, ale z czasem… Początkowo nie podejrzewałam, w jakie piekło zamieni się niebawem moje życie. Owszem, Adam bywał nerwowy i czasem uderzał pięścią w ścianę, kiedy się kłóciliśmy, ale nigdy bym nie przypuszczała, że kiedykolwiek podniesie na mnie rękę. Aż do tamtej sobotniej letniej nocy, kiedy wracaliśmy od znajomych…

Był pijany, ja też i nagle zachciało mi się igraszek.

– Zróbmy to tu. – Pociągnęłam go w stronę jednej z otwartych bram starych kamienic, a on brutalnie mnie odepchnął i uderzył w twarz.

– Chcesz się pieprzyć w cuchnącej szczynami bramie, jak jakaś tania kurwa?! – wrzasnął i zaczął okładać mnie pięściami po plecach, twarzy i brzuchu.

Kiedy upadłam, kopnął mnie tak, że przez chwilę nie mogłam złapać oddechu. Do domu dosłownie mnie zawlókł – ciemnymi, pustymi ulicami naszego miasteczka, zalaną krwią, zszokowaną i zapłakaną. Zamknęłam się w łazience, chcąc umyć twarz i odkazić zdarte do krwi kolana, a on wyważył drzwi i pierwszy raz mnie zgwałcił.

Dawno o tym nie myślałam, to nadal jest dla mnie zbyt bolesne. Jego wykrzywiona wściekłością twarz tuż nad moją, przekrwione oczy i wyraźna woń przetrawionego alkoholu w oddechu, ciężkie mężowskie cielsko wgniatające mnie w zimną podłogę, ból w podbrzuszu i jego chrapliwy oddech – wspomnienie tamtej nocy i amoku, w który wtedy wpadł, sprawia, że robi mi się niedobrze i z trudem utrzymuję w żołądku wypitą z Norbertem kawę.

Później było już tylko gorzej… Adam bił mnie, kiedy zastawał w mieszkaniu bałagan i kiedy – jego zdaniem – nie okazywałam mu czułości. Tłukł mnie pasem z ciężką metalową klamrą, podtapiał, przyduszał, okładał pięściami i kopał, w zależności od nastroju

i kalibru mojego „przewinienia”. Do tego wyzwiska, wymuszanie seksu i brutalne gwałty – wszystko to działo się w czterech ścianach naszego mieszkania, tego samego, w którym on mieszka teraz z tą swoją nową kochanicą.

Na myśl o tej dziewczynie czuję współczucie. Jest znacznie od niego młodsza i chyba bardziej naiwna, niż się jej wydaje. Od jakiegoś czasu ją obserwuję, czasem, nocami, wystaję pod ich oknami. Sama nie wiem, czemu to robię… Z obawy o nią? A może z jakiejś chorej, pochrzanionej tęsknoty za dawnym życiem? Nie, to jednak nie to. Kiedyś kochałam Adama tak bardzo, że bez wahania wskoczyłabym za nim w ogień, ale on własnoręcznie zabił tę miłość, wielokrotnie ją zgwałcił, splugawił i podeptał…

* * *

Po południu idę przed jego kamienicę i kręcę się tam, dopóki on nie pojawia się w drzwiach gabinetu stomatologicznego, którego jest właścicielem. Wtedy chowam się za jedno z zaparkowanych tam aut i uśmiecham się pod nosem. „Chryste, naprawdę to zrobię” – mówię sobie, a serce wali mi w piersi tak mocno, jakby chciało wydostać się z klatki żeber i zacząć żyć własnym życiem. „Nie zasługujesz na to, żeby oddychać, ty sukinsynu” – myślę.

Chwilę później idę w dół ulicy i wybieram numer Norberta.

– Słuchaj, wiesz, że dziś rano mówiłam poważnie? – pytam, kiedy odbiera.

– Wiem – mówi.

I tyle.

Słowo się rzekło.

2.
ZUZANNA

Gdyby ktoś mi kiedyś powiedział, że będę pracować jako pomoc stomatologiczna i w dodatku to polubię, nie uwierzyłabym. A jednak od prawie dwóch lat to właśnie robię. Moim szefem jest Adam, który jest również moim kochankiem. Ale może „kochanek" to mało precyzyjne określenie? Odkąd rok wcześniej się do niego wprowadziłam, wolę o nim myśleć „mój facet", chociaż on ma ponoć alergię na poważne związki i nie chce nawet słyszeć o ślubie. „Już kiedyś byłem żonaty" – ucina każdą dyskusję na ten temat. Początkowo bardzo mnie to irytowało. Jestem, niestety, z tych romantycznych dziewcząteк, którym od smarkatych lat marzyła się biała suknia z trenem, przezroczysty woal welonu i złota obrączka na palcu. Jednak żadna laska nigdy nie wyszła dobrze na przypieraniu faceta do muru, więc mówię sobie, że mam mnóstwo czasu.

Miesiąc wcześniej skończyłam dwadzieścia trzy lata, mogę jeszcze szaleć, zanim zdecyduję się na domek z białym płotkiem i wskażę palcem kandydata na ojca moich dzieci. Na razie pracuję w tygodniu, bawię się w weekendy, popalam trawkę i na okrągło pieprzę się z Adamem. Dawniej robiliśmy to nawet w pracy, gdzieś pomiędzy pacjentami, ale odkąd zatrudniliśmy do pomocy Kamilę, seks w godzinach służbowych przeszedł do historii.

– Cześć, pupilko szefa! – Siedzę na dziedzińcu, dojadając kanapkę, kiedy z salonu wychodzi Kamila. – Adama nie ma? – pyta i siada na jednej z drewnianych palet, opierając się plecami o ścianę kamienicy.

– Pojechał do hurtowni. Potrzebujesz czegoś?

– Nie. Chcę tylko w spokoju zapalić bez umoralniających gadek ze strony przełożonego. – Kama wystawia okrągłą twarz do słońca, po czym wyjmuje z kieszeni fartucha fajki i zapala papierosa. – Jesteś z nim szczęśliwa? – pyta nagle, po dłuższej chwili milczenia, wgniatając w beton niedopałek, chociaż zaciągnęła się ledwie dwa razy.

– Z Adamem? – Jej pytanie mocno mnie zaskakuje, bo nigdy wcześniej nie rozmawiałyśmy na temat mojego związku.

– No a z kim? – mruczy, czubkiem białej tenisówki trącając dogaszony niedopałek, jakby postanowiła się jeszcze nieco nad nim popastwić.

– Tak, a czemu pytasz?

– Po prostu… Majka mówiła, że w sobotę trochę się posprzeczaliście, a on dosyć ostro zareagował, i pomyślałam, że…

– No jasne, więc chodzi o sobotę. – Krzywię się na wspomnienie grilla u znajomych i naszej kłótni, którą on zakończył, szarpiąc mnie za ramię na oczach ponad dwudziestu podpitych gości. – Poniosło nas, okej? Nic wielkiego się nie stało.

– Czyli nie muszę się martwić? – Kamila spogląda na mnie z taką przenikliwością, że aż parskam śmiechem.

– Zapewniam cię, że Adam mnie nie bije, nie zamyka w piwnicy i nie maltretuje – rzucam lekkim tonem.

– To poważna sprawa, więc może się ze mnie nie nabijaj? Moją kuzynkę mąż lał latami, zanim zdecydowała się na rozwód.

– Kama, co ty pieprzysz?! – Podnoszę głos, poirytowana jej napastliwym zachowaniem i wtykaniem nosa w nie swoje sprawy. – Adam nigdy mnie nie uderzył. Czasem, kiedy się kłócimy, wali pięścią we framugę drzwi. Zdarza mu się mnie szarpnąć, ale nigdy…

– I uważasz, że to w porządku? – wchodzi mi w słowo.

Chwilę później wyjmuje z włosów klamrę, rozpuszcza je i potrząsa głową, a jej ognistorude pasma iskrzą w popołudniowym słońcu.

– Jest mi z nim dobrze – ucinam dyskusję. – I wiem, że on ci się podoba, więc może nie udawaj mojej przyjaciółki – syczę.

– Wow… Poważnie? Chciałam dobrze, a ty…

– Lecisz na niego, wszyscy to wiedzą! I naprawdę cholernie cię boli, że to ja co noc grzeję mu łóżko! – wygarniam jej, skoro już tak szczerze sobie gawędzimy.

– Zuza, ty mówisz serio? – Kamila podnosi się z palety, podchodzi do mnie i spogląda mi w oczy. – Myślałam, że się zaprzyjaźnimy. Już pierwszego dnia pracy pomyślałam, że chciałabym mieć taką przyjaciółkę jak ty. Myślałam, że…

– Nie wierzę w przyjaźń w naszej sytuacji. Podrywasz Adama, przecież widzę. Chcesz się do mnie zbliżyć, żeby być bliżej niego – zarzucam jej, wciąż uparcie obstając przy swoim.

– Ja pierdolę, nie wierzę! Teraz to już cię pogięło! Nigdy nie…

– Wracaj do pracy, zaraz masz kolejną wizytę – wchodzę jej w słowo.

– Nie jesteś moją szefową – cedzi. – Pracujesz na takim samym stanowisku, nie możesz mi rozkazywać.

– Dobrze, więc nie wracaj do pracy. Olej pacjentów, wyleć stąd na zbity pysk i szukaj szczęścia gdzie indziej! – podnoszę głos.

Chwilę później samotnie wchodzę do gabinetu i szybkim krokiem przemierzam wąski korytarz na jego tyłach.

– Zuza, nie chcę się z tobą kłócić. – Przeglądam zeszyt z terminami wizyt, kiedy Kamila zachodzi mnie od tyłu i łapie za rękę. – Po prostu się o ciebie martwię. Ludzie mówią, że Adam jest nerwowy i porywczy. Chciałam się tylko upewnić, czy wszystko między wami gra.

– Więc się upewniłaś – rzucam mało sympatycznym tonem.

– Nie lecę na Adama. Okej, jest lekarzem i jest cholernie gorący, ale…

– Od teraz, żeby było jasne, gadamy tylko na tematy służbowe – wchodzę jej w słowo. – Wizyty, pacjenci, zamówienia, zabiegi. Pilnujesz własnego nosa albo znajdę sposób, żeby Adam zatrudnił na twoje miejsce kogoś mniej ciekawskiego – dodaję, a ona gwałtownie czerwienieje i z niedowierzaniem potrząsa głową.

Chwilę później zamyka się w łazience dla personelu i siedzi tam prawie dziesięć minut. Kiedy wychodzi, z zaczerwienionymi od płaczu oczyma i gładko spiętymi włosami, zalewa mnie fala wyrzutów sumienia. „Potraktowałam ją zbyt ostro" – myślę i chociaż w poczekalni siedzą dwie pacjentki, podchodzę do niej i obejmuję ją.

– Sorry, byłam podła – szepczę jej na ucho.

Pachnie nutą konwalii, tytoniu i czegoś, co kojarzy mi się z zapachem używanego przez moją matkę proszku do prania.

– Przegięłam, okej? – Głaszczę ją po plecach.

– Okej – mówi cicho, wciąż bliska płaczu.

Nie robi jednak żadnej łzawej sceny, za co jestem jej wdzięczna. Z całkiem przekonującym uśmiechem zaprasza do gabinetu młodą rudą dziewczynę w szarej sukience i bez słowa zamyka za sobą drzwi do jednego z pokojów zabiegowych.

Adam wraca z hurtowni kilka minut później, zaciąga mnie na zaplecze i całuje w usta. Pachnie wiatrem i czymś znajomym, swojskim.

– Tęskniłam – szepczę, przesuwając dłonie z jego pleców na pośladki. – Obiecaj, że wieczorem zaszyjemy się w mieszkaniu i wypijemy w końcu to czerwone wino.

– Obiecaj, że będziemy się pieprzyć – mówi mi na ucho, a jego dłonie wślizgują się pod górę od mojego uniformu.

– Przestań, zaraz mam pacjentkę.

– To może dasz się przelecieć, zanim się nią zajmiemy? – żartuje z ustami przy moim uchu.

– Świnia! – Ja też parskam śmiechem, a on zapowiada, że wieczorem nie wypuści mnie z łóżka.

Pomagając Adamowi przygotować pacjentkę do leczenia kanałowego, przypomniałam sobie niedawne spotkanie z Kamilą, w centrum miasteczka, przed kinem. Wychodziliśmy z seansu, ona szła na późniejszy. Kiedy nas zauważyła, spojrzała na Adama, dosłownie pożerając go wzrokiem. „A jeśli z nią też zacznie sypiać?" – przechodzi mi przez myśl.

Kiedy go poznałam, byłam jego pracownicą. Młodszą od niego o jedenaście lat i całkowicie od niego zależną. Na matkę od dawna nie mogłam liczyć, przynajmniej finansowo, z ojcem nie miałam kontaktu. Praca w jego gabinecie spadła mi jak z nieba, nasz związek również. Uwiódł mnie, omotał, rozkochał w sobie i całkowicie od siebie uzależnił. Mieszkałam u niego, pracowałam dla niego i co noc grzałam mu łóżko. Tak, nasz związek był dla mnie wszystkim, ale czy jego świat również kończył się na mnie? Czasem, kiedy wychodzimy na kręgle lub bilard, widuję ten charakterystyczny wygłodniały błysk w jego oczach… Gapi się na inne dziewczyny, pożera je wzrokiem, a ja sterczę obok i mam ochotę zabrać go do domu, kochać się z nim, odgrodzić go od wszystkich pokus świata, uwięzić w czterech ścianach.

Czy on jeszcze mnie kocha? A może Adam już myśli o kimś nowym, chociaż jeszcze nie do końca sobie to uświadamia? Co, jeśli któregoś dnia uwiedzie go Kamila? Co, jeśli on wyśle mnie po kawę do kafejki dwie ulice dalej albo każe mi podskoczyć do mieszkania po zapomniane dokumenty, a ona wślizgnie się za nim na zaplecze, rozwiąże troczek od jego służbowych szafirowych spodni, w których wygląda jak serialowy chirurg, chociaż wcale nim nie jest, i wsunie dłoń w jego bokserki? A później przeleci ją na podłodze, mocno i drapieżnie, jak kiedyś mnie, i zaczną się spotykać za moimi plecami? Co, jeśli on każe mi się spakować i poszukać sobie innego lokum, a ja zostanę z niczym?

„Kurwa!" – klnę w myślach i skupiam się na pracy. Tak, jestem o Adama zazdrosna. Może dlatego, że świetnie wiem, jak wiele lasek chciałoby być na moim miejscu? Jest przystojny, wysoki, pewny siebie i świetnie ustawiony finansowo. Kamienica, którą odziedziczył po zmarłym bracie dziadka, nie tylko pozwoliła mu otworzyć biznes na parterze, ale i zbierać comiesięczny czynsz od lokatorów. Sam mieszka na ostatnim piętrze, naprzeciwko emerytowanej pary nauczycieli, a kasa, którą zarabia na wynajmie, pozwala mu na lekkie i wygodne życie. Gabinet też świetnie prosperuje, chociaż jest tylko jego planem B, biznesem, który również przynosi jako taki dochód, ale gdyby miał taki kaprys i znudziłoby mu się bycie dentystą, mógłby go zamknąć i żyć z dnia na dzień, bez planu i celu. Mówi się, że miłość i finanse nie powinny iść ze sobą w parze, ale ja, córka ledwo wiążącej koniec z końcem samotnej i ostro popijającej matki, potencjalnemu kandydatowi na faceta zawsze najpierw zaglądałam do portfela, a dopiero później w spodnie. W przypadku Adama zawartość jednego i drugiego była równie kusząca, co było wabikiem dla mnie, ale i dla innych lasek.

„Muszę mieć oko na Kamilę" – obiecuję sobie, bo w jej gadki o chęci zaprzyjaźnienia się ze mną wciąż jakoś nie potrafię uwierzyć. Leci na niego, widzę to w jej oczach i boję się, że on też w końcu to dostrzeże. Ale ja nie oddam go bez walki… Nie

oddam go pierwszej lepszej tylko dlatego, że go sobie upatrzyła. Przecież świetnie wiem, że zawsze był bezradny w obliczu pokusy. Kiedy pierwszy raz się z nim przespałam, był jeszcze żonaty…

3.
ZUZANNA

W piątek wieczorem przyjeżdża do nas matka Adama, Alicja. Nigdy mnie nie lubiła, nie taką kobietę widziałaby u boku swojego wychuchanego jedynaka… Jednak dla zachowania miłej atmosfery przy stole obie trzymamy języki za zębami, nie docinając sobie. Wręcz przeciwnie, kiedy Alicja wchodzi do mieszkania, ciągnąc za sobą piżmową smugę perfum, uśmiecham się, biorę od niej mokrą parasolkę i kłamię, że miło ją widzieć. Tak naprawdę wolałabym natknąć się na żmiję bądź kobrę, ale tę akurat myśl zachowuję dla siebie. Adam stoi tuż obok, ucieszony widokiem matki. Kocha ją miłością ślepą i bezbrzeżną, jest typowym maminsynkiem niepozwalającym powiedzieć na Alicję złego słowa.

– Pięknie wyglądasz – mówi, w jego oczach widzę niekłamany zachwyt.

Ale fakt, wiedźma wygląda świetnie. Ma pięćdziesiąt siedem lat i ciało bogini. Nie wiem, czy to joga, czy może baba podpisała cyrograf z diabłem, ale sprawia wrażenie piętnaście lat młodszej i dokładnie tak się zachowuje. Jest radosna, roześmiana, pewna siebie i zwinna – któregoś dnia Adam pokazał mi filmik, na którym ćwiczyła, i jestem pewna, że nawet ja, mając dwadzieścia trzy lata, nie jestem aż tak rozciągnięta. Ubiera się równie dobrze, jak się prezentuje. Tym razem ma na sobie czarne legginsy, szarą bluzkę z nadrukiem w złocone motyle i botki na cienkich obcasach. Jej sięgające ramion włosy są modnie wycieniowane, z przodu zdobią je nieco jaśniejsze pasemka. Ma klasę i kasę, a może tylko kasę? Tak czy inaczej, wygląda bosko.

– Rozgość się, proszę – mówię, płynnie wchodząc w rolę gospodyni, chociaż akurat tego dnia jej wizyta jest mi szczególnie nie na rękę.

Spóźnia mi się okres i czuję się nadęta jak balon, a ból w krzyżu sprawia, że mam ochotę zwinąć się w kłębek, wpełznąć pod koc i zapomnieć o całym świecie. Ale nic z tego. Alicja wchodzi do salonu i lustruje wzrokiem pokój z miną, którą mogłaby zrobić Rozenek podczas testu białej rękawiczki. Jednak matka Adama poprzestaje na skubnięciu jednego z liści monstery i zasiada za stołem, czekając na obsłużenie, niczym królowa. O tym, że pomoże mi w kuchni, mogę zapomnieć.

Adam robi jej drinka. Niska szklanka, kilka kostek lodu, odrobina whisky. Zawsze pije to samo, to jedno nigdy się nie zmienia.

– Dobrze wyglądasz, synku. – Alicja gładzi go po policzku, jej jasne oczy błyszczą.

– Ty też – mój facet odwzajemnia komplement i siada obok niej przy stole.

Mnie nie pytają, czy chcę whisky. Moją rolą jest podanie kremu z brokułów, bagietki i surówki z pora, którą zrobiłam na tę okazję. Sernik zaserwuję później, a ona zje olbrzymi kawałek i nawet ta kaloryczna bomba nie wejdzie jej w biodra. „Wiedźma” – myślę.

Z pokoju dochodzi ich śmiech. Jej brzmi perliście, ale też nieco kokieteryjnie, jest z tych kobiet, które, spragnione adoracji i podziwu w męskich oczach, w pewien niewinny, ale wyraźny sposób flirtują nawet z własnymi synami.

– Nawet sobie nie wyobrażasz! – chichocze, opowiadając coś Adamowi.

Włączam czajnik i jego odpowiedź niknie w szumie.

Opiekając bagietkę, myślę o matce. Ona nigdy nie była pewną siebie żoną radcy prawnego, jak Alicja. Nie wygląda jak milion dolarów i nigdy wcześniej nie wglądała. Jej życie to nieustanna zaciekła walka. O kasę na rachunki, jedzenie i lepszą przyszłość. Mój ojciec odszedł, kiedy miałam pięć lat, porzucił nas na pastwę losu, obojętny na to, co się z nami stanie. Matka nienawidzi mężczyzn, nie ufa im, a jednak stale kręcą się koło niej nowi kolesie. Poznaje ich w knajpach, w których od lat pracuje jako kucharka, czasem nad jeziorem. Sypia z nimi, marząc o dniu, w którym zobaczy w ich oczach miłość, ale widzi jedynie obojętność i chwilową chuć. Wtedy sięga po następnego, ale on nie jest lepszy od poprzednich. Wykorzystują ją, bo sama im na to pozwala. Nie potrafi inaczej. Czasem płacze, ale zawsze nosi głowę wysoko. Spryskana tanimi kwiatowymi perfumami z miejscowej drogerii, z siwym odrostem na skroniach, w kieckach z lumpeksu, wciąż jeszcze wierzy w miłość. „Może mam to po niej? – zastanawiam się. – Może ja też rozpaczliwie pragnę miłości, widząc ją nawet tam, gdzie nigdy jej nie było?”.

Kiedy wracam do salonu, Adam pokazuje coś matce w swoim telefonie, a ona szeroko się uśmiecha. Stawiam przed nią czarkę z zupą, ale nawet na chwilę nie podnosi na mnie wzroku. Dla niej jestem niewidzialna, mogłabym nie istnieć. Myślę, że ona po prostu czeka, aż Adam się mną znudzi, przyczaiła się. Jest mądra, nie krytykuje mnie otwarcie, nie odradza mu związku ze mną. Mężczyźni tego nie lubią, ma tego świadomość. Dlatego siedzi cicho, roztaczając wokół piżmową woń drogich perfum, i udaje, że aprobuje wybory syna. Doceniam jej spryt, imponuje mi, ale czuję, że nigdy nie uda mi się jej polubić. Łączy nas miłość do tego samego mężczyzny i udajemy, że gramy w jednej drużynie, chociaż najchętniej skoczyłybyśmy sobie do gardeł, walcząc o jego czas, uwagę i przychylne spojrzenia.

– Ty nie jesz? – Adam w końcu odkłada telefon i zanurza łyżkę w zmiksowanej przeze mnie zupie.
– Niezła – mówi Alicja.
Kłamie. Widzę to po niej, jestem stuprocentowo pewna. Kłamie, żeby nie wyjść na heterę, a syn, zadowolony z sielskiej atmosfery, gładzi ją po plecach i sięga po kawałek bagietki.
Idąc po moją porcję zupy, słyszę, że matka pyta go o gabinet.
– Interes idzie świetnie, mamy sporo nowych pacjentów – zapewnia ją.
Dziwne, bo mnie mówił ostatnio zupełnie co innego…
Kiedy jem, Alicja odsuwa ledwo napoczętą zupę i sięga po kawałek bagietki, a ja panikuję, zastanawiając się, czy mogłam podać coś bardziej wykwintnego i czy ona mnie nie wyśmieje, kiedy tylko stąd wyjdzie. Ale jest już za późno, mleko się rozlało.
Adam je z apetytem, należy do tych facetów, którym można łatwo dogodzić kulinarnie, co bardzo mnie cieszy. Chwali nawet parówki z bułką, które podaję czasem na kolację, mówi, że przypominają mu dzieciństwo.
– Co u ojca? – pyta Adam, a ona sięga po półmisek z surówką i nakłada sobie zaskakująco pokaźną porcję.
– Żyje, co jest plusem samym w sobie – odpowiada kąśliwym tonem, zanim kolejny raz wkłada do ust widelec.
Adam się śmieje, wymieniają rozbawione spojrzenia.
Alicja od lat nie kocha męża, ale wielbi jego pełny portfel. Tu prawie ją rozumiem, od dzieciństwa noszę w sobie głód luksusu, którego nawet ostatnie miesiące u boku Adama nie zdołały jeszcze zagłuszyć. Buty donaszane po dzieciakach sąsiadki, stary piórnik, przerabiane na dziesiątą stronę sukienki – te wspomnienia wczepiły się w moją skórę, przesiąkłam obrzydzeniem do braku pieniądza… Brzydzę się biedą, jest jak czyraki, zohydza mi świat. Chcę pachnieć drogimi perfumami, jeździć szpanerskim autem, kłaść się w pościeli z dobrego jakościowo materiału. Matka ma w szafie kilka kompletów z kory, niektóre są tak sprane, że boli mnie sam ich widok. Bieda pulsuje w moich żyłach bólem wspomnień, odziera je z godności. Kalafior z ziemniakami na kolację, podeschnięte bułki, najtańsze parówki z dyskontu. Czasem matka przynosiła jedzenie z knajp, w których pracowała, a mnie każdy kęs rósł w gardle, bo czułam się tak, jakbym usiłowała przełknąć kradzione.
Ale teraz mam pieniądze. Zarabiam niewiele, jednak sypiam z mężczyzną, który wie, jak się mną zająć. Adam jest hojny, co bardzo w nim cenię. Rozpieszcza mnie, obsypuje prezentami, hołubi. Jestem jego zabaweczką i kocham to. Jest jak ciepły kaszmirowy szal w jesienny wieczór. Wtulam się w niego i czuję się bezpiecznie. Nie rozważam tego, co może się wydarzyć, pomimo że mamy kasę. Skupiam się na tym, z jak wielu życiowych opresji on może nas wyciągnąć, mając ją, i świadomość tego zawsze poprawia mi humor.
– Może jednak powinnaś znaleźć sobie coś innego? – Głos Alicji wyrywa mnie z zamyślenia, przywraca do rzeczywistości.
Patrzę na nią, nie mając pojęcia, o czym mówi, w końcu przychodzi zrozumienie. No tak, praca w jego gabinecie… Adam, jako lekarz i właściciel, ma spore powody do samozadowolenia, ale mnie, kobiecie jej jedynego syna, praca na stanowisku asystentki stomatologicznej i sprzątanie pokojów zabiegowych zapewne jej zdaniem przynosi ujmę.
– Poszukam – kłamię, wysilając się na coś w rodzaju uśmiechu, a ona odwzajemnia się równie nikłym grymasem.
Obie wiemy, że bezczelnie łżę, i to prosto w oczy. Ona się domyśla, że jest mi wygodnie, a ja wiem, że za żadne skarby świata nie stracę z oczu Adama. Nie teraz, kiedy po gabinecie kręci się napalona na niego Kamila. Czasem myślę, żeby podłożyć jej świnię. Wmanewrować ją w kradzież, oskarżyć o złe traktowanie pacjentów, wplątać ją w jakąś aferę bądź nakłamać Adamowi na jej temat. Wiem jednak, że tego nie zrobię, nie potrafię. Umiem walczyć o swoje, ale nigdy nie byłam tego rodzaju suką. Tym bardziej że Kamila też nie ma łatwego życia. Mieszka z dwiema lokatorkami, ma jakieś długi, które spłaca za brata, i dorabia na boku, gdzie tylko może. „Nie zrobię jej tego – obiecuję sobie. – Chyba że to ona pierwsza zagra nieczysto”.
Podając sernik, widzę, że Alicja, nie czekając na syna, dolewa sobie whisky. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby to robiła, i zaczynam się zastanawiać, czy jednak coś jej nie trapi.
– Otworzę nową butelkę. – Adam wstaje zza stołu, podchodzi do barku i sięga w jego głąb, gdzie trzyma alkohole na szczególną okazję, czasem podarowane nam przez wdzięcznych stałych pacjentów.
„Jasne, dla mamusi wszystko, co najlepsze” – myślę, kątem oka obserwując Alicję.
Sernik, w przeciwieństwie do kremu z brokułów, chyba jej smakuje. Je z apetytem, zlizuje z łyżeczki z czekoladową polewę i z błogością mruży oczy.
– Jakie macie plany na wakacje? – pyta nagle, a ja nieruchomieję za stołem, zaskoczona tym, że sama ani razu jeszcze o tym nie pomyślałam.
– Nie wiem, może Kanary, ale dopiero grudzień, styczeń – odpowiada Adam, chociaż ja pierwszy raz słyszę o tej opcji.
„Kanary? Chciałabym” – myślę, podczas gdy Alicja zaczyna snuć wspomnienia ze swojego pobytu na Fuerteventurze.
– Zaparzyć kawy? Macie ochotę? – pytam, bo świetnie wiem, że ta wampirzyca pija kawę nawet po dwudziestej pierwszej, a później śpi jak dziecko.
– Ja chętnie się napiję. – Adam od razu podchwyca pomysł, ale jego matka, ku mojemu zaskoczeniu, odmawia.
– Wezwij mi taryfę – prosi syna i wyciąga upierścienioną dłoń, żeby ponownie pogłaskać go po policzku.

Nagle przez moją głowę przelatuje naprawdę paskudna, ohydna myśl… „Kiedy ona umrze, wszystkie te diamenty będą moje” – mrużę oczy, wpatrując się w migoczące kusząco oczka złotych pierścionków.

– Szkoda, że już wychodzisz. – Adam wygląda na rozczarowanego.

Pewnie chętnie posiedziałby dłużej w towarzystwie najukochańszej mamusi, wyżaliłby się jej na nudny los lokalnego przedsiębiorcy i dał się jeszcze pogłaskać po główce…

– Powiedziałem coś zabawnego? – Adam dostrzega mój kpiący uśmieszek i pochmurnieje.

– Nie, kotku. Po prostu coś sobie przypomniałam – kłamię.

Pochylam się nad nim, żeby pocałować go w usta, a kiedy on rozchyla wargi, wsuwam pomiędzy nie język, ze złośliwą satysfakcją odnotowując fakt, że to jest moja jedyna przewaga nad Alicją – to, że mogę się w ten sposób pieścić z mężczyzną, którego tak ukochała. Ja, nie ona. To moje imię szepcze, kiedy we mnie wchodzi, jej już nie woła nocami, nie potrzebuje. Dorósł, zmężniał, nie szuka pociechy w jej miękkich ramionach. To moje sutki ssie pośród aksamitnej ciemności sypialni, nie jej. Wykarmiła go mlekiem, ja karmię go rozkoszą… Zalewa mnie fala mściwej satysfakcji.

On odsuwa się pierwszy i chrząka zażenowany. Jego speszona mina mnie bawi, podsyca chwilowe i złudne poczucie wyższości kochanki nad matką.

Alicja mruży oczy, jej wzrok dosłownie mógłby zabić, ale chyba zdążyłam się już uodpornić na jej złe spojrzenia…

– Dzwoń mi po tę taryfę – ponagla go ostrym głosem, nagle cała jej przesłodzona matczyna czułość ustępuje miejsca buzującej w niej wściekłości.

„A więc jednak nasz namiętny pocałunek nieco ją wytrącił z równowagi – myślę. – Cóż, punkt dla mnie”. Adam, zaskoczony niespodziewaną zmianą jej tonu, wybiera numer jedynej w naszym miasteczku korporacji taksówkarskiej – sądząc po jego niepewnej minie, nie bardzo rozumie, co właśnie zaszło, nie potrafi odgadnąć przyczyny kiepskiego matczynego nastroju…

– Wszystko w porządku? – pyta matkę, a ona i jemu posyła piorunujące spojrzenie.

– Tak, czemu nie miałoby być? – syczy, odwrócona do mnie plecami, zapatrzona w ścianę sąsiadującej z naszą kamienicy.

Teraz cała mowa jej ciała wyraża skrajną dezaprobatę wobec wyboru jedynego syna, na chwilę przestała się kryć ze swoją niechęcią do mnie i gra w otwarte karty, chociaż, znając Adama, on pewnie i tak nie połapie się w rozgrywającej się na jego oczach kobiecej partyzantce.

Kilka minut później Alicja zakłada żakiet, wyjmuje z wanny podsuszoną parasolkę, którą tam włożyłam, całuje syna w oba policzki i kiwa mi głową na pożegnanie, jednak nawet nie podaje mi ręki. Mur, który od początku nas dzielił, tego akurat wieczoru jest wyjątkowo nieprzenikniony.

Adam schodzi za nią na dół, żeby odprowadzić ją do taryfy. Siadam na sofie, zdejmuję szpilki i wsuwam dłoń w koronkowe majtki, pieszcząc palcami łechtaczkę. Jestem mokra, soki z mojej szparki oblepiają mi palce. Kiedy zanurzam się w siebie, a moje palce zachłannie zasysają wąskie ściany pochwy, z mojego gardła wyrywa się cichy jęk.

Adam wraca na górę, rzuca klucze na komodę i głośno zatrzaskuje frontowe drzwi. Wołam go, płonę z pragnienia poczucia go w sobie, moje ciało wibruje niespełnieniem.

– Weź mnie – proszę, kiedy wchodzi do salonu, a on z błąkającym się w kącikach ust uśmiechem spogląda na moją uniesioną sukienkę i szeroko rozchylone uda.

Kiedy się rozbiera, przyglądam mu się, sycąc wzrok widokiem jego ładnie umięśnionego torsu, który porastają gęste jasne włoski, płaskiego, wyćwiczonego brzucha, mocnych ud i dyndającego pomiędzy nimi penisa, który w kilkanaście sekund się unosi, rosnąc na moich oczach.

Opada na mnie i wślizguje się do mojego wnętrza tak zwinnie i łatwo, jakbym była naoliwioną machiną, a on dopasowanym metalowym tłokiem. A później posuwa, posuwa i posuwa, mocniej, intensywniej, zachłanniej, a ja wiję się pod nim, czując, że w czubkach moich palców u nóg rozbrzmiewają pierwsze takty orgazmu.

– Tak – szepczę, a on wbija się we mnie kilka ostatnich razy i kończy z przeciągłym jękiem.

Szczytując, myślę o unoszącym się w salonie piżmowym zapachu perfum jego matki, ich woń odrzuca mnie i upaja jednocześnie, czuję się tak, jakby Alicja przyglądała się nam z odległego końca pokoju, cierpiąc katusze na myśl, że taka niedouczona, nieciekawa dziewucha jak ja zabawia się właśnie z jej przystojnym synem lekarzem, bezczeszcząc to wydane przez nią na świat idealne męskie ciało.

– Nalej mi whisky – proszę, kiedy on ze mnie wychodzi i całuje mnie w szyję.

– Jesteś dziś jakaś inna – mówi, podając mi alkohol.

– Wydaje ci się – kłamię, ale w głębi serca czuję, że ma rację.

„Dziś pokazuję pazury i sięgam po to, czego pragnę. Dziś jestem silna, wolna i pewna siebie” – stwierdzam w duchu.

– Przewietrzę tu. – Adam, który nie lubi zbyt intensywnych zapachów, nagi podchodzi do okna i otwiera je na oścież.

– Dawno nie kochaliśmy się tak jak dzisiaj – mówię, a on klęka obok sofy, wsuwa palce w mój dekolt i pieszcząc dłonią jeden z moich sutków, patrzy mi głęboko w oczy.

– Mówię poważnie, jesteś dziś jakaś inna…

– Może zrozumiałam, że jestem dla ciebie ważna? – odpowiadam pytaniem, a on muska kciukiem moją dolną wargę, jakby przygotowywał moje usta do pocałunku.

– A miałaś co do tego wątpliwości? – dziwi się.

– Nie. – Znowu kłamię, ale nie mam wyrzutów sumienia.

Życie nauczyło mnie, że każdy związek jest pełen kłamstw, nieczystych gierek i niedomówień. Okłamujemy rodziców, nauczycieli, sąsiadów, przyjaciół i rodzeństwo. Czemu więc nie kochanków? Wsuwam palce w jego gęste jasne włosy, opadające mu na czoło nieco zbyt długą grzywką.

– Kocham cię – mówię i tym razem nie mijam się z prawdą.

Tak, kocham go, nawet jeśli miłość do jego ciała nierozłącznie splata się z uwielbieniem stanu jego konta… Ale czemu to miałoby być coś złego? Wszyscy pragną pieniędzy. A jeśli mówią, że to nieprawda, kłamią.

4.
ZUZANNA

Rano budzę się pierwsza. Adam śpi, zawsze lubił dłużej pospać. Wysuwam się z łóżka i na palcach przechodzę przez sypialnię. W kuchni, pijąc wodę, uśmiecham się na wspomnienie zeszłego wieczoru. Teraz, w jasnym świetle czerwcowego poranka, wyraźnie dostrzegam to, jak zgasiłam Alicję. Może nawet wyszła wcześniej, bo nie mogła znieść mojego zachowania? Nigdy aż tak wyraźnie nie zaznaczałam, kto ustala reguły gry pod dachem jej syna. Ale wczoraj coś się we mnie przełamało…

Dzień jest pracowity. W soboty miewamy sporo pacjentów, pracujemy aż do siedemnastej. Później pobieżnie ogarniam pokoje zabiegowe, a Adam schodzi na dół z talerzem kanapek dla mnie. Kamili już nie ma, wyszła wcześniej, podobno źle się czuła. Sprzątanie jest wyłącznie na mojej głowie, ale myśl, że koleżanka nie będzie się kręcić przy moim facecie, działa jak kojący balsam.

– Zostaw to już, wpadniemy tu jutro i dokończymy. – Adam stawia talerz na jednym z krzeseł, wyjmuje mi z ręki miotłę i całuje mnie w szyję. – O dwudziestej mamy być u Błażeja – przypomina, chociaż przecież świetnie pamiętam.

Błażej, najlepszy przyjaciel mojego faceta, zaprosił nas na grilla. Jego działka leży tuż nad jeziorem, należy do niej niewielki drewniany pomost i całkiem spory brzozowy zagajnik. Uwielbiam to miejsce i marzę o podobnym, ale Adam nie przepada za naturą, wręcz przeciwnie – stojąca w centrum naszego miasteczka kamienica, którą kilka lat wcześniej odziedziczył, jest całym jego światem. Czasem myślę, że najchętniej nigdzie by się stąd nie ruszał. Lubi spędzać czas w gabinecie, czego też nie rozumiem. Intensywny zapach środków odkażających nieco mnie odrzuca, ale on zdaje się tego nie czuć. Cieszy się, siedząc za recepcyjnym kontuarem i odbierając telefony, niczym pan na włościach, podkreślać to, że to miejsce należy do niego. Kocha kręcić się po całym parterze, przesiadywać na dziedzińcu kamienicy i jeść kanapki na ławce przed budynkiem. A dzień, w którym zbiera od lokatorów czynsz, jest dla niego świętem. Płacą zawsze dziesiątego każdego miesiąca, bez wymówek czy zwłoki. A kiedy ma w ręku kasę ze wszystkich mieszkań, idzie dwie ulice dalej, do monopolowego, gdzie kupuje szampana. Czasem myślę, że jest w tym coś ohydnego, pazerna radość z posiadania więcej, niż mają inni. Ale później dociera do mnie, że ta kasa to nasze wspólne dobro, nawet jeśli on jeszcze sobie tego nie uświadamia. „Kiedyś się ze mną ożenisz, doktorku – myślę, patrząc na jego plecy i uśmiechając się pod nosem. – I zrobisz to w momencie, kiedy będzie ci się wydawało, że sam wpadłeś na pomysł oświadczyn".

Przed wyjściem do Błażeja biorę szybki prysznic i starannie układam włosy. Nie mogę się wbić w jedną z ulubionych kiecek, bo nad wodą żywcem pożarłyby mnie komary, więc stawiam na dżinsy i bluzę, ale za to rozpuszczone włosy. Adam je uwielbia. Lubi się nimi bawić, nawijać je sobie na palec, splatać w warkocz i przeczesywać. Sięgają mi za połowę pleców i ciągle je zapuszczam, bo on o to poprosił. Gdybym je obcięła, wpadłby w szał bądź się załamał – w sumie sama nie wiem, która z tych opcji jest bardziej prawdopodobna. Wiem tylko, że są moim atutem, dodają mi urody. Nie jestem klasyczną pięknością, choć nie brakuje mi wdzięku. Mam duże zielonoszare oczy, nieco zbyt masywny nos i pełne zmysłowe wargi, ale mój podbródek mógłby mieć delikatniejszą, bardziej kobiecą linię. Okalające go włosy łagodzą kontury mojej twarzy. Adam mówi, że mam włosy jak pierwsza kobieta, pramatka Ewa. Śmieję się wtedy, ale widzę, że on nie żartuje. Te długie, ciężkie pasma w kolorze gorzkiej czekolady są czymś w rodzaju jego fetysza, szaleje za nimi.

– Łazienka wolna? – pyta, kiedy spryskuję głowę lakierem i w samej bieliźnie wchodzę do salonu, w którym wciąż jeszcze zajeżdża piżmową wonią jego matki żmii.

– Tak – mówię, sięgając po bluzę.

– Szkoda, że jednak nie idziesz w sukience. – Adama nie zachwyca wizja mojego tyłka w spranych dżinsach.

Jest żenująco konserwatywny, jeśli chodzi o kobiecy ubiór, najchętniej widziałby mnie zawsze w sukienkach, rozpinanych sweterkach z perłowymi guzikami i uroczych bucikach z kokardkami. Kobiecość to dla niego staromodny przesłodzony styl i zero wulgarności. Żadnych tatuaży, czarnych paznokci czy kolczyków w nosie. Ceni klasykę, kręci go banał. Ja zawsze lubiłam nieco drapieżniejszy styl, pasował mi, więc czasem nad tym ubolewam, ale są w końcu na świecie znacznie większe dramaty.

– Jedziemy na działkę – przypominam mu. – Tam gdzie wysokie obcasy zapadają się w trawę jak wiśnie w bitą śmietanę na torcie.

– Mógłbym cię nosić na rękach. – Odgarnia włosy z mojej szyi, przekłada je przez moje lewe ramię i wącha mnie, jakby chciał się nasycić aromatem niedawnej kąpieli.

– Ubierz się, zaraz trzeba jechać – ponaglam go, a on obojętnie wzrusza ramionami.

– To tylko grill, nie premiera sztuki – stwierdza, jakbyśmy kiedykolwiek byli razem w teatrze…

W naszym otoczonym jeziorami miasteczku niewiele się dzieje i nawet takie imprezy jak grill u Błażeja wydają się kuszącą perspektywą w porównaniu z codzienną rutyną i oklepanym widokiem tych samych miejsc. Może gdybyśmy mieszkali w większym mieście, on, jako lekarz, miałby innych znajomych i bardziej kulturalne opcje, ale jest jak jest…

Wychodzimy spóźnieni i, co gorsza, jedziemy nad wodę służbową furgonetką w kolorze fuksji, której boki i tył zdobią wizerunki… zębów. Auto jest żenujące i strasznie tandetne, ale Adam się uparł, że dzięki temu będzie wpadać w oczy nowym pacjentom i mimo moich protestów zdecydował się na tę szkaradę.

– Co z twoim audi? – pytam, kiedy otwiera furgonetkę.

– Chcę się dziś napić, nie wezmę nowego wozu. A tego rzęcha mogę gdzieś obtłuc. – Wzrusza ramionami.

Nie zachwyca mnie wizja powrotu z kolesiem, który wleje w siebie kilka głębszych, ale nic nie mówię. Nie mam siły ani ochoty na kolejną kłótnię. Okres wciąż mi się spóźnia, czuję się napuchnięta niczym wyłowiony po tygodniu topielec, a przekonywanie Adama do zmiany zdania zazwyczaj i tak kończy się fiaskiem. Trudno, najwyżej będę go pilnować. Pięć piw i ani puszki więcej, później drzemka w wozie i powrót dopiero nad ranem. Wiem, że będzie się wściekać, ale jakoś przeżyję. O wódce może zapomnieć.

– Mama dzwoniła – mówi, kiedy ruszamy. – Chwaliła sernik.

– To dobra cukiernia z domowymi wyrobami.

– Cukiernia? Mama myślała, że upiekłaś go sama – dziwi się Adam, wygląda na nieprzyjemnie zaskoczonego, jakbym w jakiś sposób go zawiodła.

– Tak, a kiedy? Cały dzień pomagałam ci w gabinecie.

– Mogłaś wyjść, Kamila jakoś by sobie bez ciebie poradziła – mówi, a w mojej głowie zapala się ostrzegawcza lampka.

– A może po prostu chciałbyś zostać z nią sam na sam, jak kiedyś ze mną? – rzucam bez zastanowienia.

– Co ty pieprzysz?! – Adam wygląda na wkurzonego, moje insynuacje wyraźnie go urażają. – Zuza, co ty chrzanisz?!

– Mówię, jak jest. – Wzruszam ramionami, a on gwałtownie przyspiesza i wyprzedza jadącego przed nami opla.

– Zwolnij – proszę go. – Jeśli zatrzyma nas drogówka, umrę ze wstydu w tej przerdzewiałej budzie z zębami po bokach.

– Nie zapominaj o zębie na tyle. – Adam nagle się rozpogadza, na chwilę odrywa wzrok od drogi i puszcza do mnie oczko. – To tylko auto, nie nakręcaj się tak. Wiem, że lubisz luksus i wolałabyś jechać teraz audi, ale…

– Wiesz, że lubię luksus? – wchodzę mu w słowo.

Jego słowa bolą, chociaż przecież są prawdą. Łudziłam się jednak, że on nie odkrył jeszcze mojej namiętnej miłości do pieniądza…

– A nie lubisz?

– Jak każdy – mruczę.

– Nie każdy – rzuca, zanim włącza radio.

Na odludnie położoną działkę Błażeja docieramy, słuchając muzyki, ale chociaż wnętrze furgonetki wypełniają dźwięki bluesa, mam nieprzyjemne wrażenie, że atmosfera pomiędzy nami gęstnieje z minuty na minutę… I nagle coś we mnie wstępuje…

Nie chciałam się kłócić, nie planowałam spieprzyć nam weekendu… A jednak niewygodne słowa zdają się same wyskakiwać z moich ust, jakbym je wypluła wbrew własnej woli…

– Ty też na nią lecisz? – pytam, kiedy on parkuje w wysokiej trawie nad samym brzegiem jeziora. – No przyznaj, bądź ze mną szczery!

– Kurwa, Zuza, znowu zaczynasz?! – Z malującą się na twarzy złością Adam wyłącza silnik i sięga do klamry pasów.

– Po prostu pytam. Przecież pamiętam, jak to było z nami… Twoje przeciągłe spojrzenia, szukanie mojego towarzystwa, ciągłe prośby o przejście na zaplecze, a w końcu tamten pocałunek… Twoja żona pracowała wtedy w recepcji, kiedy całowałeś mnie w…

– A nie chciałaś tego?! – Adam wybucha, czerwienieje na twarzy i w złości wali dłonią w kierownicę. – Nagle to ja jestem tym złym?! O co ci chodzi?!

– Jasne, że chciałam! Byłeś przystojnym lekarzem, do którego wzdychała co druga pacjentka! Ale ty nie powinieneś tego chcieć – mówię cicho, a on wybucha głośnym śmiechem.

– Nagle to ja jestem zdradzieckim draniem? Dobrze, niech i tak będzie – rzuca przez zęby, rozjuszony moim atakiem. – Być może potrzebujesz czegoś w rodzaju rozgrzeszenia, bo w końcu ukradłaś męża innej kobiecie – mówi, patrząc mi prosto w oczy, i w ciasnej kabinie furgonetki powietrze jeszcze bardziej się zagęszcza.

– Ty fiucie! – zaczynam, zszokowana jego słowami. – Ukradłam męża innej kobiecie?! Płakałeś, kochając się ze mną po raz pierwszy! Twoje łzy spływały na moją twarz, a ty ze szlochem wyznałeś, że od dawna jesteś z Wioletą nieszczęśliwy! Nie pamiętasz już tego?! Teraz nagle to ja jestem złodziejką mężów?! – wybucham.

– Pamiętam, że byłaś mocno na mnie napalona. Aż żal by było nie skorzystać – cedzi, a ja uchylam usta w wyrazie bezbrzeżnego zdumienia, bo rozmowa zaczyna się ocierać o skrajną patologię emocjonalną.

– Wow – mówię bliska łez, a on krzywo się uśmiecha.

– No co? Nie tak było? – pyta. – Ściągałaś majtki przez głowę za każdym razem, kiedy zostawaliśmy w gabinecie sami.

Chcę coś odpowiedzieć, walnąć go słowami prosto w twarz, jak on walił nimi we mnie, ale do furgonetki podchodzi szeroko roześmiany Błażej z puszką piwa w dłoni i stuka w szybę od strony kierowcy.

– Co tak siedzicie?! – krzyczy. – Wyłaźcie, karkóweczka już czeka! Chyba że zamierzacie się tu pieprzyć? W takim razie nie przeszkadzam. – Rechocze.

– Bardzo śmieszne – mówię, łapiąc za klamkę. – Ubaw, kurwa, po pachy…

Wysiadam wściekła i obojętnie wymijam Błażeja, rzucając mu krótkie „hej".

– Co jest, pokłóciliście się? – Słyszę jeszcze jego głos, ale odpowiedź Adama już do moich uszu nie dociera.

Przy grillu siedzi kilkanaście osób. Na leżakach, rozkładanych turystycznych krzesełkach, pniakach i kocach rzuconych prosto na trawę.

– Hej, ludzie! – Macham im i kilkoro z nich mi odmachuje, ale nikt nie wykazuje szczególnego zainteresowania moją osobą.

Nad wodą słońce chyli się ku zachodowi, barwiąc jezioro pomarańczową poświatą, i przez chwilę jak zahipnotyzowana wpatruję się w jego taflę, w końcu samotnie ruszam w stronę niewielkiego drewnianego pomostu. Adam podchodzi do mnie kilka minut później, obejmuje mnie od tyłu i całuje w szyję. Jego zapach, dotyk i bliskość sprawiają, że momentalnie wyparowuje ze mnie złość.

– Kocham cię – mówi, a jego ciepły oddech owiewa mój policzek.

– Ja ciebie też – odpowiadam, wciąż zapatrzona w wodę.

– Zjesz coś czy najpierw się przejdziemy?

– Postoję tu, ty idź po karkówkę. Niewiele dzisiaj zjadłeś.

– Ty też – mówi.

– Może, ale nie jestem głodna.

– A piwo? Przynieść ci?

– Jasne – zgadzam się, chociaż wiem, że tego akurat wieczoru piwo z całą pewnością mi się nie przysłuży.

Boli mnie brzuch i jest mi niedobrze, a myśl o spóźniającym się okresie doprowadza mnie do szału. Piersi wydają się dwa razy większe niż w środku cyklu, szumi mi w głowie. Nagle wyobrażam sobie dziecko. Ciało z naszych ciał, krew z naszej krwi. „Co, jeśli wpadliśmy? Adam będzie zachwycony czy wręcz przeciwnie? Z żoną nie miał dzieci, podobno ona ich nie chciała. Czy ze mną będzie chciał je mieć?" – zastanawiam się, obserwując, jak bierze od Błażeja piwo dla mnie. Szybko jednak otrząsam się z myśli o zostaniu matką, zresztą sypiam z facetami od dawna, często zapominam o tabletce bądź kończy mi się zapas pigułek, a jakoś nie zachodzę. „Może nie mogę mieć dzieci?" – myślę i zaskakuje mnie obojętność, z jaką przyjmuję do świadomości taką właśnie opcję.

Na środku działki, kilkanaście metrów od brzozowego zagajnika, ktoś rozpala ognisko i kilka osób przenosi się bliżej paleniska, żeby usiąść przy ogniu. Patrzę, jak Adam z flaszką żubra w dłoni idzie w moją stronę.

– Zuza, przepraszam cię – mówi, wręczając mi ją. – Za to, co powiedziałem w aucie. To nie tak, że mnie uwiodłaś i perfidnie rozpieprzyłaś mi małżeństwo. Sam tego chciałem. Zapragnąłem cię w dniu, w którym przyszłaś na rozmowę o pracę, i chociaż miesiącami się oszukiwałem, że uda mi się nad sobą zapanować, nasz romans był nieunikniony.

– Wiem – mówię, bo przecież od początku wiedziałam, że nasza wina była obustronna i równo wyważona, jakby szale naszego cudzołóstwa rozłożyły się równomiernie.

Czasem, myśląc o Wiolecie, czułam się winna, ale szybko mi przechodziło. Nie potrafiła go uszczęśliwić, więc inna kobieta odebrała jej to, o co powinna dbać.

– Chcesz? – pytam i upijam kilka łyków piwa.

– Daj. – Adam bierze ode mnie flaszkę; nasze palce się stykają i przechodzi mnie dreszcz.

Kiedy pije, przyglądam się jabłku Adama na jego szyi, zaciśniętym na szyjce butelki pełnym wargom i zmrużonym oczom. Zapach jego wody kolońskiej otula mnie znajomym aromatem, przypomina gorące sceny seksu, sprawia, że znowu mam ochotę poczuć go w sobie.

– Wypełniasz mnie – mówię.

– Chyba dopełniasz – poprawia mnie, oddając mi butelkę.

– Wypełniasz – powtarzam, patrząc mu w oczy. – Kiedy się kochamy – dodaję, a on uśmiecha się pod nosem.

– Więc o tym mówimy – mruczy, a jego dłoń zaciska się na mojej piersi. – Poczekaj, aż się ściemni… Wypełnię cię w tamtym zagajniku.

– No tak, przecież każda zakrapiana impreza u Błażeja to jedna wielka orgia. – Śmieję się, a on mi wtóruje.

Dopijając piwo, które na przemian sączymy z jednej butelki, nie wiemy jeszcze, że za kilka godzin nasze życie wywróci do góry nogami incydent, który zabierze nam wszystko… Ale niby skąd mielibyśmy to wiedzieć, patrząc na bajeczny zachód słońca nad wodą? Przecież takie rzeczy zawsze spotykają innych ludzi. Przynajmniej dopóki nie spotkają nas…

5.
ZUZANNA

Koło północy wszyscy jesteśmy naprawdę mocno pijani, a impreza zaczyna przypominać rozpustne bachanalia. Część z siedzących przy płonącym ognisku par całuje się bądź pozwala sobie na więcej, parę osób zabawia się w brzozowym zagajniku, kilka innych w samochodach. Znajomi Błażeja, oboje mocno pijani, kochają się w trawie, tuż przy wejściu do lasku, jeden z ich kumpli omiata kotłujące się na ziemi splecione w miłosnym uścisku ciała snopem światła z latarki; dziewczyna piszczy, jej facet głośno klnie i każe mu spierdalać.

My siedzimy w milczeniu, trzymając się za ręce. Ochota na seks gdzieś ze mnie uleciała, teraz chcę tylko pić i odlecieć w błogi alkoholowy niebyt, zresztą Adam jest równie zalany co ja.

– Dość już, nad ranem wracamy – mówię w końcu, wyjmując mu z ręki flaszkę.

– Do rana daleko – opowiada i zabiera mi piwo. – Wyluzuj się, kotku – dodaje. – Masz ochotę na jointa?

– Jasne. – Uśmiecham się, a on wstaje i idzie do samochodu, gdzie skręca dla nas blanta.

Marycha jest fantastyczna, dobry towar. Siedzimy na kocu, plecami oparci o siebie, nad nami gwieździste niebo, wokół śmiechy, brzęk tłuczonych butelek i piski dziewczyn. Działka Błażeja leży na odludziu, wokół tylko pola, zagajniki i jezioro. Nikomu nie przeszkadzamy, nikt nie wezwie policji. Zresztą tu każdy jest „swój", nawet gliniarze. Wszyscy się znają, nie robią problemów.

– Przejdę się – mówię, kiedy nieprzyjemnie drętwieją mi nogi.

Adam idzie za mną, wychodzimy z kręgu rzucanego przez ognisko światła i pochłania nas aksamitna ciemność czerwcowej nocy.

– Zwolnij, piękna brunetko. – Mój facet obejmuje mnie w talii i przyciąga do siebie. – Dokąd tak lecisz? – pyta, kiedy przyświecając sobie latarką z telefonu, gnam przez łąkę w stronę ciemnego lustra wody.

– Przed siebie – mówię.

– Chcesz już wracać? – pyta.

W jego oddechu wyczuwam alkohol, krzywię się i lekko odsuwam.

– Nie. – Wiem, że musi wytrzeźwieć, zanim wsiądzie za kierownicę.

Ja sama nie mam prawka, chociaż umiem prowadzić. Nauczył mnie jeden z moich byłych, dawno temu, w epoce sprzed Adama. On sam czasem się ze mnie śmieje, mówi, że nie ogarnia umysłem tego, jak można nie jeździć. Ale mnie to nie przeszkadza, wręcz przeciwnie. Przynajmniej nie muszę siadać za kierownicą „zębomobilu", jak nazywam naszą żenującą firmową furgonetkę.

– Zimno ci? – pyta Adam po chwili, wyczuwając, że drżę.

– Trochę – przyznaję.

– Chodźmy do auta, zdrzemniemy się – proponuje.

– Więc już po imprezie? – mówię lekko kąśliwym tonem, bo nie przepadam za zbyt krzykliwym, ordynarnym towarzystwem, z którym zadaje się Błażej, a Adam obojętnie wzrusza ramionami.

– Na to wygląda…

– Twoja matka mnie nienawidzi. – Nie wiem, czemu rzucam ten tekst, kolejne słowa zdają się wypływać z moich ust bez mojej wiedzy i zgody…

Adam reaguje gniewnym prychnięciem i cedzi przez zęby:

– Bzdury!

– Mówię, jak jest – upieram się przy swoim.

Wtedy nagle, ku mojemu zaskoczeniu, on zmienia taktykę.

– Wiolety też nie trawiła, zresztą odkąd pamiętam, nie znosiła moich dziewczyn. Ale ona się stara, nie robi tego złośliwie. To tylko zazdrość, silniejsza od niej – usprawiedliwia ją po tym, jak już przyznał mi rację.

– Cóż… Przynajmniej wiem, że nie mam omamów. Bo czasem wmawiałam sobie, że to wszystko mi się wydaje – mówię, a on gładzi mnie po plecach.

– Skoczę po piwo, póki jeszcze są.

– My nie zabraliśmy?

– Te z auta już wypiłem.

– Wszystkie?

– Nie wiem, może. – Adam, zataczając się, wraca w stronę ogniska i dopiero teraz widzę, jak bardzo jest pijany.

– Czekaj! – krzyczę, doganiając go. – Masz dość.
– Bo kto tak mówi? – Nabzdycza się.
– Ja. Chodź do auta, prześpimy się, a o świcie wrócimy do domu.
– Dobra, jak do auta, to do auta. – Tym razem mój facet zaskakująco łatwo mi ustępuje i daje się poprowadzić w stronę furgonetki.
W środku się całujemy, a jego dłonie wślizgują się pod moją bluzę, ale on jest zbyt pijany, żeby wyszło z tego coś konkretnego. Zabiera więc ręce, opuszcza się na siedzeniu i zamyka oczy, ja kulę się obok, zmarznięta i rozgrzana alkoholem jednocześnie, z lodowatymi stopami i uczuciem gorąca na policzkach.
Niemal zasypiam, kiedy ktoś ciska w furgonetkę puszką z niedopitym piwem i trafia w przednią szybę, a spieniony alkohol rozlewa się po jej gładkiej tafli.
– Kurwa, kogoś pogięło? – klnę przestraszona, a Adam lekko się porusza przez sen i coś mamrocze, ale się nie budzi.

* * *

Świta, kiedy potrząsam go za ramię. Jest mi zimno i chce mi się sikać, ale boję się samotnie wyjść z furgonetki – pijane niedobitki kręcą się w pobliskich krzakach, macają dziewczyny i głośno klną, zakłócając błogą ciszę letniego przedświtu. Teraz, po olbrzymiej dawce alkoholu, z kumpli Błażeja wychodzi to, co najgorsze.
– Adam – szepczę, mocniej szarpiąc mojego faceta.
– Co? – mamrocze, wyrwany z pijackiego otępienia.
– Wracajmy do domu – proszę. – Zmarzłam i mam dość.
– Teraz? – Adam ziewa, przeciąga się i rozmasowuje sobie bark.
– A na co chcesz czekać? – Wyjmuję termos, który czekał do rana w dużej wiklinowej torbie z uszami, a on zaraz leje do nakrętki niewielką porcję kawy.
– Ty też chcesz? – pyta.
– Nie – mówię, bo mdli mnie od samego jej zapachu. – Przejdź się, wytrzeźwiej i zabierz mnie stąd.
– Jestem trzeźwy – rzuca ze złością w głosie, jakbym w jakiś sposób go obraziła, a ja myślę o wszystkich piwach, które w siebie wlał, ale nie mówię nic więcej.
Czasem Adam wpada w nastrój, w którym się go boję. Robi się drażliwy, zaczepny i arogancki, a ja go takiego nie lubię. Wkładam więc tylko termos z powrotem do wiklinowej torby i wyciągam rękę, żeby pogłaskać go po zmierzwionych jasnych włosach, a on sięga do schowka, wyjmuje miętowe gumy i wsuwa sobie do ust dwie naraz.
– Chcesz? – Podsuwa w moją stronę paczkę.
– Nie – odmawiam.
– Dobrze się bawiłaś? – pyta.
– Średnio – mówię zgodnie z prawdą. – Mało kogo tu znam – usprawiedliwiam się, nie chcąc go urazić.
– Dobra, jedziemy – decyduje.
– Nie pożegnasz się z Błażejem?
– Jest tak najebany, że i tak tego nie zapamięta. – Adam ze śmiechem wskazuje na skaczącego nieopodal wygasłego paleniska przyjaciela, który zachowuje się jak orangutan. – Dawno tyle nie wypił – dodaje, wolno wycofując w wysokiej trawie, która z szelestem ugina się pod naporem podwozia.
– Jesteś pewny, że możesz już prowadzić? – pytam, kiedy wozem lekko zarzuca na pełnej kolein drodze, a on parska, jak zawsze, kiedy jest poirytowany.
– A czy lisy srają w lesie? – odpowiada pytaniem i pogwizdując, włącza radio.
Jesteśmy jakieś półtora kilometra dalej, na wąskiej, biegnącej przez las drodze, kiedy z jednej z prostopadłych ścieżek wyskakuje koleś na rowerze i praktycznie wpada nam pod koła. Krzyczę, a Adam hamuje, ale jest za późno. Rowerzysta przelatuje nad maską naszej starej furgonetki i upada na asfalt po drugiej stronie szosy, a w jego powyginanym rowerze wciąż jeszcze obracają się koła.
– Czy on… – zaczynam, ale Adam nie pozwala mi dokończyć.
Cofa, żeby móc wyminąć rower i dodaje gazu tak ostro, że niemal czuję swąd palonych opon, a później przejeżdża kilkanaście metrów i hamuje tak gwałtownie, że pasy boleśnie wrzynają mi się w ramię.
– Kurwa! – Wali dłonią w kierownicę, na jego twarzy maluje się czysta furia. – Chuj jebany, skąd się w ogóle napatoczył?!
– Zabiliśmy go – szepczę, czując, że panika dosłownie zaczyna mnie dusić. – Adam, zabiliśmy go! – krzyczę.
– Zamknij się i daj mi pomyśleć! – warczy mój facet i jeszcze raz w złości wali pięścią w kierownicę. – Dobra, wyłaź. Zobaczymy, co z nim – decyduje.

– Co? Nie! Ja nie…

– Idziesz ze mną, mówię! – Adam rozpina mi pasy, jak dziecku, i wolno cofa, prawie zrównując się z roztrzaskanym rowerem.

Wysiadam na nogach jak z waty, w głowie mi huczy, żołądek podchodzi do gardła. Potrącony leży na szosie, jego włosy skleja krew, od której też błyszczą się policzki i czoło. Zaczynam rozpaczliwie łkać. Adam łapie mnie za ramiona i lekko mną potrząsa. A może wcale nie tak lekko?

– Wyjmij mineralną z wozu i wytrzyj maskę. Sprawdź, czy nie ma na niej włosów, rusz się! – ponagla mnie.

– Włosów? – dukam.

Nie odpowiada. Pochyla się nad leżącym mężczyzną i długo na niego patrzy.

– Sprawdź puls – mówię. – Adam, zrób coś, w końcu jesteś lekarzem! Musisz…

– Nie żyje – stwierdza, chociaż nawet go nie dotknął.

Chwilę później sam wyjmuje z auta wodę, nasącza nią flanelową szmatkę i przechodzi na przód furgonetki, żeby wyczyścić maskę, chociaż jakimś cudem nie ma na niej zbyt wielu śladów krwi. Kiedy nie widzi, pochylam się nad ofiarą i patrzę na sklejone krwią włosy, zamknięte oczy, mocną linię szczęki i ciemny kilkudniowy zarost.

– Jest taki młody… – szepczę, a po moich policzkach płyną łzy.

– Bierz go za nogi! – Adam wrzuca do auta brudną szmatkę i pochyla się nad zalanym krwią mężczyzną.

– Zostaw, nie możesz go dotykać. Jeśli ma uraz kręgosłupa…

– On nie żyje, do kurwy nędzy! – wrzeszczy na mnie.

– Nie możesz być tego pewny – mówię cicho, ale on już ciągnie bezwładne ciało po asfalcie.

– Rusz się, kurwa! – warczy i w końcu łapię chłopaka za nogi.

Są ciężkie, jakby były z marmuru, i robi mi się słabo. Jedna z nogawek jego spodni lekko się podwija, ukazując porośniętą ciemnymi włosami umięśnioną łydkę.

– Adam, a może jednak trzeba zadzwonić po karetkę? – szepczę, nerwowo się rozglądając w obawie, że na szosie pojawi się jakieś inne auto, ale w moim głosie nie ma nawet krzty przekonania, bo chwilę później myślę o wszystkich tych piwach, które on w siebie wlał tej nocy.

– Dobra, mogę zadzwonić. Ale gdyby co, to ty prowadziłaś – mówi ostrym tonem.

– Nie mam prawka, przecież wiesz!

– A ja piłem! Wiesz, jak szybko stracę większość pacjentów, jeśli rozniesie się, że ich pijany dentysta potrącił człowieka?!

– Mówiłeś, że możesz jechać – wypominam mu.

– Mówię różne rzeczy – sapie, wciągając bezwładną ofiarę pomiędzy rosnące wzdłuż drogi karłowate iglaki z powykręcanymi od wiatru pniami. – Tu później go znajdą, może trudniej im będzie ustalić dokładny czas incydentu.

Kilkanaście metrów dalej opadam na ściółkę, nie daję rady dłużej ciągnąć trupa. Dłonie Adama są całe we krwi, na jego policzku widzę czerwoną smugę.

– Jedźmy już – proszę. – Jeśli teraz ktoś nadejdzie…

– Jeśli już, to najwyżej ludzie z działki Błażeja, znajomi.

– Oni też nie powinni tego zobaczyć.

– A ja nie powinienem potrącić tego kolesia, ale stało się! Czego, kurwa, nie rozumiesz?! – wydziera się na mnie.

– Wyjechał ci prosto pod koła.

– Ja to wiem i ty to wiesz, ale powiedz to psiarni… Po czymś takim nie ma tłumaczeń. Pójdę siedzieć, rozumiesz?! A ja nie mam najmniejszej ochoty iść za kraty!

– Jeszcze powinniśmy wezwać… – zaczynam, ale Adam łapie mnie za ramię i ciągnie w stronę szosy.

– Rusz się! – mówi. – Trzeba brać rower i się stąd zabierać.

– Na asfalcie zostały ślady hamowania – zauważam, kiedy podchodzimy do furgonetki.

Mój facet nie odpowiada. Otwiera tylne drzwi z tym debilnym zębem na nich i ładuje powgniatany rower do samochodu.

– Wsiadaj, jedziemy! – warczy.

– Może jednak…

– Wsiadaj, mówię! Czegoś, kurwa, nie ogarniasz?! – ucisza mnie.

Więc wsiadam.

Przez resztę trasy nie odzywamy się do siebie ani słowem. Adam prowadzi skupiony, w zaciętym milczeniu zmieniając biegi i wpatrując się w pustą szosę przed nami, ja siedzę obok, walcząc z mdłościami i poczuciem dziwnego odrealnienia.

– To się nie stało – mówi w końcu, kiedy wjeżdżamy do garażu. – To był tylko zły sen, słyszysz? – Głaszcze mnie po policzku.

– Zrobiliśmy coś złego – mamroczę, dzwoniąc zębami z zimna i szoku. – Zrobiliśmy coś złego, Adam – powtarzam, a on długo mnie do siebie tuli i głaszcze po głowie.

– Wyjechał nam prosto pod koła – powtarza. – Hamowałem, przecież widziałaś…

Potakuję, choć nie jestem pewna, czy Adam miał opóźnioną reakcję, bo pił, czy tak po prostu sobie wmówiłam, wiedząc, ile wypił.

– To był tylko zły sen – mówi on, zanim wysiadamy. – Jeśli ktoś zapyta, dotarliśmy do chaty bez przygód. Nic się nie stało, słyszysz?! – powtarza z naciskiem.

6.
ZUZANNA

W mieszkaniu wchodzę pod prysznic i skulona w brodziku, siedzę w strugach gorącej wody, wciąż szczękając zębami. W końcu zmuszam się, żeby wstać, wytrzeć się, wysuszyć włosy i założyć coś do spania. Za oknem ćwierkają ptaki i świeci słońce, już teraz, o wpół do szóstej rano, zanosi się na gorący dzień, ale ja odkładam na bok cieniutką satynową koszulkę, w której ostatnio sypiałam, i wyjmuję z komody flanelową piżamę w błękitne owce, a później wchodzę do łóżka i zakopuję się w pościeli, nadal cała się trzęsąc.

Kwadrans później Adam kładzie się obok, właśnie wyszedł spod prysznica, jego jasne włosy są wciąż wilgotne. Jest nagi, ale nie czuję podniecenia. Myślę wyłącznie o koszmarze, który rozegrał się na drodze.

– To był tylko zły sen – szepcze on w moje włosy, przywierając nagim ciałem do moich pleców, ale wiem, że w tym wypadku nawet tysiąc razy wypowiedziane na głos kłamstwo niczego nie zmieni. – Prześpijmy się – proponuje. – Później pomyślę, co zrobić z rowerem.

– A jeśli po nas przyjdą? – pytam cicho.

– Kto?

– Policja.

– Oszalałaś? Jak mieliby do nas trafić?!

– Nie wiem, może po odciskach bieżnika? – sugeruję niepewnym głosem. – Gdyby udało im się ustalić, kto brał udział w imprezie u Błażeja, a później…

– Odjebało ci, poważnie. Skąd mieliby wiedzieć, że ten, kto kolesia potrącił, brał udział w imprezie nad wodą?

– Bo tamta droga nie prowadzi w zbyt wiele miejsc – mówię cicho. – Za działką Błażeja są już tylko pola, a dalej zamknięty na głucho dawny pegeer.

– To o niczym nie świadczy. Każdy mógł tamtędy jechać!

– Tak, ale jeśli cię przycisną…

– Kurwa! – Adam zrywa się z łóżka, zakłada wyjęty z komody dres i w zaciętym milczeniu wychodzi z sypialni.

Chwilę później zbiega po schodach i słyszę trzaśnięcie bramy kamienicy. Przez chwilę zastanawiam się, co robi. Myje samochód? Chowa uszkodzony rower ofiary w piwnicy? Ale przecież jeśli po nas przyjdą, piwnica nie jest dobrą kryjówką…

Zasypiam kilka minut później, ale zapadam w sen, który nie przynosi odpoczynku. Wręcz przeciwnie, śnię o krwi na asfalcie, szybkiej jeździe samochodem i wykrzywionej złością twarzy Adama.

* * *

Budzi mnie trzaśnięcie drzwiami, po chwili Adam wraca do sypialni i stawia na szafce nocnej szklankę wody.

– Wypij, jesteś odwodniona – mówi cicho, a ja posłusznie po nią sięgam. – Wywiozłem rower za miasto i zostawiłem go w opuszczonym pustostanie pod lasem.

– Nikt cię nie widział?

– Masz mnie za idiotę?!

– Przepraszam – mówię i zaczynam płakać, a on bierze mnie w ramiona i długo tuli.

– Wszystko będzie dobrze – powtarza, chociaż żadne z nas przecież w to nie wierzy.

Później zasypiamy. Skacowani, rozedrgani wewnętrznie i wykończeni psychicznie, obejmujemy się i zapadamy w sen.

Budzi mnie pragnienie i zaciskający się na gardle strach. Przez chwilę, podczas tych kilkunastu błogich sekund tuż po przebudzeniu, nie myślę o tym, co zrobiliśmy, ale świadomość szybko wraca i wali we mnie niczym pięścią.

– Adam! – Mój facet śpi, ale szarpię go za ramię dotąd, aż się budzi.

– Co?

– Wstawaj, jest po dziesiątej!

– Jest niedziela – mamrocze z policzkiem wciśniętym w poduszkę i zaróżowionym od snu.

– Musimy tam jechać – mówię, a on siada na łóżku i patrzy na mnie półprzytomnym wzrokiem. – Zaparzę kawę. Weź zimny prysznic i jedźmy.

– Gdzie? – pyta jak ostatni idiota i nagle czuję złość.
– Na tamtą drogę, człowieku! – syczę.
– Żartujesz? A co, jeśli są tam już psy?
– Może są, a może nie. Zatrzymamy się jakiś kilometr dalej, część trasy przejdziemy lasem, gdyby co, wycofamy się.
– Nie ma opcji. – Adam nie chce jechać, ale nie daję mu wyboru.
Wyjmuję z komody jego podkoszulek i stare beżowe szorty, kładę ciuchy na łóżku i każę mu się ogarnąć.
– Muszę go zobaczyć – mówię ledwie słyszalnym szeptem.
– Uwierz mi, nie chcesz tego. – Mój facet usiłuje mnie przekonać, ale kiedy ja się na coś uprę, nie ma zmiłuj.
– Po prostu się ubierz – proszę.
Przed wyjściem pijemy kawę; mimo głodu i nieprzyjemnego ssania w żołądku ta przesłodzona lura jest jedyną rzeczą, którą w tym momencie jestem w stanie przełknąć.
Kwadrans później jedziemy w stronę miejsca wypadku. Adam ponury i milczący, w ciemnych okularach i w nieco wymiętych ciuchach, ja równie posępna, z zaciśniętymi ustami wpatrująca się w umykający za oknami jego audi krajobraz. Atmosfera w samochodzie jest ciężka, wręcz trudna do zniesienia, jednak wyglądamy zapewne jak przeciętna para podczas weekendowego wypadu we dwoje. Ja w bawełnianej sukience w grochy i białych tenisówkach, on w spranych szortach i podkoszulku z nadrukiem w samoloty. Patrząc na nas z boku, być może ktoś pomyślałby, że jesteśmy znudzeni albo właśnie pokłóciliśmy się o jakąś błahostkę, ale z całą pewnością nie odgadłby, z jak pochrzanioną misją sunie szosą kilkuletnie szare audi.
– To jakieś półtora, może dwa kilometry stąd. – Nagle Adam zjeżdża w jedną z wąskich leśnych dróżek, pokonuje jeszcze kilkanaście metrów i zatrzymuje samochód. – Dalej powinniśmy pójść pieszo – decyduje.
Kiedy wysiadamy, uderza nas gorące powietrze, które tu, w przydrożnym lesie, zdaje się stać, nieporuszane nawet odrobiną wiatru. Termometr w moim telefonie twierdzi, że jest ponad trzydzieści stopni, las balsamicznie pachnie żywicą i rozgrzaną ściółką. Idąc, czubkiem buta trącam leżące w niej duże szyszki, a Adam kładzie dłoń na moim ramieniu i lekko zaciska palce, jakby tym gestem usiłował mnie uspokoić.
– Oddałabym wszystko, żeby to był tylko zły sen – mówię cicho, przystając wśród rzadko rosnących strzelistych iglaków.
– Naprawdę wszystko? Moje życie też? – W jego głosie słyszę sarkazm.
– Nie to miałam na myśli.
– Więc co? Co w tej sytuacji określiłabyś mianem „wszystkiego”? Parę tysięcy złotych, które masz na koncie? Zawartość szafy? Pracę? Swoje życie? – wymienia szyderczym tonem.
– Odwal się! – syczę, bo to raczej marna pora na jego debilne pseudofilozoficzne rozważania.
– Jasne, odwalę się. – Adam lekko ciągnie mnie za spięte w kucyk włosy i przystaje oparty o pień jednej z sosen. – Sprawdzałem lokalne serwisy informacyjne, ale nigdzie nie ma nawet wzmianki o śmiertelnym potrąceniu. Są więc dwie opcje: ktoś znalazł trupa, ale sprawa nie wyciekła do mediów bądź kolesiowi nic nie jest i po prostu się stamtąd zabrał.
– Poważnie, nic mu nie jest? – Teraz to mój głos ocieka sarkazmem.
– Może to był tylko rozcięty łuk brwiowy, chwilowa utrata przytomności albo…
– On tam leży, nie rozumiesz? A nie pisali o tym, bo jeszcze nikt się na niego nie natknął. To las przy szosie, odległy od miasteczka i spacerowiczów kręcących się z psami. Tędy się przejeżdża autem, nie szwenda pomiędzy drzewami, i tylko dlatego jeszcze nie przeczytałeś o nim w sieci! Daleko jeszcze? Źle się czuję – mówię, za późno gryząc się w język, bo dopiero po tym, jak wyrzucam z siebie ostatnie zdanie, zdaję sobie sprawę, jak irytuję idącego obok Adama.
Tym razem jednak nie doceniam jego cierpliwości, która zaskakuje i rozczula.
– Możesz wrócić do auta – mówi, delikatnie ujmując moją twarz w dłonie. – Nie powinnaś tego oglądać.
– Ale chcę – upieram się i przez dłuższą chwilę patrzymy sobie w oczy, zastanawiając się, co czeka nas kilkaset metrów dalej, pomiędzy drzewami, i jakie konsekwencje będzie mieć to, co wydarzyło się nad ranem na szosie.
– To gdzieś tutaj. – Kilka minut później Adam zerka w stronę drogi i rozgląda się wokół, wśród drzew. – Pamiętam tamten znak i ten strzaskany przez piorun pień – mówi, wskazując dłonią na uschnięty kikut drzewa po drugiej stronie drogi. – Ciągnęliśmy go tędy – mruczy pod nosem, idąc w głąb lasu, a sucha ściółka szeleści pod podeszwami jego trampek, co nawet teraz, w słoneczne czerwcowe przedpołudnie, wydaje mi się nieco upiorne. – Kurwa! – Zatrzymuje się nagle i bezradnie rozgląda wokół. – Moim zdaniem powinien leżeć gdzieś tu – dodaje, a ja staram się oddalić rojące się w mojej głowie wyobrażenia rozkładającego się w upale trupa, nad którym krążą roje ohydnych tłustych much.
– Jesteś pewny, że to było tutaj? – W przeciwieństwie do niego ja nie potrafię sobie przypomnieć niczego z porannych wydarzeń, a ciągnięcie ciała ofiary przez las wraca do mnie jedynie w poszarpanych i urywanych fragmentach wspomnień.
– Tak.
– A ja nie jestem pewna – mówię, ale Adam nie słucha.
– Kurwa mać, powinien być tutaj! – upiera się i schyla, uważnie przyglądając się ściółce. – Patrz, krew!

– Krew jest, ale nie ma ciała… – Nawet w pełnym słońcu przechodzi mnie dreszcz. – Myślisz, że mógł się gdzieś doczołgać? Z powrotem na szosę albo…

– Wiem tyle, co ty! Przestań paplać i rozglądaj się! – warczy, zataczając coraz szersze kręgi pomiędzy drzewami.

Krążymy tak ponad pół godziny, zlani potem, skacowani i coraz bardziej rozgorączkowani, a przedzierające się przez gałęzie palące słońce sprawia, że jestem bliska omdlenia.

– Nie ma go – mówię w końcu i łapię mojego faceta za rękę. – Adam, nie ma go tu.

– Widzę – odpowiada, ale wciąż się rozgląda.

– Może spróbujmy podążać za śladami krwi na ściółce? – sugeruję niepewnym głosem, a on parska nerwowym śmiechem.

– A wyglądam ci, kurwa, na tropiciela z indiańskiej wioski? – prycha.

Do samochodu wracamy zgrzani i roztrzęsieni. Adam wygląda tak, jakby zaraz miał puścić pawia, ja słaniam się na nogach z odwodnienia i stresu.

– Wrócimy naokoło – decyduje, kiedy wsiadamy. – Niedaleko jest furgonetka z hot dogami i przydrożna knajpa. Zjemy coś, pocałujemy się, zagadniemy obsługę.

– Powinniśmy się tam pokazywać?

– Jasne. Niech ludzie zapamiętają, że byliśmy na niedzielnej wycieczce. Rozpuść włosy, uśmiechnij się i staraj zachowywać normalnie – instruuje mnie Adam.

Kilka minut później podjeżdżamy przed pomalowaną na miętowo starą nyskę, a roześmiany młody rudzielec w białej czapce wychyla się z okienka i podaje nam menu.

– Moja kicia jest głodna? – Adam lekko przygryza płatek mojego ucha i mruga do chłopaka. – Jak tam interes? Klienci dopisują?

– Jak co roku. – Chłopak szeroko się uśmiecha i zerka w mój dekolt, ale szybko podnosi wzrok na zajeżdżające na niewielki parking auto.

– To co? Klasyczny hot dog i cola? – pyta Adam lekkim tonem.

Jego głos wydaje mi się sztuczny i przesadnie zmodulowany, ale chłopak z food trucka nie zwraca już na nas uwagi, bo wita kolejną podchodzącą do nyski parę.

– Zachowuj się naturalniej. – Adam lekko klepie mnie w pupę, przyciąga do siebie i całuje w szyję. – Jest lato, a my wpadliśmy na śniadanie w drodze nad wodę – dodaje.

– Byłoby idealnie – szepczę, z trudem powstrzymując łzy, a on mówi, że przecież jest idealnie, i ma taką minę, jakby naprawdę w to wierzył. – Aż tak to po tobie spływa? – pytam go, kiedy siadamy przy podłużnym drewnianym stole przykrytym kraciastą ceratą i skryci pod dużym parasolem z logo coca-coli czekamy na zamówienie.

– Nie teraz – mówi Adam, wyjmując z kieszeni swoją komórkę. – Błagam, nie zaczynaj tej rozmowy teraz – cedzi przez zęby, chociaż na twarzy ma uśmiech.

„Pieprzony bezduszny psychopata – myślę nagle, a mój żołądek zaciska się w supeł. – Jeśli on liczy na to, że cokolwiek zdołam przełknąć, chyba go pogięło". Przyniesione przez rudego sprzedawcę hot dogi wyglądają jednak całkiem apetycznie i ku mojemu zaskoczeniu udaje mi się zjeść prawie połowę bułki i wypić całą colę.

– Grzeczna dziewczynka – mówi Adam, gładząc mój policzek, i patrzy na mnie z taką miłością w oczach, że na moment udaje mi się uspokoić.

– Myślisz, że on z tego wyszedł? – pytam, kiedy już siedzimy w rozgrzanym wnętrzu samochodu. – Że po prostu się ocknął, a później…

– Nie wiem – wchodzi mi w słowo, rusza i nastawia klimatyzację na tak niską temperaturę, że zaczynam się trząść, a pomiędzy piersiami, tam gdzie jeszcze przed chwilą spłynęła strużka potu, czuję lodowaty powiew.

– Zimno mi – skarżę się, a on z brzydkim grymasem złości na twarzy ustawia nieco znośniejszą temperaturę. – Dzięki.

– Za kilka dni będzie po wszystkim – odzywa się Adam, kiedy zbliżamy się do miasteczka. – Sprawa rozejdzie się po kościach, zobaczysz.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Tak.

– To się nigdy nie skończy, Adam! – krzyczę. – Przecież nawet nie wiemy, gdzie on się podział! Nie rozumiesz, że ta niepewność nie pozwoli nam żyć?!

– To akurat dobrze, że się stamtąd zabrał. Tęsknisz za kolesiem czy jak? – kpi.

– Chcę wiedzieć, czy żyje! Tak trudno ci to zrozumieć?!

– Raczej żyje, skoro stamtąd zniknął. Z tego, co wiem, nie kręcą w okolicy nowego sezonu *The Walking Dead*.

– Wydaje ci się, że jesteś zabawny?

– A nie? – Śmieje się i wyciąga rękę, żeby włączyć radio, a koszulka opina się na jego bicepsie i nieco unosi, odsłaniając przedstawiający dziwny splot wzorów tatuaż.

„Pieprzony hipokryta” – myślę. Gdybym to ja zrobiła sobie tatuaż, chyba by mnie zabił, ale sam ma trzy, na łydce, ramieniu i w dole pleców.

– Nie – mówię cicho, odpowiadając na jego pytanie, ale on już nie zwraca na mnie uwagi.

Nuci coś pod nosem i, patrząc na drogę, prowadzi w sposób, który wydaje mi się niedorzecznie spokojny jak na kogoś, kto kilka godzin wcześniej być może kogoś zabił.

– Zatrzymaj się – proszę, rozpinając pasy, a on posyła mi zdziwione spojrzenie, ale bez słowa zjeżdża na pobocze.

Kiedy audi staje, otwieram drzwi, wychylam się i wymiotuję, a niestrawione kawałki hot doga wylatują ze mnie w towarzystwie ciemno zabarwionego płynu, który wygląda na colę.

– Kurwa, musiałaś? – Adam wysiada i w złości trzaska drzwiami, ale chwilę później obchodzi samochód i podtrzymuje mi włosy.

– Za późno – mówię, bo właśnie do mnie dociera, że obrzygałam sobie nie tylko kosmyk włosów, ale i rękę.

– Faktycznie. – Mój facet się krzywi i wyjmuje z kieszeni szortów zmiętą jednorazową chusteczkę. – Wytrzyj się – prosi, a ja ścieram z włosów rzygowiny, starając się nie myśleć o zalanej krwią twarzy młodego rowerzysty.

Kiedy mnę chusteczkę, Adam wyjmuje ją spomiędzy moich palców i rzuca na pobocze.

– Nie śmieć – mówię odruchowo.

– Serio nie masz większych problemów? – pyta i oboje wybuchamy nerwowym śmiechem.

7.
ZUZANNA

W nocy z niedzieli na poniedziałek Adam budzi mnie kilka minut po drugiej.

– Wstawaj! – Tym razem to on szarpie mnie za ramię.

– Co jest? – Siadam na łóżku, cała się trzęsę.

Jedyną pociechą jest okres, który dostałam wieczorem. Pierwsza, w dodatku nieplanowana ciąża w takich okolicznościach byłaby koszmarem…

– Wyjdź ze mną przed kamienicę i patrz, czy nikogo nie ma. Upozoruję kradzież samochodu, rozwalę szybę czy coś i gdzieś nim odjadę – mówi.

– Audi? – pytam rozespana.

W sypialni jest ciemno, Adam chyba nie chce zapalać światła, więc po omacku wkładam stopy w kapcie i idę w stronę łazienki, żeby zrobić siku.

– Pospiesz się – rzuca w ślad za mną.

Sikam, kiedy dociera do mnie, że przecież nie chodzi o audi. Adam chce zgłosić kradzież zębomobila. Jeśli ktoś kiedykolwiek skojarzy go z wypadkiem, wina spadnie na tajemniczego złodzieja, nie na nas. Szybko jednak dociera do mnie, że w jego planie są gigantyczne dziury.

– Ktoś mógł widzieć, jak zeszłej nocy wracaliśmy do domu. Ktoś, kto nie spał albo akurat kręcił się w pobliżu. Było już jasno – mówię. – Zwrócimy na siebie uwagę, jeśli zgłosimy jego kradzież dziś. Wypadek i tak był wczoraj.

– Może masz rację… – Adam siada na łóżku i przeczesuje włosy palcami. – Kurwa mać! – klnie, w bezsilnej złości kilkukrotnie waląc pięścią w materac.

– Rano otwieramy gabinet, spróbujmy się jeszcze trochę przespać – mówię, zanim całuję go w czubek głowy.

– Sprawdzałem lokalne serwisy informacyjne. Nadal nic…

– Może masz rację? Może on sobie poszedł? – pocieszam siebie i jego, siadając obok, a materac ugina się pod moim ciężarem.

– Masz pojęcie, kto to mógł być? – pyta Adam.

– Ja? Nie. Skąd ci to przyszło do głowy? Miał całą twarz we krwi i sklejone nią włosy, więc i tak pewnie…

– Jasne, zapomnij. – Mój facet całuje mnie w szyję i rzuca: – Chodźmy spać.

* * *

Kilka godzin później budzę się z migreną. Czuję pulsowanie w skroniach i nieprzyjemne wibrowanie u nasady czaszki, w dodatku mam mdłości i boli mnie brzuch.

– Nie przyjmujmy dziś pacjentów. Wywieś informację o pękniętej rurze, wymyśl cokolwiek – proszę, zwinięta w kłębek na łóżku, ale Adam nie zamierza wdrażać w życie mojego planu poniedziałkowej ewakuacji.

– Musimy tam iść, nie rozumiesz? – Gładzi mnie po wystającej spod kołdry łydce. – Pokazać się ludziom i udowodnić całemu światu, że wszystko jest u nas w jak najlepszym porządku.

– Ale ja nie dam rady – szepczę, bliska łez. – Adam, nie dam rady, słyszysz?

Kiedy zaczynam płakać, on pochyla się, żeby pocałować mnie w czoło, i wstaje.

– Zaparzę ci melisy. A ty idź pod prysznic, a później ubierz się i zrób na bóstwo. Rozpuszczone włosy, podmalowane oczy, czerwona szminka, pełen szyk. Masz dziś wyglądać jak ta lala, słyszysz? – instruuje mnie.

– Tak – mówię cicho.

Nie mam siły wstać, chociaż przecież wiem, że muszę. Zwlekam z tym do momentu, w którym Adam wrzeszczy z kuchni, żebym podniosła tyłek, więc w końcu skopuję kołdrę i chociaż mam wrażenie, że zaraz upadnę, udaje mi się przejść do łazienki i zmusić się do wejścia pod chłodny prysznic.

Maluję oczy, kiedy mój facet stawia na obramowaniu umywalki kubek z melisą.

– Wypij – prosi cicho. – Wolisz płatki czy jajecznicę?

– Płatki – decyduję, bo na samą myśl o smażonych jajkach robi mi się niedobrze.

Później zażywam tabletkę, która zawsze ratuje mój dzień podczas nasilającego się migrenowego bólu głowy, i w pośpiechu maluję usta szminką. Tak jak sugerował mój facet, wybieram czerwoną, w mocnym odcieniu kwitnących na łąkach maków; na przekór temu, co się stało, chcę wyglądać kobieco i wyzywająco, tak jak prosił mnie Adam.

Do gabinetu wchodzimy razem, trzymając się za ręce. Nasze palce są wilgotne od potu, zaciskam je na dłoni Adama tak kurczowo, że chyba sprawiam mu ból. Kamili jeszcze nie ma, co przyjmuję z dużą ulgą.

– Kogo dziś masz? – Adam bierze leżący na recepcyjnym kontuarze zeszyt z godzinami wizyt i, mrużąc oczy, przygląda się nazwiskom klientów. – Urszula Ratajska, Iga Matusiak, Bogna Wrona, Marta Adamczyk – wymienia. – Same stare rozgadane raszple. Zapytasz je, co tam u nich słychać, pozwolisz babom się wygadać i dniówka jakoś zleci – pociesza mnie.

– Nie wiem, czy poradzę sobie z Kamilą – mówię cicho.

– W jakim sensie? – Adam wygląda na zdziwionego.

– Od razu zauważy, że coś się stało… Jest spostrzegawcza, wścibska i nachalna. – Krzywię się.

– Bez przesady, to tylko pracownica.

– Jest wścibska – powtarzam z naciskiem, ale mój facet nie zamierza tego słuchać.

– Przesadzasz – mówi i znika na zapleczu.

Następne godziny są dla mnie koszmarem. Krzątam się po pokojach zabiegowych i ucinam krótkie pogawędki z czekającymi w poczekalni stałymi pacjentami, ale w środku wszystko we mnie krzyczy, jakbym była chodzącą tykającą bombą…

– Adam, nie wytrzymam dłużej – szepczę, kiedy w przerwie wślizguję się na zaplecze, a on niemal siłą sadza mnie na obrotowym krześle i delikatnie opuszkami palców zaczyna masować skórę na mojej głowie.

– Spokojnie, postaraj się wyciszyć – mruczy uspokajającym głosem. – Nic złego się nie dzieje, sama zobacz – mówi, ale ja ciągle drżę, z trudem zachowując spokój.

„Wyciszyć się, dobre sobie! Kurwa, jutro oboje możemy się obudzić w areszcie, a on każe mi się zrelaksować?! I co jeszcze, może w końcu wykorzystam zapomniany karnet na zajęcia z jogi?!” – irytuję się w duchu, podczas gdy jego dłonie wciąż pieszczą moją skórę.

Kamila wpada na zaplecze, nie pukając, i nieruchomieje na widok gładzącego mnie po głowie Adama.

– Chwila intymności? Sorry, doktorze. – Puszcza do niego oczko, zachowując się, moim zdaniem, mocno kokieteryjnie, a on otwiera jedną z szafek i podaje jej butelkę środka odkażającego, o który poprosiła.

Kiedy koleżanka wychodzi, zrywam się z krzesła i ze złością rzucam Adamowi w twarz jedno krótkie zdanie:

– Mówiłam ci, że ona będzie węszyć!

On się śmieje, twierdzi, że przesadzam, wygląda bardziej na zaniepokojonego moją histerią niż wtargnięciem Kamili.

– Musisz się opanować – radzi mi, ujmując moją twarz w dłonie. Chwilę później całuje mnie w usta. – Jesteś silniejsza, niż ci się wydaje – zapewnia mnie.

– Muszę wracać do pracy – burczę, a on przyciąga mnie do siebie.

– Ale najpierw teatrzyk – szepcze mi na ucho. – Wyjdź stąd ze śmiechem, jakbyśmy właśnie opowiedzieli sobie coś zabawnego. Śmiej się kokieteryjnie, daj do zrozumienia, że zostałaś lekko podszczypana na zapleczu – prosi.

– I co jeszcze? – Krzywię się, ale w końcu ustępuję i jak ostatnia idiotka wychodzę na korytarz z debilnym chichotem na ustach.

Kamila, która kręci się po recepcji, posyła mi uważne spojrzenie. W jej zmrużonych oczach wyraźnie dostrzegam zazdrość, ale i odrobinę zdziwienia. Może dlatego, że rzadko kiedy zachowujemy się z Adamem tak nieprofesjonalnie, więc w sumie cały ten jego żenujący teatrzyk jest zwyczajnie nietrafiony.

Kilka minut później niemal dostaję ataku paniki, zajmując się nowym pacjentem, a kiedy facet w końcu wychodzi, oddycham z ulgą, wymykam się na dziedziniec i palę podkradzionego Kamili papierosa. Później jem kanapkę, zmuszając się do przeżucia i przełknięcia każdego rosnącego mi w ustach kęsa, a na koniec zamykam się w łazience dla personelu, gdzie wybucham płaczem.

– Nadal nic – mówi Adam, kiedy mijamy się w korytarzu.

Nie odnotowuje, że płakałam, co przyjmuję z ulgą.

– Z czym? – odpowiadam, bo silny stres tak mnie odmóżdża, że nie mam bladego pojęcia, o czym on mówi.

– Nadal nic nie piszą – objaśnia mi jak dziecku. – Mama prosi, żebyśmy wpadli do niej na działkę. Chce, żebym w końcu skosił trawę – dodaje.

– Dzisiaj? – Myśl o wizycie w królestwie Alicji sprawia, że mam ochotę zwymiotować wszystko, co właśnie zjadłam.

– Tak, koło dziewiętnastej.

– Muszę jechać z tobą? – pytam, licząc, że on powie: „nie”.

– Powinnaś – rozwiewa moje nadzieje Adam i całuje mnie w usta. – Uśmiech, laleczko. Wciąż wyglądasz jak chmura gradowa – szepcze mi do ucha.

– Ciekawe czemu? – mruczę, ale on już nie słucha.

Wita się z wchodzącą do salonu Weroniką Karwowską i komplementuje jej rozjaśnione włosy, co sprawia, że kobieta momentalnie się rozpromienia. Wymykam się więc na zewnątrz i wystawiam twarz do słońca.

Kamila zjawia się na dziedzińcu bezszelestnie, jak zawsze. Nigdy wcześniej nie spotkałam kogoś, kto porusza się tak cicho.

– Dobra, zapytam prosto z mostu – mówi, siadając na drewnianej palecie pod ścianą. – Bzykacie się z Adamem na zapleczu? Bo kiedy was tam zastałam, naprawdę nie wiedziałam, co ze sobą zrobić – dodaje, a ja wybucham śmiechem.

„Chryste, więc o to jej chodzi" – myślę, ciesząc się w duchu, że nie ma żadnych poważniejszych podejrzeń, że coś u nas nie gra.

– Nie – mówię. – Ale czasem Adam konkretnie mnie tam zmaca – dodaję i puszczam jej oczko, a na jej ustach wykwita coś, co równie dobrze może być uśmiechem, jak i grymasem zazdrości.

– Nie żebym była jakaś sztywna, ale nie powinniście zabawiać się w pracy. Niezręcznie się wtedy czuję, jak piąte koło u wozu.

– Nie jesteś piątym kołem u wozu. Obie jesteśmy asystentkami stomatologicznymi, które pracują w jego gabinecie – uspokajam ją.

– Ty jesteś chyba jednak kimś więcej? – wyzłośliwia się Kamila.

– Tak, ale wyłącznie po godzinach. – Uśmiecham się nieco złośliwie. – Masz śliczne kolczyki – gładko zmieniam temat, wiedząc, jak łasa jest na każdy rodzaj pochlebstwa, a koleżanka od razu się rozpromienia.

– Od mojego byłego – mówi i zaczyna paplać o swoim dwuletnim związku z miejscowym wuefistą, który co prawda rozpadł się z hukiem, ale ona i tak nadal uparcie określała Marka jako miłość swojego życia.

– Wracam do pracy – oznajmiam, mając dość jej obecności, i szybkim krokiem przemierzam niewielki dziedziniec na tyłach kamienicy.

* * *

Reszta dniówki nawet jakoś mi mija, a wieczorem, przed wyjściem na działkę do Alicji, po kryjomu wypijam spory kieliszek wódki, który przegryzam zbożowym herbatnikiem.

– Mama ma migrenę i nie przyjdzie. Jeśli chcesz zostać w domu, to zostań. – Adam oznajmia mi najświeższe wieści.

W pierwszej chwili myślę, że to super, ale ostatecznie decyduję, że idę z nim. Skoro nie będzie Alicji, chętnie usiądę w leżaku i poprzyglądam się, jak mój facet kręci się po działce z nagim torsem.

Zakładam buty, kiedy dzwoni jego telefon.

– Numer nieznany – mruczy Adam, a ja momentalnie zastygam w przerażeniu.

– Nie odbieraj – szepczę.

Ale on już przesuwa palec po wyświetlaczu telefonu i rzuca krótkie, ostre:

– Tak?

Kiedy rozmawia, przyglądam się mu, starając nie panikować, i dopiero gdy dociera do mnie, że dzwoni jakiś jego dawny znajomy, z ulgą wypuszczam nagromadzone w piersi powietrze, pozwalając opaść napięciu.

– Dobra, chodźmy. – Kilka chwil później Adam chowa komórkę do kieszeni i sięga po leżące na komodzie klucze od mieszkania.

Na działce, kiedy już wygodnie siedzę w leżaku i patrzę, jak Adam uruchamia starą spalinową kosiarkę, moje myśli przez chwilę błądzą leniwie pośród wspomnień z Włoch i planowanego na wrzesień wspólnego wypadu na Bornholm, ale szybko wracam do rzeczywistości i myślę o tym, co wydarzyło się w weekend. Jego twarz… Zamknięte oczy, włosy pociemniałe od krwi, grymas bólu na ustach… Przez chwilę, kiedy w niemym przerażeniu przyglądałam się leżącemu na szosie młodemu rowerzyście, wydawało mi się, że skądś go znam, ale szybko powiedziałam sobie, że to pewnie kolejne moje histeryczne wymysły. Ale czy to cokolwiek by zmieniło? Potrąciliśmy człowieka i uciekliśmy z miejsca wypadku. Zresztą gdyby to była tylko ucieczka, ale my przeciągnęliśmy go w głąb lasu, porzucając na pewną śmierć. O ile jeszcze wtedy żył…

Tymczasem Adam kosi trawę i radośnie pogwizduje, wyglądając przy tym na zrelaksowanego i odprężonego, jakby dbanie o działkę rodziców było miłą odmianą po całym dniu czyszczenia i łatania cudzych zębów.

„Stanie się coś złego! Stanie się coś strasznego!" – krzyczy jakiś głos w mojej głowie. Zrywając się z leżaka, trącam stojącą w trawie butelkę z resztką karmelowego piwa, które momentalnie wsiąka w wysuszoną upałem ziemię u moich stóp.

– Adam! – Zachodzę go od tyłu.

Odwraca się w złości, nie przerywając koszenia.

– Nie teraz! – warczy.

– Stanie się coś złego! – wrzeszczę, chcąc przekrzyczeć hałas kosiarki. – Porozmawiaj ze mną, proszę – błagam go ze łzami w oczach i w końcu robi sobie przerwę.

– Puszczają ci nerwy i tyle – uspokaja mnie, rozmasowując moje plecy. – Rozejrzyj się. – Macha ręką, prezentując otaczającą nas sielską okolicę ogródków, zieleń, ciszę i spokój. – Nikt nas nie ściga, nikt nie ma pretensji.

– Muszę wiedzieć, co z nim – szepczę, a po mojej twarzy spływają łzy. – Adam, ja muszę wiedzieć, czy on żyje, czy… A jeśli ktoś go znalazł i zabrał? Jeśli po prostu ktoś go gdzieś pochowa, a my nigdy się nie dowiemy? Jeśli zebrali go z tamtego lasu, jak truchło potrąconego psa, a my nigdy…

– Zamknij się! – Adam wchodzi mi w słowo i zaciska palce na moim ramieniu, w jego oczach widzę wściekłość. – Kurwa, nie miałem pojęcia, że jesteś aż taką histeryczką – rzuca mi w twarz.

– Histeryczką?! Bo mam wyrzuty sumienia?! – drę się i nagle on mnie uderza.

Zalewam się krwią z rozbitego nosa, szumi mi w skroniach. Przez palce dłoni, którą przyciskam do twarzy, sączy się czerwona strużka i znowu mam krew na rękach, co sprawia, że schylam się i w ostatnim momencie zwalczam odruch wymiotny. Cios jest tak niespodziewany, że dopiero po dłuższej chwili dociera do mnie to, co się właściwie stało…

– Kotku, przepraszam. – Adam wygląda na spanikowanego.

Nigdy wcześniej mnie nie uderzył. Nigdy. Bywa nerwowy, czasem się na mnie drze albo wali pięścią w stół lub we framugę drzwi, kiedy się kłócimy, ale rozbity nos… Tego jeszcze nie grali.

– Przepraszam, Zuza. Kurwa, co się z nami dzieje? – Teraz Adam jest bliski łez, w końcu coś nim wstrząsnęło, dobre i to.

Wyciera mi twarz, robi to tak czule i delikatnie, że w tym momencie prawie mu wybaczam. Płaczę, ale to dobre łzy, bo chwilę później stoimy pośrodku działki i tulimy się do siebie, dodając sobie nawzajem otuchy. Boli mnie nos i jestem wściekła, że mnie walnął, ale w jego ramionach czuję, że nie jestem sama.

– Przetrwamy to, maleńka – obiecuje mi, scałowując z moich policzków łzy. – I nigdy więcej cię nie uderzę – dodaje.

Patrzę mu w oczy. Widzę w nich poczucie winy, strach i niepewność. „On w moich widzi dokładnie to samo” – przechodzi mi przez myśl…

Wraca do koszenia, kiedy kątem oka widzę zbliżającą się Alicję. Idzie w naszą stronę, wysoko podnosząc nogi, jakby przeszkadzała jej wysoka trawa. Wyszykowała się jak na imprezę, nie na działkę. Czerwona kiecka, botki na obcasach, złoty pasek i długie kolczyki w uszach – Francja-elegancja pełną gębą.

Na jej widok Adam ciska w trawę kosę, którą przycinał wysokie chwasty, macha jej i rusza w stronę matki.

– Myślałem, że masz migrenę – mówi.

– Przeszła mi. Chwała niech będzie współczesnym pigularzom i ich farmaceutycznym sztuczkom.

Adam, podobnie jak ja, nie jest zachwycony jej widokiem, właściwie podejrzewam, że jest wściekły. Napatoczyła się w końcu w dość niefortunnym momencie…

– Płakałaś? – pyta nagle Alicja, uważnie przyglądając się mojej twarzy. – Czy to krew? – dodaje sekundę później.

– Uderzyłam się – kłamię.

– Uderzyłaś się? A o co? – Jej zdumienie jest bezbrzeżne, ale nie mam zamiaru ciągnąć tej jałowej dyskusji.

„O zaciśniętą pięść Adama” – myślę i prawie chce mi się śmiać, chociaż podejrzewam, że to znowu histeria.

– Jestem w drodze do znajomych, wpadłam po kalarepę. – Alicja, która kilka lat temu urządziła na działce niewielki warzywniak, zmienia temat, rzuca w syna lnianą siatką z nadrukiem w róże i prosi, żeby zerwał z dziesięć kalarepek, bo nie chce sobie zniszczyć paznokci.

– To mam kosić czy rwać zieleninę?! – poirytowany Adam podnosi głos, ale posłusznie idzie w stronę grządki i przez chwilę gapi się na rosnące tam warzywa, jakby się zastanawiał, które z nich to kalarepy.

– No rwij, synu! Nie mam pół dnia! – Alicja ostro go ponagla i jeszcze raz wbija we mnie uważne spojrzenie. – Coś kiepsko wyglądasz – zauważa.

„Co ty powiesz” – myślę, posyłając jej krzywy uśmieszek.

Kiedy opuszcza działkę, jak zawsze ciągnąc za sobą zbyt mocny piżmowy zapaszek perfum, podchodzę do Adama i łapię go za rękę.

– Chyba się domyśla, że płakałam – mówię cicho, a on wzrusza ramionami.

– I co z tego? – mruczy. – Mogłaś płakać z tysięcy różnych powodów. Gdyby pytała, powie się jej, że bałaś się ciąży.

– Chyba żartujesz?! – podnoszę głos.

– Nie, a czemu? Powie się jej, że byliśmy prawie pewni wpadki, ale właśnie dostałaś okres.

– Czemu wszystko zwalasz na mnie?! A może powiemy jej, że płakałam, bo rozmawialiśmy o tym, jak w godzinach pracy lubisz się gapić na tyłek Kamili?!

– Wow, i wracamy do twojego ulubionego tematu. – Adam gniewnie parska i z niedowierzaniem kręci głową. – Nigdy nawet jej nie dotknąłem, ale jak tak dalej pójdzie, chyba nabiorę ochoty… Masz jakąś obsesję, zdajesz sobie z tego sprawę? – pyta.

– Ja mam obsesję?! Przecież to ty… – Urywam na widok pary po pięćdziesiątce, która pojawia się na sąsiedniej działce, i wyciągam rękę po klucze. – Pójdę do domu, nie mam ochoty tu tkwić – decyduję nagle.

– Jak wolisz. – Adam nie zamierza mnie zatrzymywać i po chwili samotnie idę przez wąską polną dróżkę ciągnącą się wzdłuż ogródków działkowych.

Kiedy przechodzę mostem nad płynącą nieopodal rzeczką, widzę jadącego z przeciwka szczupłego chłopaka na rowerze, który wygląda niemal identycznie jak tamten z wypadku. Zatrzymuję się z palcami zaciśniętymi na metalowej balustradzie. Adam się myli, to się nigdy nie skończy. Przynajmniej nie dla mnie. Nagle przychodzi mi do głowy coś bardzo przerażającego: „Co, jeśli co noc sypiam u boku potwora?" i czuję złość, zalewa mnie, wdziera się do mojej głowy, otula moje serce czarnym woalem wyrzutów sumienia. „Czemu on tak szybko zdołał się otrząsnąć, a ja nie mogę dojść do siebie? I dlaczego wtedy się na to wszystko zgodziłam zamiast wezwać pomoc? Trzeba było zadzwonić po karetkę, a nie brać ofiarę za nogi i ciągnąć ją w głąb lasu! Być człowiekiem, a nie oprawcą" – wyrzucam sobie. Ale cofnąć czasu już przecież nie mogę… Mogę jedynie zastanawiać się, czemu nie sprzeciwiłam się Adamowi. „Dlaczego nie zadziałałam na własną rękę? Mogłam przecież wyjąć telefon i wezwać pomoc. Mogłam zrobić tyle różnych rzeczy. Czemu tego nie zrobiłam?" – zastanawiam się i nagle, kilka kroków dalej, po prostu mnie oświeca.

Bałam się.

Bałam się Adama…

8.
WIOLETA

Odkąd poprosiłam Norberta o zabicie Adama, lepiej sypiam i jestem znacznie spokojniejsza. Nie mam już tylu koszmarów, zdrowiej się odżywiam i przestałam nawet myśleć o nocy, kiedy mnie zgwałcił, będąc już z Zuzanną…

Była jesień, jakiś czas po naszym rozstaniu, kiedy zaczaił się na mnie przy garażach. Wiedział, o której kończę pracę, wystarczyło schować się pomiędzy ciasno ustawionymi blaszakami, poczekać, aż wjadę samochodem do środka i bezbronna wyjdę w otaczającą mnie ciemność. Nie lubiłam tego zaułka, planowałam nawet zrezygnować z wynajmu. Garaże były położone w porośniętym chaszczami zaśmieconym zakątku na obrzeżach miasteczka, a korzystali z nich głównie emeryci, i to sporadycznie. Zazwyczaj już wjeżdżając w wąską alejkę w pobliżu działek, czułam się nieswojo. W dodatku tamtego wieczoru ktoś (idę o zakład, że to był on) stłukł kilka ulicznych latarni i przy garażach było jeszcze ciemniej.

Szukałam w torebce komórki, wyrzucając sobie, że wyszłam z auta bez telefonu w ręku, kiedy ktoś zaszedł mnie od tyłu i wciągnął w przeraźliwie ciemną przestrzeń pomiędzy blaszakami. W pierwszej chwili, szarpiąc się w panice, pomyślałam, że to jakiś przypadkowy lump, szwendający się nieopodal pijaczek, który zwietrzył okazję, dopiero znajomy zapach wody kolońskiej sprawił, że ugięły się pode mną kolana. Adam! Chciałam krzyczeć, ale zasłonił mi usta dłonią i wepchnął dalej w mglistą ciemność jesiennego wieczoru. Później, kiedy otoczyły nas rosnące za garażami drzewa, pchnął mnie na ściółkę i zwalił się na mnie całym ciężarem, usiłując opuścić spodnie. Darł na mnie rajstopy i majtki, kiedy udało mi się krzyknąć, ale mój głos zabrzmiał jak cichy skowyt rannego zwierzęcia.

– Teraz się zabawimy. Żebyś, suko, nie myślała, że o tobie zapomniałem – warknął, siłą rozsuwając mi nogi.

– Adam, błagam, nie – szepnęłam. – Przecież jesteś już z inną…

– Ale to ty przysięgałaś mi przed ołtarzem, pamiętasz? – Zaśmiał się pogardliwie i wbił się we mnie tak mocno, że krzyknęłam z bólu.

Kiedy mnie gwałcił, nie wiedziałam już, który raz, bez końca, wyżywając się na moim ciele i mojej duszy, leżałam bezwładna jak rzucona w trawę szmaciana lalka. Dawniej, kiedy maltretował mnie podczas trwania naszego małżeństwa, broniłam się bardziej, jednak tego wieczoru za garażami ogarnęła mnie jakaś graniczące ze stuporem bezsilność. Największym szokiem było dla mnie to, że dorwał mnie już po naszym rozstaniu, kiedy zaczęłam powoli dochodzić do siebie psychicznie i wierzyć, że jeszcze kiedyś będę szczęśliwa. Do niedawna nasz rozwód wydawał mi się linią graniczną, bezpiecznym kamiennym murem, za którym chciałam się skryć. To, że on związał się z Zuzanną, też było dla mnie pociechą. „Zajmie się nią i zostawi mnie w spokoju” – mówiłam sobie, czując współczucie dla tej młodej dziewczyny, którą złapał w swoją sieć. Ale okazało się, że mając ją, on nadal chce mieć i mnie…

Kiedy zapytał, czy mi dobrze, a później z głośnym jękiem doszedł, z trudem powstrzymałam wymioty.

– Dzięki, jak zawsze byłaś gorąca. – Zaśmiał się krótko, szyderczo, kiedy już ze mnie wyszedł, i w pośpiechu podciągnął spodnie. – Do zobaczenia, kotku – dodał, zanim rozpłynął się w otaczającej nas ciemności, zostawiając mnie ubłoconą, zbrukaną i leżącą w wilgotnej ściółce.

Nie pamiętam, jak wstałam. Nie pamiętam momentu, w którym założyłam podarte majtki i rajstopy, otworzyłam garaż i wsiadłam do samochodu. Później, trzęsąc się z zimna, tkwiłam tam, wciąż czując między nogami ból i wilgoć jego nasienia, ale nie potrafiłam płakać, jakby wyschły wszystkie moje łzy…

Kiedy w końcu dotarłam do mieszkania, późnym wieczorem, zlodowaciała z chłodu, roztrzęsiona i zszokowana, zapaliłam w łazience wszystkie znalezione w salonie aromatyzowane świece i, wdychając zapach jaśminu, tkwiłam w ciepłej kąpieli, dopóki woda nie zrobiła się letnia. Później, wciąż trzęsąc się z zimna, ubrałam się we flanelową piżamę, otuliłam frotowym szlafrokiem i z kieliszkiem czerwonego wina w dłoni zakopałam się w pościeli. Wiedziałam, że powinnam to zgłosić na policję, nie wyobrażałam sobie jednak składania zeznań na komisariacie, w którym pracował mój były kolega ze szkolnej ławki, było to dla mnie zbyt trudne. Zresztą część osób pewnie nie widziałaby problemu, zwłaszcza niektórzy faceci. Gwałt? Jaki gwałt? Skoro kiedyś byliśmy małżeństwem i tyle lat z nim sypiałam, po co nagle robię aferę, to bym pewnie usłyszała… Więc nikomu o tym nie powiedziałam. Nikomu, ani słowa. Matce, siostrze, najlepszej przyjaciółce, nikomu. Milczałam, tłamsząc w sobie ból sponiewieranej duszy, a moje obolałe, posiniaczone ciało bezgłośnie płakało z bezsilności…

„Ale już nie jestem bezsilna. Podjęłam decyzję i będę się jej trzymać” – mówię sobie. Od tamtego wieczoru za garażami Adam więcej mnie nie tknął. Nie zbliża się do mnie, nie szuka kontaktu, nawet telefon przestał dzwonić w środku nocy, ale przecież wiem, że on się tylko przyczaił. Bawi się ze mną, jak kot bawi się myszą, stopniuje napięcie, chce, żebym oszalała ze strachu

i ciągle oglądała się przez ramię… Bo przecież kiedyś znowu mnie dopadnie… „Chyba że to ja dorwę go pierwsza” – ta cudownie kojąca myśl niesie taką pociechę, że zaczynam płakać, ze szczęścia…

Po południu jadę na zakupy. Supermarket na obrzeżach miasteczka ma olbrzymi parking i jest położony na tyle daleko od centrum, żebym miała pewność, że nie wpadnę na Adama. O tej porze jest w salonie, gdzie znęca się pewnie nad jakimiś pacjentami. Zakupy robię niewielkie. Odkąd mieszkam sama i nie muszę codziennie gotować mężowi, jem niewiele. Mozzarella, bagietka, oliwki, koktajlowe pomidorki – koszyk zapełniam szybko i równie szybko wychodzę na zewnątrz.

Pakuję zakupy do bagażnika mojego kilkuletniego suzuki, kiedy kątem oka widzę kolesia szarpiącego młodą dziewczynę w krótkiej błękitnej sukience. Kiedy popycha ją na ścianę marketu, a ona się krzywi i rozmasowuje sobie ramię, zamykam klapę i z telefonem w ręku ruszam w ich stronę. Tymczasem koleś wrzeszczy, bryzgając wokół śliną. Słyszę epitety: „Ty durna kurwo” i „Jaką tępą jesteś szmatą?!” – wykrzykuje je jej prosto w twarz. Dziewczyna płacze. Jej szczupłe opalone ramiona drżą, biedaczka cała się trzęsie. On uderza pięścią w ścianę nad jej głową, rozcina sobie kłykcie i w złości kopie walającą się pod jego nogami puszkę po piwie.

– Hej! – krzyczę, a koleś odwraca się w moją stronę i wykrzywia czerwoną od przepicia gębę w pogardliwym uśmieszku.

– Co jest? Zgubiłaś się, paniusiu? – rzuca, otwarcie gapiąc się w mój dekolt.

– Bijesz kobietę – cedzę, a on parska śmiechem.

– Szkolę ją. Możesz mnie nazwać jej osobistym trenerem. – Rechocze.

– Bijesz ją! – podnoszę głos.

Na parkingu jest kilka osób, ale nikt inny nie reaguje. Kobieta koło pięćdziesiątki przemyka obok nas ze wzrokiem wbitym w swój telefon, młody koleś w garniturze, wyglądający na handlowca w delegacji, wsiada do szarej terenówki i pospiesznie odjeżdża, zostawiając mnie na pastwę pijanego agresora.

– Jeśli jeszcze raz ją tkniesz, wezwę policję – grożę mu, a on spluwa na beton, tuż przy moim bucie, i robi krok w moją stronę.

– Co powiedziałaś, stara krowo?! – warczy.

– Powiedziałam, że jeśli jeszcze raz choćby tkniesz ją palcem, dzwonię na policję – powtarzam, a on jeszcze głośniej rechocze.

– Spróbuj, babsztylu – mówi. – Zacznij wybierać numer, a wsadzę ci tę komórkę w paszczę tak głęboko, że wyjmiesz ją sobie przez cipę.

– Obawiam się, że z biologicznego punktu widzenia to raczej niemożliwe – mówię, patrząc mu prosto w oczy, a on jeszcze raz spluwa mi pod nogi i każe mi spierdalać.

– Jurek, przestań – prosi cicho jego dziewczyna, ale on każe jej się zamknąć. – Nie możesz obrażać ludzi – dodaje przestraszonym, drżącym głosem i wtedy on ją uderza.

– Ty pieprzony sukinsynu! – Nie myśląc, co w ogóle robię, rzucam się na niego z pięściami.

Wtedy dzieje się coś, czego w życiu bym nie przewidziała – atakuje mnie jego laska, piszcząc, drapiąc i szarpiąc mnie za włosy.

– Zostaw go! – wrzeszczy histerycznie, usiłując mnie od niego odciągnąć.

On odpycha mnie na ścianę, szarpie ją za rękę i ciągnie w stronę wyjścia z parkingu.

– Zadzwonię na policję! – rzucam w ślad za nim.

– Odwal się od nas! Jesteś jakaś jebnięta?! – krzyczy jego dziewczyna.

„Ja mam się odwalić?” – myślę, idąc w stronę samochodu. Dziewczyna podrapała mi rękę. Krzywię się na myśl o jej pazurach, które rozorały mi skórę do krwi. Żaden dobry uczynek nie pozostaje bez kary, jak to ktoś kiedyś powiedział…

Kilka stojących w bezpiecznej odległości osób otwarcie mi się przygląda, ale nikt nie pyta, co się stało, i nie proponuje pomocy. W aucie wybucham płaczem. „Co jest nie tak z tym światem?” – zastanawiam się, samotnie siedząc w przytulnym wnętrzu suzuki. Zaraz odjeżdżam. Wciąż cała się trzęsę, ale prowadzę spokojnie, skupiona na drodze.

Wtedy zauważam Zuzannę. Dziewczyna Adama idzie przez most, jest sama. Może wyszła na spacer albo wybrała się do znajomych? Mojego byłego męża w każdym razie przy niej nie ma i podejmuję spontaniczną decyzję o konfrontacji. Kiedy zjeżdżam na pobocze i parkuję w porośniętej pożółkłą trawą zatoczce nad rzeką, dziewczyna jeszcze mnie nie dostrzega. Idzie wpatrzona w telefon, widać znak naszych czasów…

Zanim wysiadam, przeglądam się w lusterku i ścieram rozmazaną pod okiem grudkę tuszu do rzęs. „Byczek spod sklepu nazwał mnie starą krową” – przypominam sobie i pod powiekami czuję łzy. Jestem mniej więcej w wieku Adama, więc daleko mi do starości, ale takie typki jak koleś sprzed marketu, tępi, latami obijający się na bezrobociu kolesie z przerostem karku, wolą chyba posuwać nastoletnie smarkule. Pewnie dlatego, że młodziutkim dziewczynom można jeszcze wcisnąć każdy możliwy kit i udawać przed nimi wielkiego macho, nawet jeśli w rzeczywistości jest się kompletnym przegrywem.

Zuzanna dostrzega mnie, kiedy jestem tuż przy niej i raczej źle reaguje na moją prośbę o rozmowę.

– Odczep się, kobieto! – rzuca ostrym tonem, usiłując mnie wyminąć, ale nie daję się zbyt łatwo spławić i łapię ją za rękę.

– Proszę, daj mi pięć minut – dosłownie ją błagam, tak bardzo chcę ją przestrzec przed facetem, z którym się związała.

– Puść! – syczy, ale chyba coś w tonie mojego głosu sprawia, że przystaje i rzuca: – Dobra, masz te swoje pięć minut.

W panice nie mam pojęcia, od czego zacząć, a ona przygląda mi się z malującą się na twarzy niechęcią, a może nawet pogardą? Ja też przez dłuższą chwilę na nią patrzę i współczucie miesza się z zazdrością. „Jest taka świeża i młoda… Ja nigdy już taka nie będę" – przechodzi mi przez myśl, ale szybko skupiam się na Adamie, bo przecież to przed nim chcę ją ostrzec.

– Posłuchaj, wiem, co sobie myślisz… Że mam do ciebie żal, bo ukradłaś mi męża albo…

– Nikogo nikomu nie ukradłam! – rzuca hardo Zuzanna, patrząc mi prosto w oczy. – Sam od ciebie odszedł, źle wam było razem!

– To prawda, było nam razem źle – przyznaję, a ona wyraźnie łagodnieje i rzuca coś, co brzmi jak: „Przykro mi". – Ale on nie jest tym, za kogo się podaje – dodaję po chwili, a ona pogardliwie wydyma wargi.

– Poważnie? Tylko na tyle cię stać? – kpi.

– Skrzywdzi cię, tak jak skrzywdził mnie – przestrzegam ją, ale nadal nie wygląda na przekonaną. – Uderzył cię już? Jeśli nie, niebawem to zrobi – mówię i nagle Zuzanna wygląda na lekko zmieszaną. – Więc już cię uderzył… – Uśmiecham się triumfalnie, chociaż wcale nie cieszy mnie to, co ją spotkało.

– Poniosło go, czasem się zdarza – rzuca szeptem, uciekając wzrokiem. – Muszę iść – dodaje nieco głośniej.

– On dopiero się rozkręca – straszę ją, ruszając za nią wąską nadrzeczną ścieżką. – To potwór, sadysta i zły człowiek – wyliczam.

– Potwór? Bez przesady! – Zuzanna gniewnie parska.

– Zgwałcił mnie – wyrywa mi się. – I zrobił to już wtedy, kiedy u niego mieszkałaś.

Nie powiedziałam o tym nikomu innemu, a jednak jej zdradziłam, co się stało tamtej nocy za garażami. Ale ona mi nie wierzy…

– Ja pierdolę, ty jesteś chora z zawiści! – rzuca w złości, zanim obraca się na pięcie i zostawia mnie samą.

– Ja nie kłamię! Adam jest potworem! – krzyczę.

Ale ona już mi się wymknęła – mknie wąską ścieżką wśród łopianów, nie oglądając się za siebie, a mój podniesiony głos płoszy jedynie stado ptaków, nikogo innego.

Kiedy zostaję sama, siadam na zrytej nożem drewnianej ławce i bezgłośnie szlocham. Jak to możliwe, że my, kobiety, pozwalamy się tak traktować? W jakimś momencie każdy z facetów podobnych do mojego byłego męża czuje, że może bezkarnie nas maltretować, bo mu na to pozwalamy? Tak właśnie to działa? Ale kiedy to się dzieje i jak? Czy to kwestia jakiegoś podświadomego pragnienia otrzymywania bólu, szkodliwy poziom autodestrukcji, której samotnie nie potrafimy się przeciwstawić, czy może kwestia charakteru? Mój ojciec latami lał matkę, a ona znosiła wszystko z pochyloną pokornie głową, potulna, cicha, uległa, nawet jeśli na jej sukience czerwieniły się plamy krwi z rozbitego nosa czy rozciętej wargi. „Nigdy nie chciałam skończyć tak jak ona i robiłam wszystko, żeby wybrać sobie zupełnie innego męża. Jakim więc cudem trafiłam na Adama?" – zastanawiam się, wierzchem dłoni ocierając łzy.

Ścieżką w moją stronę idzie starsza kobieta z psem.

– Wszystko w porządku, kochanie? – pyta, kiedy do mnie podchodzi, a jej ratlerek ujada, szarpiąc się na smyczy.

– Teraz już tak – mówię, posyłając jej blady uśmiech.

Nie drażni mnie jej zainteresowanie, nie nazywam tego wścibstwem. Wręcz przeciwnie, cieszę się, że zapytała. Ludzie coraz rzadziej dostrzegają coś poza wyświetlaczami własnych komórek. Wszechobecna przemoc eskaluje, a im większa znieczulica otoczenia, tym bezkarniej czują się napakowane masą mięśniową tępaki, siłą pięści rekompensujące sobie brak życiowych perspektyw.

Idąc w stronę samochodu, myślę o Zuzannie. Kiedy zapytałam, czy Adam już ją uderzył, zobaczyłam w jej oczach potwierdzenie moich obaw. A więc się zaczęło, pokazał swoje prawdziwe oblicze… Na razie nieśmiało, incydentalnie, lecz z czasem się rozkręci. Wpadła w jego sieć i szybko się nie wyplącze. Faceci tacy jak on początkowo każdy cios lub siniak nagradzają pocałunkami, zainteresowaniem czy błyskotkami. A kobiety takie jak Zuzanna długo im na to pozwalają… Zbyt długo…

9.
ZUZANNA

Wtorek i środa wloką się w nieskończoność, czas zdaje się rozciągać, robiąc mi na złość. W pracy snuję się jak zombie, starając się jednak grać rolę opanowanej i normalnie się zachowującej pracownicy. W domu głównie leżę na łóżku, gapiąc się w ścianę, a wzór sypialnianej tapety mam dosłownie wryty w pamięć, gdzie pewnie utknie na dobre, nie do usunięcia…

W czwartek budzi mnie deszcz, ciężkie krople letniej ulewy biją o parapet, spływają po szybach i szumią w rynnie. Nie ma jeszcze szóstej rano, kiedy nad miasteczkiem przechodzi prawdziwe oberwanie chmury. Adam śpi. Zawsze zazdrościłam mu twardego snu, nawet odległy pomruk burzy nie wyrywa go z objęć Morfeusza.

Wstaję i po cichu, żeby go nie obudzić, wychodzę z sypialni. Zanim włączam czajnik, sprawdzam wiadomości w telefonie, loguję się na Facebooka i przeglądam informacje na jednym z profili poświęconych naszej zabitej dechami dziurze, ale mojej uwagi nie przykuwa nic niezwykłego. Parzę więc kawę i z kubkiem gorącego napoju w dłoni otwieram balkonowe drzwi. Cenię to niecodzienne rozwiązanie i balkon w kuchni. Jest moim oknem na świat podczas gotowania; lubię spoglądać na dziedziniec, kiedy czekam, aż dojdzie ryż bądź ugotują się ziemniaki. Kamienica śpi, nawet okna pani Bogny z przeciwległej ściany budynku są zamknięte, chociaż zazwyczaj o tej porze staruszka już wietrzy.

Stoję więc w progu balkonowych drzwi i chłostana zacinającymi biczami ulewy, wpatruję się w rozmazany deszczem obraz sąsiedniego budynku. Dom… Kiedy wprowadziłam się do Adama, miałam nadzieję, że zakotwiczę tu na dłużej. Pokochałam to miejsce, wydawało mi się dobre i bezpieczne. Mili sąsiedzi, w miarę zadbana klatka schodowa, dziedziniec z rosnącym w kącie krzewem bzu, wszystko to miało swój urok, nawet kot bez tylnej łapy kręcący się czasem po podwórzu i dokarmiany przez lokatorów Adama. Nie mieszkam tu długo, a jednak zdążyłam już wrosnąć w to miejsce, oswoić je i pokochać. Rozpoznaję znajome twarze, kłaniam się sąsiadom. Oni też mnie lubią, zaakceptowali mnie w roli dziewczyny Adama i chyba nawet wybaczyli mu rozwód w tle, zwłaszcza że kłótliwa Wioleta nie była ponoć ulubienicą starszych sąsiadek.

„Dobrze mi tu, ale wiem, jakie to złudne. Gdyby wszyscy ci ludzie znali prawdę… – przechodzi mi przez myśl i lekko się wzdrygam. – Gdyby widzieli mnie i Adama ciągnących po ściółce nieprzytomnego bądź martwego chłopaka z twarzą zalaną krwią, czy wtedy ciągle machaliby do nas z okien?”. Znowu czuję pod powiekami łzy.

Kolejny grzmot przetacza się gdzieś znacznie bliżej, burza nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Kiedy zachmurzone niebo przecina błyskawica, cofam się w głąb kuchni, zamykam balkonowe drzwi i z kubkiem kawy w dłoni siadam za niewielkim drewnianym stołem nakrytym nieco staromodnym kwiecistym obrusem, który musiała kupić Wioleta. Na myśl o niej lekko się krzywię. Ciężko się mieszka w miejscu, które urządzała inna kobieta, a jeszcze ciężej śpi w sypialni, w której kochała się z moim facetem. Wiem, że to ona była wtedy jego żoną, ale i tak czasem mam ochotę wywalić wszystkie talerze, które kupiła, podrzeć obrusy wybrane niegdyś jej ręką i urządzić tu wszystko od nowa, po mojemu. Adam jest jednak temu niechętny, twierdzi, że to tylko rzeczy i nie powinnam robić z tego afery. Więc zagryzam zęby i milczę, chociaż krew mnie zalewa, kiedy on podaje mi rano kawę w filiżance wybranej kiedyś przez Wioletę.

– Hej. – Adam zjawia się w kuchni, kiedy wkładam do zlewu kubek, obejmuje mnie od tyłu i całuje w szyję. – Jak spałaś?

– W miarę okej – kłamię, nie chcąc go denerwować, ale prawda jest inna.

Spałam fatalnie i co chwilę się budziłam, a sny miałam lepkie od krwi i pełne chorych, brutalnych rojeń.

– Mało dziś pacjentów. – Adam siada za stołem i drapie się po głowie, jego jasne włosy są lekko przyklapnięte po nocy i zmierzwione.

– Bywają takie dni, nie ma się czym przejmować. Nie żyjemy w końcu w metropolii. – Wzruszam ramionami.

– A może by tak poroznosić ulotki w sąsiednich miasteczkach? – zastanawia się.

W pierwszej chwili mam ochotę odburknąć coś w stylu: „Naprawdę tym się teraz przejmujesz?”, ale nie chcę kolejnej awantury, więc mówię: „okej”.

Śniadanie robi Adam. Odkąd mnie uderzył, jest opiekuńczy i troskliwy, ciągle mi nadskakuje. Podoba mi się to, czuję się z tym dobrze, chociaż wspomnienie krwi z rozbitego nosa przeciekającej przez moje palce wciąż jeszcze sprawia mi ból. Nie potrafię też przestać myśleć o tym, co powiedziała mi Wioleta. Wiem, że jest zazdrosna, pewnie chce mi zaszkodzić, jednak jej ponure, złowieszcze słowa wrosły w moją głowę i nie chcą z niej ulecieć…

– Smacznego, kotku – mówi tymczasem Adam, stawiając przede mną talerz pełen kanapek z posypanym szczypiorkiem twarożkiem i rzodkiewką.

– Dziękuję. – Uśmiecham się do niego, a on całuje mnie w czubek głowy i siada naprzeciwko.

* * *

Alicja dzwoni kilka minut po siódmej, akurat w momencie, w którym wybieramy się pod wspólny prysznic.

– Tak, mamo? – Adam wita się z nią grzecznie, ale z pewną rezerwą.

Żadne z nas nie lubi jej porannych telefonów. O tej porze zazwyczaj albo się kochamy, albo przygotowujemy do wyjścia, ale ona zdaje się traktować te rozmowy jak swoiste zaznaczenie terenu i podkreślenie, że ma prawo pozawracać synowi głowę nawet wcześnie rano.

Rozmawiają krótko, później Adam zamyka wszystkie okna i razem wychodzimy, żeby otworzyć gabinet. Od niedawna startujemy o ósmej. Dawniej zaczynaliśmy o dziesiątej, ale Adam, zatrudniając Kamilę, zmienił nasze godziny pracy. Nie podoba mi się to, ale nawet słowa nie pisnęłam. W łóżku jestem jego kobietą, ale w pracy wyłącznie pracownicą. Czasem mnie to wkurza, ale chyba się z tym pogodziłam. Adam nie ma łatwego charakteru, to też już przecież wiem.

Na półpiętrze on łapie mnie za rękę i ściska moje palce tak mocno, że syczę z bólu.

– Wybacz. – Uśmiecha się blado. – Chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś się wyluzowała i od czasu do czasu uśmiechnęła.

– Postaram się – obiecuję.

– Nie postarasz się. Zrobisz to. – Mój facet całuje mnie w usta, a kolorowe światło z witrażowego okna na schodach zabarwia nasze sylwetki na karmazynową czerwień, mocną żółć i zachwycający szafir.

W gabinecie jest cicho i ciemno. Włączam światła i krzywię się, czując niezmienny aromat unoszącego się w powietrzu środka odkażającego, a Adam wsypuje miętowe cukierki do stojącej na recepcyjnym kontuarze dużej okrągłej miski z przezroczystego szkła. To też wdrożyliśmy niedawno – wchodzenie w tyłek pacjentom w sposób, w jaki wchodzą im inne firmy. Zamówiliśmy więc worek cukierków, eleganckie wizytówki, na których odwrocie zapisujemy nasze prywatne numery, i tanie chińskie lusterka, które sprzedajemy bądź rozdajemy jako gratisy, w zależności od liczby opłaconych wizyt i stopnia spoufalenia z pacjentem.

– Kamila się spóźnia. – Adam zerka na wiszący w recepcji zegar pokazujący dwie po ósmej, a ja nieco krzywo się uśmiecham.

– Pierwszego pacjenta ma dziś o dziewiątej trzydzieści. – Zerkam do zeszytu, biorąc w obronę koleżankę, bo upierdliwość Adama działa mi czasem na nerwy.

– Ale pracę zaczyna punkt ósma. Przecież w każdej chwili może tu zajść ktoś nieumówiony, po sąsiedzku – mówi, bębniąc palcami w kontuar.

Kilkanaście sekund później do salonu wpada zdyszana Kamila, strzepuje wodę z parasolki, a później mamrocze przeprosiny i idzie po mop, żeby wytrzeć mokrą podłogę.

– Spóźniłaś się. – Adam postanawia zabawić się w surowego szefa, a ona przygryza wargę i zerka na zegar.

– Cztery minuty – mówi. – Tak właściwie to nawet trzy, bo już jakąś chwilę tu jestem – tłumaczy się podenerwowanym głosem.

Adam chce coś dodać, ale w tym samym momencie do salonu wchodzi dwóch gliniarzy, na których widok ja ze strachu prawie sikam po nogach, Kamila momentalnie pręży obfity biust i szeroko się uśmiecha, a Adam cały się spina, chociaż widzę to tylko ja, świetnie go znając, bo oko przypadkowego świadka nie zawsze wyłapie to, co nigdy nie umyka najbliższym. Siadam na jednym z krzeseł w poczekalni, bo obecność mundurowych sprawia, że przestaję ufać własnym nogom.

– Czym możemy panom służyć? – Adam mówi oficjalnym, sztywnym tonem kolesia, który chce szybko załatwić sprawę i pozbyć się nachodzącej go policji, chociaż wiem, że w środku jest równie przerażony jak ja…

– Tej nocy, a właściwie nad ranem, było włamanie do niezamieszkanego lokalu naprzeciwko państwa kamienicy – zaczyna ten niższy. – Dostali się tam jacyś menele, zrobili imprezę. Rozgoniliśmy towarzystwo zaraz po zgłoszeniu hałasu, ale teraz się dowiedzieliśmy, że dzień wcześniej zgwałcono tam bezdomną trzydziestolatkę. Dziewczyna przyszła na komisariat, szukamy jej kumpli od kielicha.

– Nie wylegitymowaliście ich, kiedy interweniowaliście? – dziwi się Adam.

– To ponoć byli inni panowie – wyjaśnia ten wyższy, wymawiając słowo „panowie” z wyraźną pogardą w głosie, jakby jego zdaniem pijacy nie zasługiwali na takie określenie.

– Czyli wy przegoniliście meneli z rana, a dzień wcześniej ktoś tam zgwałcił dziewczynę? – upewnia się Adam.

– Dokładnie tak, doktorze – przyznaje ten wyższy, a ja czuję się tak, jakby ktoś zdjął stukilowy kamień z mojej piersi.

„Jasne, żal kobiety, chociaż z drugiej strony trochę trudno współczuć lasce, która spędza noce, włócząc się w towarzystwie zapitych żuli z patologii” – myślę. Chwilę później czuję się z tego powodu fatalnie, bo jednak gwałt to gwałt, a w moim rodzinnym domu też nie brakowało niebezpiecznych sytuacji z pogranicza i ostro zakrapianych libacji. Tymczasem Adam mówi coś o tym, że spaliśmy, nic nie wiemy i mamy okna sypialni od podwórza, nie od ulicy.

Kiedy gliniarze wychodzą, na nogach jak z waty idę do toalety dla personelu, opieram się o umywalkę i patrzę na swoje odbicie w lustrze. Jestem blada jak ściana i mam zaczerwienione oczy, ale najbardziej martwi mnie to, że nie potrafię opanować drżenia,

dosłownie cała się trzęsę, zarówno w środku, jak i na zewnątrz. Ochlapuję twarz zimną wodą i przeczesuję palcami wilgotne włosy, a wtedy w łazience zjawia się Kamila.

„Kurwa mać” – myślę, wściekła, że nawet przez pięć minut nie mogę pobyć sama, a ona zaczyna paplać o tym wyższym; koleś ewidentnie wpadł jej w oko.

– Nie miał obrączki, widziałaś? – mówi, stając obok mnie i zerkając w lustro. – Myślisz, że powinnam go poderwać? Może jeszcze jest szansa? Kręcą się naprzeciwko, po tym pustostanie. Swoją drogą, wszędzie meliny… Miasteczko się wyludnia, strach tu żyć – nawija.

– Chcesz, to wyjedź – mówię, poślinionym palcem poprawiając linię brwi, a Kamila lekko wzrusza ramionami.

– Niby dokąd i za co? Zresztą tu są dziadkowie i rodzice. – Uśmiecha się, a ja czuję zazdrość na myśl o tym, że ma tylu ludzi, na których może polegać.

Moich dziadków nie znałam. Babcia ze strony ojca umarła, kiedy był mały, dziadek odszedł podczas jego służby wojskowej. Z kolei mama mojej mamy co prawda żyje, ale mieszka pod Otwockiem i rzadko się do nas odzywa, a jej mąż, mój dziadek, od lat jest związany z inną kobietą, dla której przeniósł się w Bieszczady. Kiedy byłam młodsza, wysyłałam do nich kartki na święta, ale nigdy nie odpisywali i w końcu przestałam. Szkoda mi było kasy na znaczki i pocztówki, które słałam w świat, nie wierząc już w jakikolwiek odzew.

Oprócz Adama mam na świecie tylko mamę, ale i nasze drogi raczej rzadko się krzyżują. Ona żyje swoim życiem, ja swoim. Czasem się odwiedzamy, ale nie potrafimy okazać sobie czułości, zresztą nigdy tego nie umiałyśmy… Matka zawsze była dla mnie chłodna, traktowała mnie z dystansem. Czasem miałam wrażenie, że więcej ciepła potrafi okazać dzieciakom sąsiadów, i chociaż mocno mnie to bolało, z czasem przywykłam. Ciepła szukałam u facetów, zaczęłam się wikłać w mniej lub bardziej poważne związki, odkąd skończyłam czternaście lat, ale tak się jakoś składało, że z żadnym z nich nie udało mi się stworzyć domu. Przynajmniej w epoce sprzed Adama, bo teraz jest jakaś nadzieja…

Uśmiecham się do lustra, w duchu liczę do dziesięciu i mówię sobie, że wszystko będzie dobrze.

– Widziałaś tych kundli jebanych? Pieprzona psiarnia – szepcze mi na ucho Adam, kiedy samotnie wychodzę z łazienki. – Ja pierdolę, prawie się poszczałem na ich widok, byłem pewny, że chodzi im o nas…

Uciszam go, kładąc mu palec na ustach i wymownie zerkam w stronę drzwi do toalety, za którymi siedzi Kamila.

– Nie jesteśmy tu sami, zawsze o tym pamiętaj – mówię i całuję go w usta, a on łapie mnie za tyłek i mruczy, że cholernie seksownie pachnę.

– I znowu się migdalicie. – Słyszymy skwaszony głos Kamili, która w tym momencie wychodzi z toalety.

– Wybacz. – Adam unosi ręce, które odkleja od mojego tyłka, i puszcza Kamili oczko. – Trudno się godzi rolę szefa z rolą zakochanego faceta – mówi, a ona parska śmiechem, chociaż oczy ma złe, zawistne.

„Kurwa, czyli jednak nie mam omamów. Ona się w nim buja” – myślę. Zresztą może wcale nie chodzi jej o niego? Jest osiem lat starsza ode mnie, już po trzydziestce, i pewnie płonie jej piczka na myśl o związaniu się z kimś „odpowiednim”. Problem w tym, że w naszej okolicy jest pod dostatkiem lumpów, kolesi na rentach, zasiłkach i po odsiadce za drobne wykroczenia, ale znacznie mniej mężczyzn wykształconych, z kasą i klasą. A Adam, jaki by nie był nerwowy i chimeryczny, pochodzi z dobrej rodziny, skończył stomatologię i ma całkiem pokaźne konto. „Tak, Adam jest kąskiem, na który zerka niejedna lokalna panna” – stwierdzam i znowu czuję niechęć do koleżanki, która czekając na pierwszego umówionego pacjenta, kręci się po poczekalni, bezczelnie przysłuchując się naszym rozmowom.

„Uważaj na nią!” – piszę na wyrwanej z notesu kartce z nazwą pasty do zębów chroniącej przed próchnicą, a Adam czyta, lekko się uśmiecha i mnie notkę w dłoni.

– Lubisz marnować papier, co? – rzuca rozbawionym tonem.

– Mówiłam poważnie.

– Chyba pisałaś? – Mój facet wciąż wygląda na ubawionego. – I powiedz mi, że nie masz obsesji – szepcze.

– Jakiej obsesji? – Kamila, która kręci się w pobliżu, znowu bezceremonialnie wtrąca się w naszą rozmowę.

– Zuza boi się węży i stale o tym mówi. Obsesja normalnie. – Adam kłamie jak z nut, a ona aż się wzdryga.

– A kto normalny się ich nie boi? – rzuca, zanim zerka na drzwi i lekko je uchyla. – Przestało padać – dodaje.

– Jakbyś to za deszczem wodziła tym tęsknym wzrokiem. – Uśmiecham się złośliwie. – Jeśli tak bardzo chcesz go zagadać, to idź – dodaję jej otuchy, ale Kamila się waha.

– Nie wiem, głupio tak trochę, nie? I w dodatku to gliniarz, nie koleś spod dyskoteki. – Zamyka drzwi i siada na jednym z krzeseł.

– Idź, bo będziesz żałować. Albo ja pójdę i narobię ci obciachu – straszę ją.

– Dobra, idę – decyduje i wychodzi na ulicę.

– I po co ją zachęcasz? Jeszcze tylko tego nam trzeba do szczęścia, żeby się zaczęła spotykać z gliniarzem! – naskakuje na mnie Adam.

– Sorry, nie pomyślałam. Zresztą pewnie jest żonaty.
– Obrączki nie miał.
– A to o czymkolwiek świadczy? Mnóstwo osób ich nie nosi. – Wzruszam ramionami.
Kamila wraca jakieś dwie minuty później, smutna i przygaszona.
– Co jest? – Adam od razu bierze ją na spytki i podsuwa jej miskę z miętowymi cukierkami, które uwielbia.
– Nic, nie miałam odwagi, żeby zagadać. – Wzrusza ramionami i w poczekalni zapada cisza.
– Dobra, to ja się zabieram za maile. – Adam przerywa milczenie i włącza komputer, żeby rozesłać wiadomości z ofertami zniżek dla stałych pacjentów.
Ja, udając, że przeglądam jeden z segregatorów z dokumentami, siadam na krześle w poczekalni, modląc się w duchu, żeby Kamila dała mi chociaż trochę przestrzeni i zajęła się sobą.

* * *

Dochodzi dwunasta w południe, kiedy odzywa się do mnie Iza, jedna z moich najlepszych przyjaciółek, i pyta, czy nie poszłabym z nią na drinka.
– Co jest? – pyta Adam, widząc moją niepewną minę.
– Iza. Chce wyskoczyć na drinka, ale nie mam ochoty – mówię, bo sama myśl o przebywaniu w pełnym pijanych ludzi dusznym pubie rodzi we mnie panikę.
Adam jest jednak innego zdania.
– Idź, chociaż na jednego. Rozerwiesz się, napijesz prosecco, pogadacie. Leżenie na łóżku i gapienie się w ścianę do niczego dobrego nie prowadzi – mówi.
Koniec końców odpisuję Izie, że widzimy się o dziewiętnastej w Don Piwone, jednej z najstarszych knajpek w naszym mieście.
Wbrew jego zachętom nie mam ochoty tam iść, nawet mimo że potwierdziłam już spotkanie. Lubię Izę, ale żyjemy w innych bajkach… Dawniej byłyśmy nierozłączne, a teraz… Sama nie wiem… Miałam ciężki dzień w pracy, ale mocno wytrąciło mnie też z równowagi niespodziewane spotkanie z Wioletą. Zaczepiła mnie dwa dni wcześniej, kiedy samotnie wyszłam do sklepu, i zachowywała się jak wariatka. Wiem, że ma na naszym punkcie obsesję, nie potrafi się pogodzić z utratą męża i domu, ale żeby zagadywać mnie na ulicy?! To przechodzi ludzkie pojęcie! Najgorsze jest to, że nie mogę o tym nikomu powiedzieć. Adamowi? Nigdy w życiu! Izie? Nie zrozumiałaby. Matce? Wolne żarty. Wioleta to wariatka, zdesperowana porzucona żona, która nie mając własnego życia, ciągle myśli o Adamie. Trochę mi jej żal, ale głównie budzi we mnie niechęć.
„Powinna się w końcu pogodzić z tym, że on już do niej nie wróci, a nie wygadywać takie bzdury! Okej, uderzył mnie, ale robienie z niego jakiegoś zwyrodnialca? Chyba się zagalopowała” – myślę, odpychając od siebie wszystkie niewygodne emocje. Wiem, że nasz związek nie jest idealny, ale to, co ona wygadywała… Jak bardzo musi go nienawidzić, żeby aż tak chcieć mu zaszkodzić? Wmawiała mi, że to z troski o mnie, ale przecież znam takie jak ona i wiem, jak to się skończy… Dam sobie zrobić wodę z mózgu i zostawię go, a ona radośnie wskoczy na moje miejsce, do naszego łóżka. Przecież o to jej chodzi, o nic innego. Zgwałcił ją?! Litości! Postanawiam dłużej się nie zadręczać jej wymysłami.
– Wszystko w porządku? – Adam zjawia się przy mnie, kiedy w nieskończoność analizuję w duchu spotkanie z jego byłą żoną, przyciąga mnie do siebie i całuje w usta.
– Tak – kłamię.
Co innego mogłabym mu powiedzieć? Wioleta twierdzi, że jesteś potworem? Dobre!
Uśmiecham się półgębkiem i, wciąż w jego ramionach, obiecuję sobie, że nigdy więcej nie dam się wciągnąć w żadną rozmowę z nią. Ta kobieta jest chora z nienawiści do niego. Chora, wściekła, obsesyjnie zazdrosna i pogubiona. Adam nie jest ideałem, ale z całą pewnością nie jest facetem, którego chciałaby z niego zrobić jego ekszona. A już z całą pewnością nie jest gwałcicielem!

10.
ZUZANNA

Kiedy wchodzę do Don Piwone, Iza już na mnie czeka. Siedzi przy stoliku pod oknem; czarna kiecka, w uszach długie pozłacane kolczyki, które z każdym gwałtowniejszym ruchem jej głowy mienią się światłem sztucznych diamentów, jasne włosy spięte w wysoki kok na czubku głowy – prezentuje się bosko, jak zawsze.

– Hej! – mówię, starając się wyglądać i zachowywać normalnie, a ona unosi się na krześle i przechyla, żeby pocałować mnie w policzek.

– Hej – odpowiada, siada i wygląda przez okno. – Waldek Kowalczuk właśnie wyszedł, słyszałaś? – mówi.

– Nie. – Wzruszam ramionami, bo niewiele mnie to obchodzi.

Iza to co innego, kiedyś, jakoś w okolicach matury, się w nim podkochiwała. Później wsadzili go za jakieś przekręty podatkowe i było po miłości…

– Co słychać? – pytam, zerkając w stronę baru. – Zamówić ci prosecco?

– Dla mnie piwo. Duże, ciemne. – Niecodzienny wybór Izabeli nieco mnie zaskakuje, ale nie komentuję.

Wstaję i idę do baru. Siedzący przy drewnianym kontuarze brodacz koło czterdziestki otwarcie się na mnie gapi. Na głowie ma czarną bandanę w trupie czaszki, na grzbiecie skórzaną kamizelkę. „Typowy motocyklista, pewnie przejazdem" – myślę.

– Postawić ci drinka? – pyta, kiedy wyjmuję portmonetkę.

– Nie, dzięki. – Spławiam go, ale nie zamierza szybko się poddawać.

– „Nie, dzięki" i tyle? A co, jeśli jestem nadzianym finansistą, który w ramach hobby przebiera się za harleyowca? – Brodacz pochyla się w moją stronę i zapuszcza żurawia w mój dekolt. – Czy to by cię jakoś przekonało?

– Bogaci finansiści siedzą teraz na Dominikanie.

– A ci nieco biedniejsi na Zanzibarze – wtrąca barmanka, otyła, mocno wytatuowana ruda kobieta po czterdziestce, która pracuje tu od lat i ma ksywkę Cycata Zośka.

– Dobre. – Puszczam jej oczko i zamawiam dwa piwa, bo nagle sączenie prosecco nie wydaje mi się już tak kuszące jak kilka minut wcześniej.

– Czyli nie dasz sobie postawić drinka i nie dasz się poderwać? – Motocyklista podejmuje ostatnią, desperacką próbę zwrócenia mojej uwagi, ale odwracam się do niego plecami i, czekając na zamówienie, udaję, że interesuję się meczem siatkówki emitowanym na zawieszonym nad barem telewizorze. – Nie, to nie – rzuca pod nosem brodacz. – Kij ci w ten wychudzony tyłek – dodaje, zanim na dobre się zamyka.

„A tobie w dupę. Z opcją kija w oko" – myślę, płacąc za oba piwa.

– Czego chciał ten oblech? – pyta Iza, kiedy wracam do stolika.

– Przypieprzył się, klasyka. – Obojętnie wzruszam ramionami, chociaż koleś zdążył mi nieco podnieść ciśnienie. – To co słychać? – pytam przyjaciółkę, a ona lekko się uśmiecha.

– Poznałam kogoś fajnego – chwali się.

– Wow, rewelacja – cieszę się, bo z jej pechem do facetów to naprawdę miła odmiana. – To ktoś stąd?

– A czy wtedy powiedziałabym, że poznałam kogoś fajnego? – Izabela triumfalnie się uśmiecha i upija kilka łyków piwa.

– Bez przesady – mruczę, bo jej kąśliwą odpowiedź i wymowną minę biorę do siebie.

„Ja jestem z facetem stąd i jakoś żyję" – myślę, tymczasem ona wyciąga z torebki telefon i pokazuje mi zdjęcie opalonego wysokiego bruneta po trzydziestce.

– Ma na imię Arek i przyjechał tu kupić samochód. Wpadliśmy na siebie na stacji benzynowej. Ja kupowałam chipsy, on zapytał o jakąś dobrą knajpę. Poleciłam mu tę nową, nad samym jeziorem, a on zapytał, czy zamiast pełnego tłuszczu paskudztwa, które zamierzam zjeść, nie dałabym się zaprosić na obiad – relacjonuje Iza.

– Wow – mówię, a ona zaczyna paplać o jego domu na peryferiach Torunia, dwóch rasowych psach i poszukiwaniach kogoś na stałe.

– Jest finansistą, jeździ dżipem i ma własny domek nad jeziorem – wymienia. – W dodatku chce się żenić, powiedział, że ma dość płytkich kobiet i równie płytkich związków!

– I akurat z tobą chce się żenić? – pytam nieco złośliwie, bo nagle Iza w roli Kopciuszka zaczyna mi się jawić jako nadęta, zarozumiała chwalipięta.

– No może i ze mną. – Moja przyjaciółka mruży oczy, obrzuca pogardliwym spojrzeniem gapiącego się na nas brodacza i dodaje, że chyba się zakochała.
– Czekaj, a ile wy się znacie? – pytam.
– Trzy tygodnie, ale…
– Kurwa, piękna, zejdź na ziemię! – besztam ją. – W trzy tygodnie można co najwyżej stwierdzić, że się kolesia lubi, nic więcej.
– A kto tak mówi? Ja się czuję zakochana. – Izabela posyła mi złe spojrzenie. – Jesteś zazdrosna? Bo nie układa ci się z Adamem, o to chodzi?
– Nigdy nie mówiłam, że się nam nie układa. Mówiłam ci tylko, że on czasem jest porywczy, a ja reaguję przesadnie na…
– Czasem jest porywczy? – przyjaciółka wchodzi mi w słowo. – W liceum ciężko pobił miejscowego chłopaka i gdyby nie tatulo z kasą, pewnie wylądowałby w poprawczaku. Później było kilka grubych afer w knajpach, bójki, wyzwiska, naruszenie nietykalności cielesnej, ale ty, oczywiście, będziesz go bronić do upadłego? Wioletę też bił, wszyscy wiedzą. Przed ludźmi udaje ideał, paradując w tym swoim nieskazitelnie białym lekarskim kitlu, ale to świr, uwierz mi – cedzi Iza z malującym się na twarzy wyrazem pogardy. – Rzuć go, zanim podzielisz los jego żony i będziesz popierdalać po miasteczku z podbitymi oczami. Chyba że to już się dzieje? Bije cię? – pyta, a ja zastanawiam się, czy mój nos wciąż jest lekko opuchnięty po jego ciosie czy po prostu panikuję.
– Adam nigdy mnie nie uderzył – kłamię, a Iza z politowaniem kiwa głową.
– Jakoś ci nie wierzę – mówi i nagle czuję złość.
– Czujesz się ode mnie lepsza, prawda? – pytam. – Bo twoi rodzice prowadzą pensjonat, a ty dostałaś od ojca mieszkanie. Bo zawsze miałaś kasę na drobne przyjemności i nosiłaś modne ciuchy, a ja byłam przy tobie jak jakiś kopciuch, którego kosztem poprawiałaś sobie samopoczucie! – wybucham, a ona otwiera usta, wyraźnie zszokowana moimi słowami.
– Zuzka, odwaliło ci? – pyta cicho.
W oczach ma łzy i po chwili robi mi się głupio. „Może faktycznie przesadziłam? Przyjaźnimy się od podstawówki, dużo razem przeszłyśmy. Nie powinnam tak do niej mówić, zwłaszcza że nigdy nie była dla mnie chamska” – wyrzucam sobie.
– Sorry – szepczę, a ona zaciska palce na mojej dłoni.
– Stało się coś złego, prawda?
– Skąd ci to przyszło do głowy?
– Widzę. Jesteś nerwowa, sarkastyczna i wściekła. Zawsze tak reagujesz na stres. To coś z Adamem? – pyta, a ja wciskam jej kit o jakiejś drobnej kłótni, aferze zupełnie bez znaczenia, która zepsuła mi dzień.
– Po prostu mam dziś doła – mruczę, a Iza głaszcze mnie po ręce i proponuje, żebyśmy poszły nad wodę.
Jezioro jest niedaleko, jedno z najmniejszych w naszej okolicy, ledwie bajorko, a jednak bardzo urokliwe. Kiedy siadamy na pomoście, komary tną jak szalone, a gdzieś za naszymi plecami rozbrzmiewa głośna discopolowa muzyka.
– Nienawidzę tej dziury – mruczy Iza. – Tego zapijaczonego grajdołu, w którym mogę co najwyżej wyjść za mąż i rodzić bachora za bachorem.
– Przed chwilą powiedziałaś, że chcesz wyjść za mąż – wypominam jej.
– Za Arka, finansistę z Torunia, a nie za jakiegoś frajera stąd – mówi, opierając głowę na moim ramieniu. – Zazdrościsz mi mieszkania, które dostałam od ojca, ale ono było gwarancją mojego dożywocia w tej dziurze. Ojciec, kupując mi je, chciał na dobre mnie tu uziemić, nie rozumiesz? – W jej głosie słyszę złość.
– Z kolei mój ojciec zostawił mnie, kiedy miałam kilka lat i w dupie ma to, czy mieszkam tutaj czy gdzie indziej, więc nie narzekaj i doceń to, co masz – pouczam ją, bo nagle zaczyna mnie wkurzać ta jej irytująca poza rozpieszczonej panienki z dobrego domu, która marzy o wyrwaniu się w wielki świat.
– Zuza, ja wiem, że jestem szczęściarą. Problem w tym, że jakoś tego nie czuję. Nie umiem być szczęśliwa, rozumiesz?
– Nie – mówię i przez dłuższą chwilę obie milczymy.
– Myślę, że mam depresję – odzywa się nagle Iza, a ja parskam śmiechem.
– Poważnie? I niby skąd by ci się to wzięło?
– To się po prostu przytrafia. Młodym, pięknym i bogatym też – mówi cicho, a ja szturcham ją łokciem i głośno się śmieję.
– Więc jednak jesteś piękna, młoda i bogata? – droczę się z nią.
– Zuzka, ja mówię poważnie. Czasem są takie dni, kiedy nie mam nawet siły wstać z łóżka. W ciągu roku trzymają mnie w pionie studia, ale teraz… Za dwa dni ostatni egzamin, a później sama nie wiem, co ze sobą zrobię…
– Później będzie lato, pomożesz rodzicom w pensjonacie, poflirtujesz z miejscowymi playboyami, pochodzisz ze mną na basen, a w październiku wrócisz na studia i…
– Jezu, ty niczego nie rozumiesz – wchodzi mi w słowo Iza. – Za chuja nie ogarniasz tego, co do ciebie mówię! – wybucha.
„Jakbyś ty zawsze mnie rozumiała” – myślę, głaszcząc ją po plecach.
– Pójdę już – mówi.

Chyba ją uraziłam, tak się przynajmniej zachowuje.

– Izka, czekaj. Sorry… – Usiłuję ją zatrzymać i poprawić jej nastrój, ale ona już wstaje i bez słowa rusza w kierunku pobliskiego pubu.

Idę więc za nią i po chwili obie siadamy na pustych krzesłach przed lokalem.

– Ostatnio coraz częściej się kłócimy, zauważyłaś? – mówię.

– Pewnie dlatego, że nasze światy coraz bardziej się od siebie oddalają. – Wzrusza ramionami, a ja odbieram jej słowa jak policzek.

– Nasze światy? To nagle żyjemy na innych planetach? Bo co? Bo ja mam skończone tylko technikum medyczne, a ty studiujesz? Bo masz większą kasę, a ja pochodzę z biedy? O co ci chodzi?! – podnoszę głos.

– Mamy inną mentalność – mówi po chwili ciszy. – Ty żyjesz po to, żeby przetrwać, ja żeby coś przeżyć.

– Może dlatego, że ty przetrwanie masz zapewnione dzięki mamusi i tatkowi? Spróbuj radzić sobie sama, wtedy zobaczysz! Przetrwać bez kasy od rodziców, utrzymać się na powierzchni, będąc zdana tylko na siebie! – wyrzucam z siebie, a złość dosłownie pali mnie w gardle.

Iza nie odpowiada. Milcząc, skubie lekko ukruszony czerwony lakier na kciuku i z zaciętą miną patrzy przed siebie, w stronę jeziora. Wtedy do mnie dociera, że to koniec naszej przyjaźni, bo nie mamy już sobie nic do powiedzenia, i znowu żałuję, że w ogóle tu przyszłam. „Przecież od dawna się nie rozumiemy, po co ciągle odrywać świeżo zagojony strup i męczyć się w swoim towarzystwie” – myślę.

Wstaję chwilę później, pochylam się i całuję ją w czubek głowy.

– Dbaj o siebie – mówię. – I wyjdź za tego bankiera, skoro tak chcesz się stąd wyrwać. Tylko nie leź z nim od razu do łóżka, żeby się nie okazało, że bajer ze ślubem to tylko metoda na rozłożenie twoich długich nóżek. – Mrugam do niej, a ona się krzywi, jakby moje słowa ją uraziły.

– Fakt, ty o rozkładaniu nóg wiesz wszystko – mówi, patrząc mi prosto w oczy.

Zabolało, ale nie daję tego po sobie poznać.

– Żebyś wiedziała – rzucam lekkim tonem i, nie oglądając się za siebie, idę w stronę centrum miasteczka i kamienicy Adama, do domu.

* * *

Wieczór jest duszny i jasny, to jedna z tych cudownych chwil, kiedy człowiekowi trudno uwierzyć, że kiedyś znowu wróci zima z całą swoją przygnębiającą, szaroburą paletą barw, ziąbem i krótkimi dniami. Idę wolno, napawając się chwilą wytchnienia, otaczającą mnie ciszą i stukotem moich wysokich obcasów rozbrzmiewającym w uliczce. Skręcam w Baczyńskiego, kiedy słyszę za sobą męskie kroki. Są mocne, pewne, kilkanaście metrów za mną. Odwracam się gwałtownie i patrzę prosto w oczy wysokiemu, dobrze zbudowanemu młodemu facetowi. Jest upał, ale on ma na sobie czarną bluzę z kapturem, który naciągnął głęboko na czoło. Zbliża się szybko, zdecydowanym krokiem, patrzy na mnie i chyba bawi go mój strach. Rzucam się do biegu, gnam przed siebie, przeklinając w duchu sandałki na wysokim obcasie, puste ulice rodzinnego zadupia i fakt, że nawet przy obleganej zazwyczaj lodziarni U Hanki dziś nie widać żywego ducha.

Biegnę, a on idzie za mną. Jego kroki się zbliżają, ja potykam się na nierównej chodnikowej płytce i w ostatnim momencie łapię równowagę.

„Kurwa!” – klnę w duchu. Nagle widzę uchyloną bramę jednej z bardziej zadbanych piętrowych kamienic i bez namysłu wpadam do środka, zatrzaskując za sobą ciężkie drewniane drzwi z matową szybką pośrodku. Później opieram się plecami o ścianę i, starając się opanować szaleńcze bicie serca, wyjmuję z torebki telefon. Facet, który szedł za mną, podchodzi do drzwi i przystaje, wyraźnie widzę za szybą jego zwalistą sylwetkę. Chwilę później wyciąga rękę i otwiera bramę kluczem, a pode mną uginają się nogi.

– Przestraszyłem cię? – pyta, widząc mnie wtuloną w ścianę. – Jeśli tak, to sorry. – Uśmiecha się, chyba jest rozbawiony.

– Nie! – syczę mało sympatycznym tonem i, cała się trzęsąc, wychodzę przed kamienicę.

„Odjebało mi. Cała ta sytuacja sprawiła, że kompletnie ześwirowałam” – mówię sobie, idąc dalej, w stronę naszej ulicy.

W mieszkaniu jest pusto. Na leżącej na stole kartce znajduję zapisaną ręką Adama wiadomość, że wyskoczył na bilard i wróci pewnie jakoś po północy, może trochę później. Ściągam więc przeklęte sandałki na zdradliwie cieniutkim obcasie, robię sobie kanapkę i z talerzem w ręku zasiadam przed telewizorem.

Plazma jest olbrzymia, prezent od Alicji, którego używamy sporadycznie. Rzadko bywamy w domu, a jeśli już tu jesteśmy, wolimy się pieprzyć, pić wino, wspólnie gotować albo przesiadywać na balkonie. Jednak teraz, samotnie siedząc na sofie, przerzucam pilotem kanały, póki nie trafiam na jakiś idiotyczny brytyjski sitkom i zawieszona, ledwo kontaktując, o czym mówią bohaterowie, gapię się w telewizor, usiłując się odciąć od wydarzeń zeszłego weekendu. Ale w mojej głowie wciąż wyświetla się

ten sam niechciany obraz. Umazana twarz, sklejone krzepnącą krwią włosy i wspomnienie moich rąk zaciśniętych na jego łydkach w chwili, kiedy taszczyliśmy go w głąb lasu. Rowerzysta… Czy jeszcze żyje?

– Oczywiście, że uwielbiam na pieska, byle nie z własnym mężem – mówi jedna z kobiet w telewizji, a jej słowom towarzyszy wybuch puszczanego z taśmy śmiechu.

W kuchni dzwoni mój telefon. Jego dźwięk sprawia, że momentalnie robię się czujna. Co, jeśli to ktoś z policji? Ale czy policja dzwoni do ludzi na komórki czy po prostu zjawia się w drzwiach?

Numer nieznany. W pierwszej chwili nie zamierzam odbierać, ale dzwoniący nie zamierza zrezygnować.

– Halo? – mówię więc cicho, przez zaciśnięte gardło.

– Kilometr szłaś do tego telefonu? – słyszę poirytowany głos matki, a ulga jest tak wielka, że aż opadam na krzesło.

– Cześć. – Uśmiecham się blado. – Zmieniłaś numer? – pytam po chwili, a ona mówi, że dzwoni z nowego telefonu Tadeusza, i wyrzuca mi, że się u niej nie pokazuję.

– Byłaś u mnie w Wielkanoc i później nic… Przepadłaś jak kamień w wodę – dodaje z wyrzutem.

„Ta droga prowadzi w obie strony” – myślę, a ona pyta, czy wszystko u mnie w porządku.

– Tak, chyba tak – mówię cicho, mało przekonującym głosem, ale matka nie wyczuwa mojego napięcia.

Rzuca tylko krótkie „to dobrze” i zaczyna nawijać o Tadeuszu, swoim najnowszym gachu, który od kilku tygodni pomieszkuje w moim rodzinnym domu razem z nutriami, które ze sobą przywlókł i umieścił w klatkach za domem, starym kulawym psem o debilnym imieniu Rambo i prawie dwudziestoletnim przerdzewiałym oplem, którym nigdy nie jeździ, bo albo jest pijany, albo nie stać go na benzynę.

– Nogę skręcił Tadzik, leżeć musi, wszystkie te jego zwierzęta na mojej głowie – matka utyskuje do telefonu, jak zawsze mówiąc tylko o sobie.

Słucham piąte przez dziesiąte i nagle przychodzi mi do głowy coś zupełnie niedorzecznego: „Co by było, gdybym jej się zwierzyła? Przecież na całym świecie nie powinno być bliższej osoby niż matka. Co by mi poradziła? Czy zrozumiałaby, w jakim byliśmy szoku? Uznałaby nasze racje i jego winę, bo przecież to on wjechał nam prosto pod koła. A może z obrzydzeniem w głosie nazwałaby nas potworami albo kazała niezwłocznie iść na policję i opowiedzieć o wszystkim mundurowym?”. Tymczasem ona nawija o skłóconej z nimi sąsiadce, której przeszkadzają kury na jej podwórzu.

– …że śmierdzi jej z naszego kurnika, paniusi przeklętej, wyobrażasz sobie? Tak nosa zadziera, odkąd ten jej synalek skończył studia, że to aż żenujące – parska.

– Nie – mówię, a ona się złości.

– Co nie? – rzuca mało sympatycznym tonem. – Słuchasz mnie w ogóle?

– Mówię, że sobie nie wyobrażam – wzdycham do telefonu, a matka łagodnieje.

– Z Adamem się dogadujecie? – pyta, a ja przypominam sobie przeciekającą przez moje palce krew i nerwowo przełykam ślinę.

– Tak – mówię. – Jest dobrze.

Kłamię? W sumie sama już nie wiem. Pożądam go, myślę, że również kocham, i jest mi z nim wygodnie. Czy jeden cios w złości ma to wszystko przekreślić? Usprawiedliwiam go w duchu, bo przecież tyle razy przepraszał za to, że mnie uderzył, na pewno nie chciał, oboje byliśmy zestresowani, stało się…

– W ciąży chyba nie jesteś? Tak się zastanawiam, bo nagle gdzieś przepadłaś… Do pieluch się nie spiesz, same problemy z dzieciakami, i tyle – mówi.

Chwilę później zapala papierosa i przez moment milczy.

– Pokaż się u nas, co? – dodaje po dłuższej chwili.

– Przyjdę – obiecuję.

– Może jutro? Przed południem, zanim będzie burza. Upiekę coś, pogadamy.

„Skąd nagle ta wylewność?” – zastanawiam się, bo matka od lat aż tak nie nalegała na spotkanie ze mną, wręcz przeciwnie, ma zwyczaj kompletnego ignorowania mojej osoby. „Potrzebuje kasy? Czegoś innego? Chce się czymś pochwalić?” – rozważam, podczas gdy ona mówi o synu sąsiada z równoległej ulicy, który po pijaku wjechał w mur.

– Zabić kogoś mógł, pijus francowaty – obrusza się, dorzucając kilka przekleństw.

„Jakbyś ty nie piła” – myślę, wspominając pijackie awantury, jej chore wybryki i wizyty w mojej podstawówce, do której przychodziła w trakcie lekcji, krzycząc na nauczycieli, żeby dobrze kształcili jej córkę, bo światem rządzą pieniądze. Te wspomnienia palą mnie do dziś, pieką żywym ogniem, zawstydzają. Matka, która siłą chcąc się wedrzeć do mojej klasy, pobiła się z woźną. Matka brudna, zmięta, opuchnięta, czekająca na mnie tuż za szkolną furtką. Matka wyzywająca innych rodziców, szarpiąca mnie za ramię, cuchnąca przetrawionym alkoholem. Wściekła na cały świat, zaniedbana, z ciemnymi włosami na nieogolonych łydkach i nieodłącznym papierosem w kąciku ust.

Nie zawsze tak było, wiem. Zanim odszedł tato, była piękna, zadbana i kobieca. Czekała na niego z obiadem, podśpiewywała, kręcąc się po kuchni, całowała mnie w czubek głowy i podtykała mi słodycze. To jego odejście zrobiło z niej zapitą karykaturę

człowieka, zniszczyło ją i złamało. Nie potrafiła udźwignąć roli kobiety, która nie utrzymała przy sobie męża, nie dała rady się pozbierać.

Czasem przestawała chlać. Na miesiąc, kilka tygodni, pół roku. Dużo wtedy piekła, chodziła do kościoła i chciała częściej mnie widywać, ale później na jej stół wracała wódka, w domu pojawiał się jakiś nowy dochodzący amant, a ona szła w tango, wracała do tego, czego obie tak bardzo nienawidziłyśmy…

– Jesteś? – pyta matka, wyrywając mnie z zamyślenia.

– Jestem – mówię, bliska łez, bo każda rozmowa z nią sprawia, że budzą się wszystkie złe wspomnienia…

– Będziesz u nas jutro?

– Może.

– Może? To ma być odpowiedź?

– Okej, będę – godzę się dla świętego spokoju.

Nie chcę tam iść. Każde spotkanie z nią znoszę fatalnie, sam jej widok sprawia, że od razu czuję się gorsza, brudna i wybrakowana. Ale wiem, że w końcu i tak będę musiała się tam zjawić, a co się odwlecze, to nie uciecze…

– Będę – obiecuję.

Matka rozłącza się chwilę później, mamrocząc coś o tym, że ma krupnik na kuchence.

I nagle mimo wszystko czuję tęsknotę za jej zapachem, wonią tytoniu, którą przez lata niemal przesiąkła, i dotykiem jej spracowanych dłoni. „Kocham cię, mamo” – myślę, chociaż na głos nie powiedziałabym tego za żadne skarby świata. W naszej rodzinie nie okazuje się uczuć i się o nich nie mówi. Gdy byłam młodsza, myślałam, że mnie uda się kiedyś stworzyć zupełnie inne klimaty i znacznie cieplejszy dom, ale patrząc na to, jak ostatnio układa się nam z Adamem, nie jestem już co do tego taka przekonana…

„Pewne wzorce zachowań powtarza się przez pokolenia” – przypominam sobie usłyszane kiedyś w telewizji zdanie i robi mi się przykro. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Od pewnych spraw nie da się uciec…

11.
ZUZANNA

W sobotę po pracy wsiadam na rower i jadę do matki. Mieszka na obrzeżach miasteczka, w zaniedbanym parterowym domku z pustaków, który z zewnątrz wygląda tak samo biednie jak wewnątrz.

W ogrodzie, opierając rower o lekko przechylony trzepak, krzywię się na widok spacerujących po gołej ziemi kur. Matka nigdy nie potrafiła zadbać o trawę wokół domu, ale ostatnio jej podwórze sprawia wyjątkowo przygnębiające wrażenie, a poznaczona kurzymi pazurami mokra od nocnej ulewy ziemia przypomina klepisko.

Matka czeka w progu, oparta o framugę pali papierosa. Ma na sobie podomkę, tę samą, w której chodziła ostatnio, spraną tanią szmatkę w duże liliowe kwiaty, w której wygląda trochę jak gospodyni domowa z lat pięćdziesiątych, a trochę jak zwykły flejtuch.

– Cześć, mamo – mówię, a ona ciska niedopałek na ścieżkę przed domem i kiwa mi głową na powitanie.

W środku jest duszno i ciemnawo, wszystkie okna są zasłonięte granatowymi storami z ciężkiego materiału.

– Tadeusz lubi półmrok – tłumaczy się matka, kiedy siadamy przy stole.

– A gdzie on jest? – pytam, rozglądając się po zabałaganionym salonie. – I co zrobiłaś z kredensem po babci?

– Sprzedałam. – Matka obojętnie wzrusza ramionami.

– Sprzedałaś? Mówiłaś, że kiedyś będzie mój! To była jedyna cenna rzecz, która kiedykolwiek stała w tym domu! – podnoszę głos, bo akurat ten zabytkowy ciężki mebel z czterema przegrodami kojarzył mi się z dzieciństwem i poczuciem przynależności do rodziny, jakakolwiek by ona nie była.

– Miałam trochę długów. – Matka sięga po tanie papierosy z przemytu, które od lat załatwia jej znajoma, i wyciąga z paczki przedostatniego.

– Ale na fajki cię stać? – syczę, a ona ponownie wzrusza ramionami, bynajmniej nieporuszona moim wybuchem.

– Czasem stać, czasem nie stać – mówi, zanim sięga po leżącą na stole zapalniczkę.

– Gdzie Tadeusz? – ponawiam pytanie, bo nigdzie nie widzę jej gacha.

A przecież zazwyczaj, kiedy tylko przychodzę w odwiedziny, kręci się po salonie i przysłuchuje, o czym mówimy, zawsze w znoszonych dresowych spodniach i białym podkoszulku na ramiączkach, cuchnący potem i przetrawioną wódką, nieogolony i zarośnięty. Nie lubię go, podobnie jak nie lubiłam poprzednich fagasów matki, ale wiem, że ona nie potrafi być sama, więc staram się nie okazywać mu wrogości i akceptować jej desperackie wybory.

„Zresztą może to akurat mam po niej" – myślę, bo przecież ja również boję się samotności…

– Włosy ci urosły – mówi matka, strzepując popiół. – Zawsze miałaś ładne te włosiska, chłopy się za tobą oglądały – dodaje, zanim wsuwa zapaloną fajkę między pełne wargi i ponownie zaciąga się dymem. – Ciesz się młodością, bo uroda ulatuje z kobity szybciej, niż ci się wydaje – rzuca jeszcze chwilę po tym, gdy wydmuchała dym gdzieś ponad moją głową. – A później już tylko siwiejące skronie, puchnące kostki i pieprzona menopauza.

– Takie jest życie – mówię, a ona parska głośnym śmiechem.

– Proszę, proszę, filozofka się znalazła – rzuca, a później wyciąga rękę i gładzi mnie po głowie. – Piękne włosy, Zuzanko. Nigdy ich nie obcinaj, przynajmniej póki nie siwiejesz.

W jej oczach widzę czułość i zalewa mnie fala ciepłych uczuć do tej zaniedbanej, brzydko się starzejącej kobiety, która siedzi ze mną przy jednym stole.

– Gdybyś potrzebowała trochę pieniędzy, to mów. Zawsze coś ci mogę pożyczyć – obiecuję.

– Od córki mam kasę pożyczać? Niech Tadzik kombinuje, skoro tu mieszka. Do rachunków się nie dorzuca, to niech chociaż kasę od ludzi wyciąga.

– Nie dorzuca się?

– A niby z czego? – Na jej nalanej twarzy pojawia się grymas gniewu. – Co ma, to z niego była żona wyciąga, bladź jedna. Niby że na córkę wszystko idzie. Pazerna suka wpada tu z awanturami, przed furtką mi się wydziera, grozi mu sądem.

– Trzeba płacić alimenty – mówię, a matka z politowaniem kręci głową.

– Jak się ma z czego, to można.

– Niech idzie do pracy, w czym problem? Na pewno gdzieś potrzebują jakiegoś ciecia.

– Takaś mądra? Myślisz, że każdemu robota z nieba spada, zwłaszcza w tym mieście? Ty tyłkiem zakręciłaś i dostałaś posadę, a później wlazłaś temu twojemu doktorkowi do łóżka i załapałaś się na mieszkanie. Inni nie mają tyle szczęścia.

– Naprawdę tak o tym myślisz? – pytam, zszokowana jej zjadliwym tonem.
– A jak mam o tym myśleć?
– Ciężko pracuję, żeby utrzymać tę posadę.
– Ja też od długich lat haruję i nikt mi za to tak dobrze nie płaci. – Matka uśmiecha się krzywo i, bawiąc się paczką fajek, zerka w stronę drzwi, w których staje Tadeusz.
– Jak noga? – pytam go, przypominając sobie, że źle stanął.
– Będę żyć – mruczy i, nie witając się ze mną, zamyka się w sypialni.
– Tego co nagle ugryzło? – Matka odprowadza go niechętnym spojrzeniem i bębni palcami w stół. – A żenić się z tobą zamierza ten twój doktorek? – pyta nagle.
– Nie planujemy ślubu.
– Nie planujecie? To w jakim charakterze u niego mieszkasz? Darmowej pomocy domowej? – wbija mi szpilę.
– To się nazywa związek partnerski.
– Jak zwał, tak zwał, ale ślub mogłabyś wziąć. Nie młodniejesz, moja panno.
– Stara też chyba jeszcze nie jestem?
– Jeszcze nie, ale czas zaiwania… Ty go dobrze przyciśnij w temacie, bo minie parę latek i pies z kulawą nogą cię nie weźmie.
– Dzięki, tego właśnie dziś potrzebowałam! Takiego bezsensownego pierdolenia!
– Mówię, jak jest. – Matka znowu wzrusza ramionami, a ja wstaję od stołu i oznajmiam jej, że muszę się zbierać.
– Idź, idź, pewnie chałupę musisz mu ogarnąć. W tygodniu wzorowa pracownica, w weekend służąca i dupy dająca – szydzi.
– I ty to mówisz?! – wybucham. – Naprawdę uważasz, że jesteś dla mnie autorytetem w sprawach damsko-męskich?!
– Autorytetem? Nie, wręcz przeciwnie. Uprzedzam cię jedynie, żebyś nie spieprzyła sobie życia, dokładnie tak jak ja…
– Ty wyszłaś za mojego ojca w kościele i co ci z tego małżeństwa przyszło? – pytam cicho, a ona w milczeniu kiwa głową.
– Fakt, ze ślubem czy bez każdy chłop prędzej czy później do innej dupy idzie – mówi, a w jej oczach błyskają łzy. – Jezusie, jak ja tego twojego ojca kochałam… W ogień bym za nim poszła, a on się spakował i zabrał w cholerę. Za tyle serca, co mu dałam, za to dziecko w bólach urodzone, tak mi się odpłacił…
– Przykro mi, mamo – mówię i pochylam się nad nią, żeby objąć ją ramionami, a ona syczy, żebym nie robiła cyrków, i strząsa moje ręce.
– Lepisz się do człowieka jak pięciolatka – zarzuca mi i zrywa się z rozchybotanego krzesła, żeby nalać sobie wina. – Chcesz?
– Nie.
– Bo co? Za tanie dla ciebie? Nagle sikacz niedobry? Nie takie rzeczy dawniej pijałaś, zanim się do syna tego gogusia pod krawatem wprowadziłaś.
– Po prostu nie mam ochoty – mówię, a matka leje wino do szklanki, upija kilka łyków i z powrotem siada za stołem.
– Dbaj o siebie – prosi znacznie cieplejszym tonem. – Bo nikt inny tego za ciebie nie zrobi. I mądra bądź, słyszysz?
– Staram się – rzucam, a w głowie znowu pojawiają się krwawe wspomnienia z szosy. – Mamo… – zaczynam, pod wpływem chwili chcąc jej o wszystkim opowiedzieć, ale na widok wyłaniającego się z sypialni Tadeusza milknę.
„Nie, nie mogę! Adam chyba by mnie zabił, gdybym pisnęła jej chociaż słowo” – myślę, a ona pyta, czego chcę.
– Zaczęłaś coś mówić. – Mruży oczy i uważnie mi się przygląda, jak kiedyś, w dzieciństwie, kiedy podejrzewała, że coś zmalowałam, a ona była akurat jeszcze na tyle trzeźwa, żeby w ogóle ją to obchodziło.
– Nie, nieważne. Powinnam już jechać.
– No to jedź, skoro musisz. – Matka dolewa sobie wina, w jej oczach widzę znajomy błysk.
Zapowiada się dłuższe chlanie, pewnie spędzi weekend zamknięta w domu, popijając to, co jakimś cudem zostało w barku.
– Trzymajcie się – mówię, a ona kiwa mi głową i podnosi się z krzesła.
– Odprowadzę cię.
Przy furtce pyta, czy nie wpadłabym kiedyś z Adamem, ale chyba obie wiemy, że to naprawdę fatalny pomysł.
– Może kiedyś – kłamię, nie patrząc jej w oczy.
Chwilę później jadę wzdłuż szosy, a panujący w jej salonie zaduch staje się tylko wspomnieniem, chociaż mam nieprzyjemne wrażenie, że moje włosy przesiąkły smrodkiem papierosowego dymu, stęchłym zapachem rodzinnego domu i odorem potu Tadeusza.

* * *

W mieszkaniu robię sobie drinka. Wyborowa, sok pomarańczowy, kilka kostek lodu – to zawsze pomaga na zszargane nerwy.
– Skoczymy nad wodę? – Adam wyłania się z łazienki w momencie, w którym chowam wódkę do kuchennej szafki, i rzuca na podłogę gumowe rękawice, które założył, żeby udrożnić rurę pod umywalką.

– Teraz?
– A czemu nie? Załapiemy się na zachód słońca nad wodą – mówi i całuje mnie w kark. – Czemu pijesz sama?
– Bo mam doła – mówię, a on się krzywi.
– Nie zaczynaj.
– To było tydzień temu, Adam. Tej nocy minie dokładnie…
– Jemu nic nie jest, słyszysz?! To miasto to pieprzona dziura! Gdyby ktoś znalazł w lesie trupa, w okolicy dosłownie huczałoby od plotek! On się stamtąd zabrał o własnych siłach! – wydziera się na mnie.
– Tego nie wiemy – mówię cicho.
– Nie? A jakie inne opcje widzisz? Uniwersytet medyczny zabrał jego zwłoki, żeby studenci mieli się czym bawić? Porwało je UFO? A może w okolicy mieszka jakiś psychopata, który kolekcjonuje zwłoki potrąconych przez samochody? No powiedz, jak to widzisz? – Adam kpi ze mnie na całego, ale ja wciąż nie potrafię pozbyć się poczucia niepokoju…
– Przebiorę się – mówię więc, nie chcąc kontynuować rozmowy, która pewnie przerodziłaby się w grubą awanturę i do reszty wytrąciła mnie z równowagi.
Kwadrans później jedziemy w stronę jednej z naszych ulubionych miejscówek – niewielkiej plaży, gdzie bywa w miarę odludnie i cicho, zwłaszcza teraz, kiedy jeszcze nie rozpoczęła się pełnia letniego sezonu.
Na kocu, który Adam rozkłada nad samą wodą, leżymy objęci, opędzając się od komarów i szepcząc sobie na ucho świństewka. Z oddali słychać śmiechy, jakieś rozbawione towarzystwo rozłożyło się kilkaset metrów od nas, na szerokiej łasze piasku za lekko poruszaną wiatrem ścianą tataraku. Zazdroszczę im beztroski i nastroju dobrej zabawy, dałabym wszystko, żeby móc cofnąć czas. Adam wsuwa mi dłoń pod bluzkę, ale każę mu przestać.
– Bo? – dziwi się. – Myślałem, że zaszalejemy w tych szuwarach.
– To źle myślałeś. – Siadam na kocu i patrzę na wodę.
– Dobra, widzę, że wciąż masz wisielczy nastrój. Przejdę się. – Adam wstaje i rusza w stronę polnej drogi, na której zostawiliśmy audi.
– Czekaj! – krzyczę, bo nie chcę zostać sama.
Chwilę później podnoszę z ziemi koc, sięgam po lnianą siatkę, w której mam kilka drobiazgów, i biegnę za nim ścieżką.
– Adam, czekaj! – Łapię go za rękę. – Masz rację, on musiał się stamtąd zabrać o własnych siłach. Nie ma sensu dłużej się tym zadręczać, bo zwariujemy – mówię, a on przystaje i całuje mnie w usta.
– Mądra dziewczynka – mówi. – Moja mądra dziewczynka.
Kochamy się w samochodzie, na siedzeniu kierowcy, zresztą „kochamy się" to zbyt delikatnie powiedziane. Pieprzymy się, a nasze ciała szybko eksplodują orgazmem pomimo niewygodnej pozycji i faktu, że tyłkiem kilkukrotnie naciskam na klakson, co podrywa do lotu spłoszone ptactwo i bardzo bawi Adama.

* * *

Niedzielę spędzamy w łóżku. Za oknem ściana deszczu, w mieszkaniu przyjazny półmrok. Od czasu do czasu się pieścimy, dwa razy kochamy, oglądamy seriale i rozmawiamy o pracy. Później Adam przynosi do sypialni talerz z winogronami i kolejną butelkę wina. Nie chcę więcej pić, mam dość i boję się gigantycznego kaca.
– Jeśli jutro krzywo spojrzę na kilka pacjentek, to nie miej do mnie pretensji – żartuję, wodząc palcem po nagim torsie Adama, a on głośno się śmieje i zapewnia mnie, że gdyby co, nie stracę posady.
Później całuje mnie w szyję i szepcze, że jeszcze raz przeprasza.
– Za to wtedy, na działce… Nie wiem, co we mnie wstąpiło.
Przypominam sobie plotki o tym, że bił byłą żonę, ale nie mam odwagi, żeby podjąć tak drażliwy temat w tej idealnej chwili, kiedy w końcu udało się nam zrelaksować i ponownie do siebie zbliżyć. Dawno nie spędzaliśmy dnia, kotłując się w pościeli, i mówię sobie, że może to szansa na nasz nowy początek.
– Kocham cię – szepcze mi na ucho Adam, a jego dłoń wślizguje się między moje uda i głębiej, w samo jądro mojej śliskiej od miłosnych soków kobiecości.
– Ja też cię kocham – odpowiadam.
Szum ulewy za oknem sprawia, że nawet czując w sobie jego palce, robię się senna. A może to robota wina?
– Pij, kacem będziesz się martwić jutro. – Kilka minut później pomimo moich protestów Adam otwiera kolejną butelkę i rozlewa wino do kieliszków na wysokich nóżkach.
Są eleganckie, z prawdziwego kryształu. Dostał je od matki, co sprawia, że chociaż podziwiam ich piękno, nie potrafię ich polubić. Ale nie o tym myślę, sącząc rubinowy trunek u boku mężczyzny, z którym zbudowałam dom. „Dom… – myślę i uśmiecham się do siebie. – Tak, uwiliśmy własne gniazdo i zrobię wszystko, żeby je chronić".

Wieczorem mimo deszczu idziemy na krótki spacer i chociaż ten dzień nasycił nasze ciała i dopieścił zmysły, Adam robi mi palcówkę w jednej z bram na obrzeżach centrum, a ja dochodzę, w ciszy i skupieniu przeżywając kolejny orgazm.

– Mamy idealne życie – mówi nagle, kiedy wracamy w stronę naszej ulicy.

I chociaż wypowiada to lekkim i nieco chełpliwym tonem, po plecach przebiega mi dreszcz, mam złe przeczucia. Idealne życie… „Jak długo potrwa? – zastanawiam się, idąc obok niego pustą ulicą. – Jak długo będzie idealnie? I czy życie u boku faceta, który nie dalej jak kilka dni wcześniej uderzył mnie pięścią w twarz, można nazwać idealnym?”.

– Biłeś ją? – pytam, chociaż wcale nie chciałam podejmować tego tematu. – Ludzie mówią, że biłeś Wioletę – wyrzucam z siebie, a on zatrzymuje się pośrodku zalanej deszczem ulicy i z niedowierzaniem kręci głową.

– Potrafisz spierdolić każdą idealną chwilę, co? – Nerwowym gestem przeczesuje palcami wilgotne od deszczu włosy.

– Nie odpowiedziałeś.

– A co ci mam powiedzieć? Zdarzało się, lubiła mnie prowokować.

– Prowokowała cię do zderzenia twojej pięści z jej twarzą? – syczę, zszokowana tym, że on tak otwarcie o tym mówi, jakby było to coś oczywistego.

– Są takie kobiety – rzuca chwilę później. – Gdy dorośniesz i lepiej poznasz życie, smarkulo, to zrozumiesz. Są takie suki, których po prostu nie da się nie walnąć. Ale ty jesteś inna. Ciebie nigdy więcej nie skrzywdzę – obiecuje raz jeszcze, patrząc mi prosto w oczy. – Wierzysz mi?

„Nie” – myślę.

– Tak – mówię głośno.

Nie chcę się z nim kłócić, jestem zmęczona…

* * *

Nocą, tuż przed świtem, mam koszmary. We śnie moje ręce są całe we krwi, która zdaje się krzyczeć: „Zrobiliście coś złego!”, oblepia mi palce. Podnoszę je na wysokość twarzy, wpatruję się w przecinające wnętrze dłoni linie, wypukłe sine żyły na nadgarstkach i bladość skóry w miejscu tak delikatnym, że wystarczy niezbyt głębokie cięcie, żeby krew wysączyła się ze mnie, pozbawiając mnie bicia serca.

Budzę się w momencie, w którym przesuwam językiem po wnętrzu prawej dłoni, usiłując zlizać z niej krzepnącą posokę, a z mojego gardła wyrywa się chrapliwy krzyk.

Adam śpi. Leży na plecach, z lekko uchylonymi ustami, a blada poświata przedświtu sprawia, że przez chwilę jego twarz wygląda upiornie, niemal trupio.

– Adam – szepczę.

Mam ochotę nim potrząsnąć, dać mu w twarz, wyrwać z błogiej sennej nierzeczywistości i bić go pięściami po nagim torsie. Ale tylko siadam na łóżku i, spazmatycznie łapiąc oddech, przyglądam się swoim dłoniom. Kiedy unoszę je na wysokość twarzy, tak jak przed momentem, we śnie, nie ma na nich krwi, a jednak widzę ją oczyma wyobraźni, a w ustach niemal czuję jej charakterystyczny żelazisty posmak.

„Pieprzona lady Makbet” – myślę, starając się uspokoić oddech i wyrzucić z głowy strzępy upiornych sennych wizji. Adam porusza się przez sen i nieruchomieje, jego oddech jest cichy i spokojny, niczym oddech śpiącego dziecka. „Zrobiliśmy coś złego – myślę. – Ty zrobiłeś. To wszystko twoja wina”. Wiem, że nie powinnam go obwiniać. Tkwimy w tym oboje, krew oblepia nasze dłonie, nie daje się jej zmyć…

Kręci mi się w głowie, serce bije szybko i nierówno, pulsuje mi w skroniach. W sypialni jest duszno i nagle czuję, że przeszkadza mi nawet czerwona satynowa koszulka na cienkich ramiączkach, którą mam na sobie. Zdejmuję ją więc przez głowę, ciskam na podłogę i kładę się na boku, a moja dłoń zaciska się na penisie śpiącego kochanka. Pieszcząc go, staram się myśleć tylko o seksie, skupić na tu i teraz, wyrzucić z głowy szkarłatną barwę. Adam jęczy przez sen, w końcu otwiera oczy i leciutko się uśmiecha.

– Nie przestawaj – prosi.

Ma zachrypnięty głos, który brzmi obco i seksownie jednocześnie, a jego kutas szybko się ożywia. Zabieram rękę, dosiadam go i wsuwam w siebie, a on cicho jęczy i wypełnia mnie tak szczelnie, jakbyśmy byli jednym ciałem. Moje biodra wykonują taniec miłości, w środku płonę, żądza wypełnia mnie od palców stóp po sam czubek głowy. Orgazm przychodzi nagle, gwałtowny jak gigantyczna fala, obezwładniający. Niepowstrzymana eksplozja przyjemności, odwieczny triumf życia nad śmiercią. Adam dochodzi niemal w tym samym momencie, jego twarz wykrzywia grymas rozkoszy.

„Nie mogę spać. I chyba już nigdy spokojnie nie zasnę po tym, co się stało. Jak możesz tak po prostu mnie pieprzyć, lizać, kąsać i głaskać?!” – krzyczę w środku, ale moje ciało zdaje się żyć swoim własnym życiem, czerpać przyjemność z uciech nocy. Zresztą to przecież ja zaczęłam, nie on… Kiedy leżymy obok siebie, wciąż nadzy, rozgrzani miłością i lepcy od jej soków, Adam zaciska palce na moich długich ciemnych włosach i lekko mnie za nie ciągnie. Lubi to, uspokaja go ta zabawa, wycisza. Nie wiem, o czym

myśli, nie rozmawiamy. W końcu on ponownie zasypia, a ja leżę wpatrzona w sufit, z jedną jedyną pałętającą się pod czaszką myślą: „Zrobiliśmy coś złego”.

„On jest potworem” – przypominam sobie słowa Wiolety. Co, jeśli ja również nim jestem? Wtulona w poduszkę, wybucham bezgłośnym płaczem.

12.
ZUZANNA

Końcówka czerwca i pierwsza połowa lipca zlatują mi szybko, dni zlewają się w jeden duszny od upału, pełen pracy i parnych wieczorów ciąg podobnych do siebie zdarzeń. Po tym, co się stało, wciąż jeszcze źle sypiam i miewam koszmary, ale w końcu udaje mi się sobie wmówić, że wszystko, co złe, już za nami.

Nocą z szesnastego na siedemnastego lipca dostrzegam wysokiego, szczupłego mężczyznę wpatrzonego w okna naszej kamienicy, a konkretnie naszego mieszkania. Widzę go z nie w pełni umeblowanego pokoju, który Adam traktuje jak swój gabinet. Jego okna wychodzą na ulicę. Nieznajomy stoi w bezruchu i patrzy w górę. Ma na sobie bluzę z kapturem, pomiędzy palcami jego prawej dłoni żarzy się w ciemnościach końcówka zapalonego papierosa.

Kiedy zdaję sobie sprawę, że nieznajomy obserwuje nasze okna, odsuwam się na bok i opieram się plecami o ścianę. W pokoju jest ciemno. Zajrzałam tu przed snem jedynie po to, żeby się upewnić, że zamknęłam okno, i wtedy go zobaczyłam.

Kilkanaście sekund później idę do łazienki, w której Adam nitkuje zęby, i ciągnę go za rękę.

– Ktoś się gapi w nasze okna – szepczę, a on wrzuca do kubełka zużytą nić dentystyczną, przepłukuje usta płynem i patrzy na mnie jak na wariatkę.

– Mówisz, że ktoś idzie ulicą? – rzuca raczej złośliwym tonem.

– Mówię, że ktoś gapi się prosto w nasze okna! Idź i sam zobacz!

– Idę, ale spać. – Adam gasi światło w łazience i rusza w stronę naszej sypialni.

– Adam, proszę cię! Chociaż rzuć okiem. – Kurczowo łapię go za rękę, a on niechętnie zawraca, wchodzi do pokoju z oknami na ulicę i nie świecąc światła, zerka w dół.

– Nikogo nie ma – stwierdza, a ja zerkam mu przez ramię.

Faktycznie, ulica jest pusta, ale w głowie wciąż mam obraz gapiącego się w nasze okna kolesia z papierosem.

– Był tutaj – mówię z naciskiem. – I patrzył prosto na…

– Zuza, nie panikuj. Chodźmy już spać. – Adam całuje mnie w czoło i opuszcza żaluzję, definitywnie kończąc dyskusję.

– Nie wierzysz mi? – pytam, kiedy kładziemy się obok siebie na szerokim małżeńskim łożu z drewnianym zagłówkiem.

– Oczywiście, że ci wierzę. Widziałaś na ulicy kolesia, który stał i akurat gapił się na naszą kamienicę. Śpij.

– Adam, to nie był przypadek! – Siadam na łóżku i zapalam nocną lampkę, a on klnie pod nosem i każe mi ją zgasić.

– Poważnie chcesz teraz rozpoczynać wszystkie te niedorzeczne dyskusje? Jest po północy, a ja od kilku dni wstaję po szóstej. Daj mi się w końcu wyspać. To był jakiś koleś przechodzący ulicą, nikt więcej. – Adam kładzie mi dłoń na ramieniu i lekko gładzi opaloną skórę. – Nic ci nie grozi, jesteśmy w domu – przemawia do mnie jak do przestraszonego dziecka. – Śpij, jestem wyjebany. Dobranoc.

– Dobranoc – mruczę więc, ale niepokój nie chce mnie opuścić.

* * *

Rano w gabinecie wszystko idzie dobrze aż do momentu, w którym znajduję na recepcji bukiet zasuszonych purpurowych róż przewiązanych koronkową czarną wstążką, która wygląda elegancko i bardzo żałobnie jednocześnie. Do kwiatów, których kilka suchych płatków zdążyło już opaść na kontuar, ktoś przyczepił karteczkę z moim imieniem.

– Zuzanna – czytam i w panice rozglądam się po poczekalni.

Pół godziny wcześniej, kiedy zajmowałam się jedną ze stałych pacjentek, kwiatów jeszcze nie było. Teraz leżą na widoku, ewidentnie będąc złowrogą zakamuflowaną wiadomością dla mnie, a ja czuję, że w panice z trudem łapię oddech.

– Dobrze się czujesz, kochanie? – Siedząca w poczekalni szczupła siwa kobieta posyła mi zaniepokojone spojrzenie.

– Tak, dziękuję – kłamię, starając się opanować. – Widziała pani, kto to przyniósł, pani Elwiro? – pytam po chwili, a ona mówi, że kurier.

– Chociaż w sumie zdziwiło mnie, że nie miał na sobie służbowego uniformu i wyszedł stąd bez podpisu.

– Powiedział coś? Pytał o kogoś?

– Nie. Powiedział: „Dzień dobry, kurier”, położył kwiaty i wyszedł.

– Jak wyglądał?

– Nie wiem, młody, szczupły. – Kobieta wzrusza ramionami. – Miał ciemne spodnie i kilkudniowy zarost. Przystojny chłopak, trochę podobny do mojego wnuka.
– I nic nie mówił?
– Nie, kochanie. Tylko to, co powiedziałam.
– Dobrze, dziękuję – mówię i idę po komórkę, żeby zrobić zwiędłym kwiatom kilka zdjęć.
Później wkładam je do worka na śmieci i wynoszę na zaplecze.
Adam zjawia się kilka minut później. Niesie kubek kawy dla mnie i kupiony w sąsiedztwie bajgiel.
– Coś się stało? – pyta, kiedy zastaje mnie siedzącą za biurkiem, z twarzą ukrytą w dłoniach.
– Sam zobacz – mówię, ruchem głowy wskazując leżący na blacie worek z kwiatami, a on zagląda do środka i posyła mi pytające spojrzenie. – Jakiś facet je podrzucił, kiedy byłam z pacjentką. Podobno udawał kuriera. Na karteczce jest moje imię, ale nie ma nic więcej. Po prostu „Zuzanna" – relacjonuję łamiącym się głosem, a Adam mnie w palcach wystającą z worka końcówkę koronkowej wstążki i odsuwa worek na bok, jakby sam jego widok był dla niego trudny do zniesienia. – I co teraz? – pytam cicho.
– A co ma być?
– Adam, ktoś mi grozi! – wybucham, mając gdzieś, czy mój histeryczny ton dojdzie do uszu czekającej w poczekalni staruszki.
– Grozi ci? Kurwa, bez przesady. To pewnie jakiś wyjątkowo idiotyczny żart, nic więcej – stwierdza.
– Zawsze musisz wszystko bagatelizować? – pytam, tym razem prawie szeptem. – Dlaczego tak trudno ci przyznać, że mogę mieć rację?
– Możesz mieć rację w czym? We wpadaniu w skrajną histerię? To tylko kilka ususzonych róż, zwykłe kwiaty.
– Zwykłe kwiaty? – powtarzam, zszokowana jego brakiem wyobraźni. – Człowieku, to wygląda, jakby ktoś mówił: „Złożę je na twoim grobie!". Naprawdę jesteś aż tak ślepy? – syczę, a on gniewnie parska i zaciska ręce w pięści.
– Widzę, że wracamy do punktu wyjścia. Myślałem, że już się wyciszyłaś, ale ty znowu zaczynasz wpadać w paranoję.
– W paranoję? Adam, ktoś mi podrzucił jakiś nagrobny wiecheć, a ty… – Urywam w pół zdania, bo w gabinecie na zapleczu pojawia się Kamila.
– Sorry, muszę tylko coś stąd zabrać. – Lekko speszona widokiem naszego wzburzenia, w pośpiechu sięga do jednej z szafek i wymyka się na korytarz.
– Kurwa, czy ona jest wszędzie? – Opieram się o parapet. – W nocy ktoś patrzył prosto w nasze okna, Adam. A teraz to… Coś się dzieje, czy ci się to podoba, czy nie…
– Okej, więc co proponujesz? Mam iść na policję i powiedzieć im, że czujemy się lekko zaniepokojeni, bo po pijaku potrąciłem rowerzystę, ale zwłoki zniknęły, a teraz ktoś podrzuca nam dziwaczne prezenty? Tego ode mnie oczekujesz?!
– Nie mamy pewności, czy to były zwłoki, bo chociaż jesteś lekarzem, nie chciało ci się nawet sprawdzić kolesiowi pulsu – wyrzucam mu w złości.
– A ty nie mogłaś, skoro taka z ciebie pieprzona siostra miłosierdzia?! Może trzeba było zrobić mu usta-usta?
– Może trzeba było – mówię cicho.
– Obwiniasz mnie?
– A kogo? – rzucam mu w twarz.
– To ty mnie obudziłaś i chciałaś jechać! Ty wybrałaś ten jebany pechowy moment wyruszenia w drogę! Gdybym pospał dłużej…
– Więc to moja wina?! – krzyczę.
Zaciska palce na moim ramieniu i syczy:
– Zamknij się, kurwa!
– Zobacz, do jakiego momentu dobrnęliśmy – mówię bliska łez. – Skaczemy sobie do oczu, obarczając się nawzajem winą.
– Ty zaczęłaś. – Adam wzrusza ramionami, po czym sięga po leżącą na biurku siatkę, ciska ją na ziemię i zaczyna udeptywać, jakby stał w beczce z kiszoną kapustą. – I już, po problemie! Wiecheć starty w pył! Wywal to i nie myśl o tym więcej – radzi mi. – Albo ja to wywalę.
Podnosi worek z podłogi, a kilka zeschniętych płatków wysypuje się z niego prosto na szarą wykładzinę, którą wyłożone jest jego biuro.
– Chowasz głowę w piasek – mówię cicho.
– Próbuję cię jakoś uspokoić.
– Co nie zmienia faktu, że nie chcesz przyznać mi racji.
– A jaka jest twoja racja?!
– Ktoś coś wie, Adam. Ktoś widział, co zrobiliśmy i chce nas zastraszyć.
– Kto? Kto twoim zdaniem mógł nas widzieć? Nie było jeszcze piątej rano! Odludna droga wzdłuż lasu, tylko my i on, nikogo więcej! Nikogo tam nie było, Zuza!

– Ktoś musiał być, skoro dzieje się to, co się dzieje – mówię z naciskiem. – A co, jeśli to któryś ze znajomych Błażeja? – dodaję. – Ktoś, kto zakończył imprezę mniej więcej w tym samym czasie co my?

– Nikt za nami nie jechał, widziałbym przecież.

– A co, jeśli ktoś jechał przed nami? Może jakaś parka wracała kilka minut wcześniej? Może ktoś akurat zabawiał się w lesie, kiedy potrąciliśmy tego kolesia? Może bzykali się oparci o pień, a my…

– Kto? Kurwa, o kim ty mówisz? – Adam szepcze, ale jego szept brzmi niepokojąco złowrogo, jak syk jadowitego węża.

– Nie wiem, o kim… Głośno myślę. Jak dobrze znasz znajomych Błażeja? Czy jest szansa, że widział nas ktoś z nich? Obserwujesz ich na Facebooku?

– Kilku.

– I co?

– I nic. Nikt nie wrzucił postu o tym, że pieprzył się w lesie ze swoją panną, kiedy koleś w różowej furgonetce z wizerunkiem zębów na bokach potrącił rowerzystę.

– Nie lubię tego szyderczego tonu, Adam! Wiem, że nie podoba ci się to, co mówię, ale nie jestem twoim wrogiem. Nie ja!

– Wiem, kotku. – Mój facet nagle łagodnieje, przyciąga mnie do siebie i całuje w szyję. – Wiem – powtarza i przez chwilę tulimy się do siebie, w milczeniu zastanawiając się nad tym, co możemy teraz zrobić.

– Może zostawmy mu jakąś wiadomość? – sugeruję.

– Czyli? – Adam odsuwa się ode mnie na długość ramienia i śmiesznie marszczy nos.

– Nie wiem, coś w rodzaju: „Nieznajomy od róż, pogadajmy". Mogłabym wrzucić to na Facebook albo…

– Jasne, robiąc ze mnie rogacza przed wszystkimi naszymi znajomymi? Bo brzmi to tak, jakby tajemniczy wielbiciel kupił ci róże, a ty chciałabyś czegoś więcej.

– Więc co? Będziemy po prostu czekać? – pytam, a on potakuje.

– Nie mamy innego wyjścia – mówi. – Chodź, coś ci pokażę – dodaje chwilę później i sięga do kieszeni po pęk kluczy.

– Co? – pytam.

Nie odpowiada.

Wychodzi, w zaciętym milczeniu przechodzi przez korytarz i otwiera frontowe drzwi.

Garaż jest tuż obok, trzymamy w nim trochę gratów i zębomobil, którym ani razu nie wyjechaliśmy od czasu wypadku. Tak mi się przynajmniej wydawało, bo kiedy Adam otwiera drzwi, trudno mi poznać naszą furgonetkę.

– Wow – mówię, przyglądając się przemalowanemu na bordo autu, z którego boków i tyłu zniknęły wizerunki zębów.

Teraz widać na nim jedynie nazwę gabinetu i komórkowy numer Adama.

– Kuzyn mi wyklepał i przemalował w dość dobrej cenie.

– Wygląda znacznie lepiej.

– Przy okazji pytałem, czy nie słyszał o jakimś śmiertelnym wypadku w naszej okolicy, ale zapewnił mnie, że nie. On jest niezłym źródłem, bo pije nawet z chłopakami z zakładu pogrzebowego u Banasia.

– Pytałeś, czy nie słyszał o wypadku, oddając mu do wyklepania wgnieciony od uderzenia wóz? – Jestem poirytowana jego bezdenną głupotą.

Ale Adam wcale nie czuje się winny.

– To przecież Kazik, można mu ufać. Komu jak komu, ale jemu bezgranicznie. – Obojętnie wzrusza ramionami.

– Jesteś pewny?

– Jak tego, że tu stoję – mówi.

* * *

Reszta popołudnia mija nam spokojnie. Wieczorem zamawiamy pizzę i oglądamy najnowszy film z Julią Roberts w roli matki walczącej o przyszłość uzależnionego od narkotyków syna. Później Adam przebiera się w dres, całuje mnie w czoło i mówi, że idzie pobiegać. Podobno pomaga mu to walczyć ze stresem. Biega zawsze wieczorem, często już po zmroku, wzdłuż słabo oświetlonej ścieżki wokół jeziora. Nie lubię tego jego nawyku, tak samo jak nie znoszę zostawać w mieszkaniu sama, kiedy za oknem jest ciemno, ale wiem, że nie powinnam dzielić się z nim swoimi strachami, bo nie znosi być ograniczany. Histeryczek też nie lubi, jak kilkakrotnie mi ostatnio powiedział, więc trzymam język za zębami i po prostu przyglądam się, jak zakłada sportowe buty i z zadowoleniem przegląda się w lustrze.

– Będę najpóźniej za godzinę – obiecuje mi, zanim wychodzi.

Zamykam więc za nim drzwi, robię sobie herbatę i włączam jazz, starając się wyciszyć i wyluzować, jednak kiedy mija godzina, a później półtorej, dwie i trzy, zaczynam panikować. Dzwonię do niego na komórkę, ale telefon odzywa się w kuchni, Adam wyszedł bez niego…

Bliska łez i chora z niepokoju chodzę więc od okna do okna, ale nadal go nie ma…

Wraca grubo po pierwszej nad ranem, pijany.

– Kotku, przepraszam, wpadłem na paru chłopaków z liceum, zagadaliśmy się – tłumaczy się bełkotliwie, oczy ma szkliste, zajeżdża od niego alkoholem.

– Myślałam, że coś ci się stało! – krzyczę, połykając łzy. – Że ktoś cię napadł, pobił, wciągnął w coś albo…

– Zuza, jestem, wszystko jest dobrze. – Adam wyciąga rękę, chcąc mnie pogłaskać, ale odskakuję i każę mu spierdalać.

– Nie rób więcej takich numerów – rzucam. – Nie rób mi takich akcji, słyszysz?!

Nie odpowiada. Zamyka się w łazience i samotnie idzie pod prysznic, a ja wybucham płaczem.

Nasze życie to koszmar. Co gorsza, dzień po dniu jest coraz gorzej, a ja nie potrafię dostrzec żadnego światełka w tunelu…

13.
ZUZANNA

Trzy kolejne dni upływają w miarę spokojnie, ale i tak nie potrafię się wyluzować. W każdym ciemnym kącie widzę zagrożenie, w każdym młodym facecie dostrzegam potencjalnego napastnika.

W pracy jest nudno i nijako, pacjentów jak na lekarstwo, a wścibstwo i paplanina Kamili coraz mocniej działają mi na nerwy.

Któregoś dnia Adam wysyła mnie po bajgle z wędzonym łososiem i kawę, ostatnio uzależniliśmy się od drugich śniadań z knajpy Nowy Jork za Rogiem, w której robią naprawdę bajeczne kanapki w amerykańskich klimatach. Idę więc po żarcie, a kiedy wracam, Kamila siedzi na recepcyjnym kontuarze i nawijając włosy na palec, otwarcie flirtuje z Adamem, który w zarzuconym na ramiona nieskazitelnie białym lekarskim kitlu i opuszczonej na brodę chirurgicznej maseczce śmieje się z czegoś, co powiedziała, zanim weszłam.

– Dobrze się bawicie? – pytam kąśliwym tonem.

– Tak, a co? – Koleżanka posyła mi triumfalny uśmieszek, moja zazdrość sprawia jej wyraźną satysfakcję.

– Jajco. – Kładę kanapki na blacie i mruczę, że idę do domu. – Nie mamy już dziś żadnych pacjentek i boli mnie głowa – dodaję.

– I co, pozwolisz jej wyjść? A podobno obie jesteśmy tu zatrudnione na takich samych zasadach – Kamila zwraca się do Adama, w jej głosie słyszę złość.

Mam jednak gdzieś, co sobie myśli ta głupia pinda. Idę za zaplecze, skąd biorę mój telefon i z kluczami w ręku wychodzę z gabinetu.

Piję kawę w mieszkaniu, kiedy na górze zjawia się Adam.

– Co cię znowu ugryzło? – pyta, wchodząc do kuchni.

– Jajco – odburkuję mu, podobnie jak kilka minut wcześniej Kamili, a on gniewnie się krzywi, wyjmuje z mojej dłoni kubek i całuje mnie z języczkiem.

– Znowu ci odpieprza? – pyta, kiedy w końcu odrywa ode mnie usta.

– Więc tak to nazywasz?

– A jak mam o tym mówić?

– Boję się, to wszystko.

– Czego?

– Raczej kogo. Tego, kto wie, co zrobiliśmy.

– Jaką masz pewność, że istnieje ktoś taki?

– A jaką ty masz pewność, że nie istnieje?! – podnoszę głos, a on lekko się uśmiecha.

– Jesteś taka seksowna, kiedy się złościsz – mówi, a później rozpina rozporek i dodaje: – Wiesz, co robić.

– Poważnie? – parskam, rozeźlona, ale on już patrzy na mnie tymi oczyma zbitego psa i skamle, żebym wzięła go do buzi.

Klękam więc na kuchennej podłodze i biorę w usta jego kutasa, a on łapie mnie za włosy i nadaje rytm ruchom mojej głowy. Kiedy wpycha się w moje gardło głębiej, przez chwilę myślę, że zwymiotuję, ale udaje mi się nad sobą zapanować i skupiam się na robieniu mu dobrze. Kończy z cichym jękiem, jak zawsze, a ja jak zawsze wszystko połykam, wstaję z kolan i idę do zlewu, żeby przepłukać usta. Adama to wkurwia, twierdzi, że się go brzydzę. Cóż, mam dla niego złe wieści, tak naprawdę mało która kobieta lubi smak i zapach nasienia…

– Dzięki, maleńka – mówi i klepie mnie w tyłek.

Teraz, po tym, jak zrobiłam mu loda, wydaje się znacznie bardziej pogodny i zrelaksowany.

– Odpocznij i wróć jeszcze do gabinetu – dodaje. – Kamila nieźle się wkurzyła, kiedy po prostu wyszłaś, olewając godziny pracy…

– I pies ją trącał – mówię, nalewając sobie soku.

– Znowu jesteś zazdrosna? – Adam wygląda na rozbawionego, pewnie właśnie pompuje swoje rozdęte męskie ego.

– A nie mam podstaw?

– Prawnych? Nie – szydzi.

– Bardzo śmieszne, ha, ha, ha. Ale nie zapominaj, że to twój ojciec jest prawnikiem, nie ty – mówię z przekąsem, a on głośno się śmieje.

– Przyganiał kocioł garnkowi, co, kotku? Cóż, ale przynajmniej mam dyplom lekarza, a z tego, co mi wiadomo, ty z trudem ukończyłaś technikum – szydzi z takim okrucieństwem, które sprawia, że kulę się w ramionach.

– Ja nie mam nadzianych rodziców, którzy opłaciliby mi studia. I nie z takim znowu trudem, bo miałam całkiem niezłe świadectwo – bronię się.
– Jasne, jasne. Genialna w każdym calu. Ale jedno trzeba ci przyznać, loda robisz po mistrzowsku. – Adam jeszcze raz klepie mnie w tyłek i, pogwizdując, wychodzi z kuchni.
– Dupek – syczę, kiedy zamyka za sobą frontowe drzwi.
Później wyjmuję z lodówki resztkę czerwonego wina i, nie trudząc się, żeby nalać je do kieliszka, dopijam z gwinta i w ubraniu padam na sypialniane łóżko. W sen zapadam chwilę później, tej nocy fatalnie spałam, dręczona przez koszmary, poprzedniej zresztą też.

* * *

Budzi mnie kręcący się po mieszkaniu Adam i dociera do mnie, że już po dwudziestej…
– Czemu nie obudziłeś mnie wcześniej? – mówię, wchodząc do kuchni.
– Bo tak słodko spałaś. – Uśmiecha się do mnie; przez ramię przerzucił kraciastą ścierkę, w garnku na kuchence bulgocze coś, co pachnie i wygląda na leczo.
– Gotujesz… – Gładzę go po policzku, złość zdążyła już ze mnie wyparować, nawet jeśli mocno podniósł mi ciśnienie.
– Dla mojej kruczowłosej księżniczki. – Szczerzy się i zakłada mi kosmyk za ucho. – Pięknie wyglądasz, nawet ze śladami poduszki odgniecionymi na policzku. – Mruga do mnie, a ja tłumię ziewnięcie i nalewam sobie soku.
– Pożyczysz mi stówkę? – pytam. – Nie zdążyłam dziś podejść do bankomatu, a w portmonetce mam najwyżej dychę.
– Jasne, weź sobie. – Adam miesza leczo dużą drewnianą łyżką i dosypuje do garnka jeszcze odrobinę czerwonej papryki.
Idę więc do salonu i sięgam po jego portfel. Leży na ławie, gdzie kładzie go zawsze po powrocie do domu. Stówkę znajduję w jednej z przegródek i już mam go zamykać, kiedy zauważam brak prezerwatywy. Kilka dni temu tu była, jestem tego pewna. A teraz jej nie ma…
– Znalazłaś tę stówkę?! – krzyczy Adam z kuchni.
Podrywam się na dźwięk jego głosu i odkrzykuję:
– Tak!
Później odkładam portfel na miejsce i mówię sobie, że gumka mogła z niego zniknąć z wielu różnych powodów, ale w głowie na okrągło wyświetla mi się film z Adamem i jęczącą pod nim z rozkoszy Kamilą w rolach głównych. Czy ją posuwa? Adam wmawia mi, że mam obsesję, ale czasem, kiedy patrzę na nich ukradkiem, jestem niemal pewna, że zaczęli się bzykać za moimi plecami. Podejrzany jest dla mnie zwłaszcza fakt, że on coraz częściej wysyła mnie po bajgle czy inne drobne sprawunki, chociaż dawniej takie rzeczy robił sam. A kiedy wychodzę…
Nagle myślę o jego kutasie wypychającym mój policzek i podejrzenie, że wchodził również w nią, a może nawet robiła mu to samo, klęcząc przed nim niczym przed panem i władcą i żebrząc o jego uwagę, sprawia, że robi mi się niedobrze. Tak, czasem wydaje mi się, że my, kobiety, żebrzemy o miłość i odrobinę męskiej atencji. Że to nie pożądanie, ale pragnienie bycia kochaną skłania nas do wszystkich tych sprośnych rzeczy, które na kolanach robimy dla facetów.
– Zuzka, chodź tu! – Ponaglający głos Adama wyrywa mnie z zadumy. – Pokrój bagietkę! – krzyczy z kuchni.
Kilka chwil później mam ochotę zapytać, gdzie zniknęła prezerwatywa z jego portfela, ale za bardzo boję się odpowiedzi, więc milczę. Boję się też mojej reakcji, nie powinno się zadawać pewnych pytań z ostrym nożem w dłoni.
– Stówka ci wystarczy? – pyta Adam, kiedy rozkładam na stole talerze.
– Tak – mruczę, nie patrząc na niego.
– Gdybyś potrzebowała więcej…
– Mówię przecież, że mi wystarczy! – wchodzę mu w słowo.
– Jasne. – Nakłada mi porcję leczo, kładzie przede mną talerz i siada za stołem. – Smacznego.
– Dzięki – rzucam, sięgając po łyżkę.
„Gdzie się podziała prezerwatywa z twojego portfela?” – myślę, zaciskając palce na zimnym trzonku łyżki, ale wciąż milczę.
– Nie smakuje ci? – Adam uważnie mi się przygląda.
– Smakuje – mówię, zmuszając się do jedzenia.

* * *

Po kolacji idziemy na piwo. Pub w okolicach naszej kamienicy nazywa się Gronostaj (nie pytajcie mnie dlaczego) i jest obskurną, zaniedbaną meliną ze stołem bilardowym, zepsutą szafą grającą i kilkoma drewnianymi stołami, których blaty lepią się zazwyczaj od rozlanych drinków, soków i zwykłego brudu.

– Piwo czy wino?! – dopytuje Adam, przekrzykując dudniącą z głośników zawieszonych nad barem muzykę, a ja obojętnie wzruszam ramionami.

– Weź mi lampkę wina – proszę, czując zaskakującą potrzebę zachowania się wytrawnie wśród całej gromady podpitych, spoconych i zarośniętych gości w zmiętych ciuchach i ubłoconych butach, którzy przesiadują tu regularnie, przynajmniej do momentu, w którym nie zgarną ich żony.

Zamawiając dla nas alkohol, Adam gapi się w dekolt młodej barmanki, wyraźnie widzę, że dziewczyna jest w jego typie. Nie jestem jednak zazdrosna, nie tym razem. Nic mnie z nią nie łączy, nie będę jej widywać codziennie w pracy. Nie to co Kamilę…

I nagle, dosłownie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, widzę wchodzącą do pubu koleżankę. Jest z przyjaciółką, obie mają na sobie letnie kwieciste kiecki, wysokie buty i torebki na łańcuszkach. Ta Kamili jest czerwona na srebrnym, jej przyjaciółki czarna na złotym. Na jej widok nie potrafię ukryć brzydkiego grymasu złości. „Kurwa, ona naprawdę jest wszędzie. Wpadła tu przez przypadek, akurat tam, gdzie my? – zastanawiam się. – Adam wspomniał jej, że wieczorem być może tu wpadniemy, a ona skorzystała z okazji, żeby go zobaczyć? A może po prostu się umówili? Może bzykali się dziś na zapleczu, podczas gdy ja pognałam po durne bajgle z łososiem, a później umówił się z nią tu, chociaż wiedział, że będę tuż obok?”. Czuję narastającą wściekłość.

– Co ona tu robi?! – pytam ostro, kiedy Adam stawia przede mną kieliszek wina.

– Kto? – dziwi się, a ja ruchem głowy wskazuję siedzącą przy oknie Kamilę, która papla coś do przyjaciółki i chyba jeszcze nas nie zauważa.

– Skąd mam wiedzieć? – Mój facet wygląda na zaskoczonego, ale przecież wiem, jak dobrze potrafi kłamać.

Kiedy się bzykaliśmy w tamtych czasach, gdy był jeszcze żonaty, kłamał naprawdę wyśmienicie. Tyle że wtedy okłamywał Wioletę, nie mnie… Ale być może karma pokazała mi właśnie środkowy palec i przyszła pora na mnie.

– Nie mówiłeś jej, że tu wpadniemy? – drążę.

– Czemu miałbym jej mówić? – odpowiada pytaniem i upija kilka łyków piwa.

– Nie wiem, ty mi powiedz – syczę.

– Kurwa, znowu chcesz się kłócić?! – podnosi głos i posyła mi złe spojrzenie. – Zawsze musisz robić aferę z byle gówna? Wpadła tu, tak jak my. Mieszka niedaleko, a knajp w tej dziurze nie ma aż tak znowu wiele.

– Zazwyczaj chadza do Don Piwone.

– A dzisiaj przyszła tu. Kurwa, Zuza, o co ci chodzi?! – Adam łapie mnie za rękę i pieści wnętrze mojej dłoni. – Jesteśmy tu, ty i ja, gra muzyka… Czy chociaż raz nie może być miło i bezproblemowo? – pyta, patrząc mi prosto w oczy.

– To nie ja stwarzam problemy – cedzę.

– Nie ty? A kto, jeśli można wiedzieć?

– Gdzie jest prezerwatywa z twojego portfela? – rzucam nagle, bo jednak nie wytrzymuję, to pytanie po prostu ze mnie wypływa.

On patrzy na mnie z taką odrazą, jakbym zamieniła się w jakieś ohydne oślizgłe monstrum, i z niedowierzaniem kręci głową.

– Poważnie? – parska.

– Poważnie – mówię, patrząc mu prosto w oczy. – Więc?

– Wyrzuciłem. Była przeterminowana. Dla twojej wiadomości nie tylko na pudełkach, ale i na każdym pojedynczym opakowaniu jest nadruk z datą ważności – poucza mnie szyderczym tonem, ale w jego oczach widzę złość. – Znowu masz te swoje urojenia, że cię zdradzam?

– A nie zdradzasz? Bo chyba nie sądzisz, że łyknę tę żenującą bajeczkę o przeterminowanej gumce?! – krzyczę i kilka osób odwraca się w naszą stronę, ale szybko traci nami zainteresowanie i wraca do sączenia piwa.

– Wiesz co? Właśnie straciłem ochotę na wieczór w twoim towarzystwie! – Adam zsuwa się z wysokiego krzesła i porzucając niedopite piwo, rusza w stronę wyjścia, zostawiając mnie samą przy stoliku.

Wtedy zauważa go Kamila i macha do niego, ale on nawet na nią nie patrzy. Po prostu wychodzi z lokalu i zostawia mnie samą.

Dopijając wino, zastanawiam się, czy powinnam wracać prosto do domu, czy gdzieś się jeszcze pokręcić. Problem polega na tym, że jest już ciemno, a ja czuję się ostatnio zbyt niepewnie, żeby samotnie spacerować. Wychodzę więc z pubu, udając, że nie widzę siedzącej przy oknie Kamili, i wracam do siebie. Do Adama.

Kiedy wchodzę na górę, w mieszkaniu jest ciemno.

– Adam? – rzucam cicho, boso idąc przez pogrążony w mroku korytarz.

Odpowiada mi cisza.

Na kuchennym stole znajduję nietknięte opakowanie z prezerwatywą w środku. Oblepiają je obierki po marchewce, Adam musiał je wydobyć z kosza. Data na nim faktycznie jest sprzed kilku tygodni, gumka jest przeterminowana. Robi mi się głupio i ciepło wokół serca jednocześnie. „Więc jednak nie kłamał. Może nawet jej nie posuwa, a ja podejrzewam go o wszystko, co najgorsze” – myślę i chce mi się płakać.

Adam siedzi w sypialni, na łóżku.
– Przepraszam – mówię cicho. – Wiesz, że czasem bywam zazdrosna, ale…
– Nie zapalaj światła – wchodzi mi w słowo.
– Bo? – dziwię się.
Sięgam do włącznika, a on ryczy:
– Mówię, kurwa, nie zapalaj!
Chwilę później ruchem głowy wskazuje na swoją komórkę.
– Miałaś rację, ktoś coś wie…
– Co? – Jestem w takim szoku, że potrafię wykrztusić tylko tyle, a Adam odciskiem kciuka ożywia swój wygaszony telefon i podaje mi go.
– Ostatni esemes, czytaj.
„Wiem, co zrobiliście, ale odpowiednia ilość gotówki pomoże mi zachować pewne rzeczy dla siebie. Czekajcie na kontakt, odezwę się” – czytam i pomimo że w sypialni jest duszno, oblewa mnie zimny pot.
– Co to jest? – pytam, zszokowana.
– Przyszło kilka minut temu, właśnie miałem po ciebie iść – wyjaśnia.
– Znasz ten numer? – Wpatruję się w nic mi niemówiący ciąg cyfr.
– Nie, a ty?
– Nie – szepczę, a panika zaciska palce na moim gardle z taką furią, że z trudem oddycham.
A więc jednak miałam rację. Ktoś coś wie…

14.
ZUZANNA

Przez całą noc nie śpimy. Leżymy wtuleni w siebie, nasłuchując telefonu. Teraz już nawet Adam rozumie, że nie da się zignorować tego, co się dzieje – kolejny esemes od nieznajomego jest kwestią czasu…

– Boję się – mówię ledwie słyszalnym szeptem, a on gładzi mnie po ramieniu.

Ciepło jego oddechu na mojej szyi jest kojące, jednak nawet to, że leżymy objęci w zaciszu sypialni, nie sprawia, że czuję się lepiej. Wręcz przeciwnie, im więcej mija czasu, tym bardziej paniczny oblepia mnie strach, dosłownie jakby wczepił swoje podstępne macki w moją skórę i na dobre się w niej zakleszczył.

– Co, jeśli pójdziemy siedzieć? – pytam, a Adam całuje mnie w ramię i zapewnia, że nie ma takiej opcji.

– W najgorszym wypadku schowam dumę do kieszeni i poproszę o pomoc ojca. Nie martw się tym teraz – mówi, a ja histerycznie się śmieję.

– A kiedy mam się tym martwić, jeśli nie teraz? – pytam.

Adam nie odpowiada. Wyciąga rękę spod moich pleców, układa się wygodniej, plecami do mnie, i mruczy, że powinniśmy odpocząć. Zaczyna pochrapywać kilka minut później, a ja nie mogę się nadziwić, jak to możliwe, że tak po prostu zapada w sen…

Jego komórka leży na nocnej szafce, po jego stronie łóżka. Dźwięk jest nastawiony wyjątkowo głośno, chcemy mieć pewność, że usłyszymy przychodzącą wiadomość, chociaż ja i tak co chwilę wstaję, sięgam po smartfon i patrzę, czy nie miga niebieska dioda powiadamiająca o nowej nieodebranej aktywności. Na razie jednak w sypialni panuje błoga cisza, a ja odwracam się na łóżku i patrzę w poruszające się w rytm oddechu plecy Adama. „Jak może spać tak spokojnie?" – zastanawiam się. Chwilę później mój facet nerwowo się wzdryga i gwałtownie wyrwany z koszmaru siada na łóżku.

– Zły sen? – pytam, a on znowu mnie przytula i ciasno obejmuje.

„Jak błogo" – myślę, bo chociaż ostatnio układa się nam raczej marnie, teraz jest mi dobrze. Czasem kiedy mijam witrynę jedynej księgarni w naszej okolicy i widzę wszystkie te wystawione w niej tytuły o toksycznych relacjach międzyludzkich, domyślam się, że nasz związek również można by tak określić. Nie znam się na psychologii, ale czuję, że to, co nas łączy, nie jest tak do końca zdrowe. Czasem wydaje mi się, że kocham Adama tak, jak nigdy wcześniej nikogo nie kochałam, a później dociera do mnie, że miłość nie kieruje się grubością portfela czy perfidną kalkulacją.

Czy chciałabym z nim być, gdyby nie miał nic? Czy pojechałabym za nim na koniec świata, spałabym na gołej ziemi, gdyby i on tam sypiał? Ale on również traktuje mnie z wyrachowaniem. Jestem sporo od niego młodsza, naprawdę zgrabna i w miarę ładna – idealne trofeum dla faceta przy kasie. Czy kochałby mnie, gdybym była jakimś pryszczatym otyłym kaszalotem? I czy kiedy mu się znudzę, wymieni mnie na inną laskę?

Nagle chce mi się płakać.

– Powiedź, że mnie kochasz – proszę go szeptem.

– Przecież wiesz, że tak – mruczy i ponownie zasypia.

„Wiesz, że tak" – powtarzam sobie w myślach. Oczywiście, że on mnie kocha. To tylko niepewność, którą wyniosłam z rodzinnego domu sprawia, że czasem nie umiem w to uwierzyć.

Noc mija mi nerwowo, jestem niespokojna i nie potrafię zasnąć. Adam pochrapuje, a ja wysuwam się z jego ramion i kręcę się po mieszkaniu, co chwilę zerkając przez wychodzące na ulicę okna, jakbym podświadomie oczekiwała, że na ulicy zauważę tajemniczego zakapturzonego mężczyznę z zadartą głową i zaciętym spojrzeniem. Ale tym razem nikt się tam nie czai i w końcu wracam do łóżka, gdzie bezsennie leżę do świtu.

* * *

Zasypiam dopiero przed piątą, ale nie na długo, bo już kilka minut po szóstej budzi mnie dźwięk przychodzącego esemesa.

– Adam! – Szarpię mojego faceta za ramię, a on gniewnie mruczy w poduszkę, ale wyciąga rękę i po omacku sięga po swój telefon.

– I co? – pytam. – No mów, co pisze?

– Sama przeczytaj.

Podaje mi komórkę, a ja zerkam na jej wyświetlacz i czytam wysłaną przed momentem wiadomość: „Dziś wieczorem, trzydzieści tysięcy. Miejsce spotkania podam później. Jesteśmy w kontakcie”. Wysłana z tego samego numeru, co ta wieczorna i nie mam już nawet cienia złudzeń – kimkolwiek jest ten koleś, zamierza nas szantażować.

Nagle, zupełnie nie wiem czemu, myślę o Kamili. Kilka razy rozmawialiśmy na zapleczu o tym, co się stało. Czy była taka opcja, że coś podsłuchała i poukładała sobie w głowie fragmenty w jedną całość? Nie, niemożliwe! Krzywię się i oddaję Adamowi telefon.

– Odpiszesz mu? – pytam cicho, a on wstaje, rozsuwa story i otwiera balkonowe drzwi.

– Nie wiem – mówi.

– Myślisz, że powinniśmy? Dać mu znać, że zapłacimy, albo…

– Nie wiem, kurwa! Przymknij się na chwilę, myślę! – Adam zwraca się do mnie chłodno i opryskliwie, jego nocna czułość jest już tylko odległym wspomnieniem.

Kiedy samotnie wychodzi na balkon, jeszcze raz odczytuję wiadomość i wpatruję się w numer, z którego została wysłana, ale chociaż wysilam pamięć, nie kojarzę, żebym kiedykolwiek wcześniej widziała taką kombinację cyfr.

– Koleś chce trzydzieści tysięcy, więc to pewnie jakiś miejscowy żul, kompletny amator. Jakiś jebany grzybiarz czy chuj wie kto. Pewnie kręcił się po tamtym lesie, akurat kiedy doszło do wypadku, i schował się, żeby nie być w to wszystko zamieszanym. Może gdybym wziął audi, tak łatwo by nas nie rozpoznał, ale te pierdolone zęby na masce wściekle różowej furgonetki były niczym wypisany tam PESEL. – Adam przeczesuje palcami włosy i zakłada wyjęty z komody podkoszulek. – No nic, stało się… Zapłacimy dziadowi i będzie po sprawie. Trzydzieści tysięcy wypłacę bez problemu, chociażby dzisiaj.

– I łudzisz się, że on odpuści, kiedy dostanie tę kasę? Nie oglądasz filmów? Takie mendy zawsze wracają po więcej.

– To co proponujesz? Mam tam iść z kosą i go zaciukać?

– To nie byłaby taka zła opcja. – Uśmiecham się krzywo, a on parska śmiechem, schyla się i całuje mnie w czubek głowy.

– Nieźle, kotku. Poważnie, jestem pod wrażeniem. To jednak prawda, co mówią. Kobiety bywają znacznie okrutniejsze od mężczyzn.

– Nie jestem okrutna, jestem pragmatyczna – stwierdzam słodkim, niewinnym głosikiem.

– Zrób kawę, idę pod prysznic – mówi i samotnie wychodzi z sypialni.

Kiedy zostaję sama, zarzucam na ramiona koc i wychodzę na balkon. Kamienica jeszcze śpi, wygląda na to, że zerwaliśmy się na nogi pierwsi; ewidentnie wiadomość od szantażysty bywa skuteczniejsza niż budzik…

Parzę kawę, kiedy do kuchni wchodzi Adam. Jego włosy są wilgotne, nagi tors lśni od wody, bose stopy zostawiają mokre ślady na kafelkach. Kiedy patrzę na jego płaski brzuch, silne ramiona, umięśnione uda i kształtne łydki, mam ochotę zedrzeć z niego ręcznik, którym się przepasał, i kochać się z nim na podłodze. Jednak on nie zwraca na mnie uwagi. Kręci się po kuchni, przygotowując tosty, tym razem widocznie nie seks mu w głowie. Zresztą ja nie umyłam jeszcze nawet zębów i czuję się zbyt nieświeża na takie zabawy…

– Nie ma cukru? – pyta, a banalność tego zdania sprawia, że chichoczę.

– Chyba nie – mówię. – Zapomniałam kupić.

– Kawa bez cukru, dzięki. – Adam się krzywi, ale nie robi mi wyrzutów, chociaż w naszym układzie zakupy od samego początku są wyłącznie moim obowiązkiem.

Delikatesy są blisko, w sąsiedniej kamienicy, i to zazwyczaj ja co rano wyskakuję po coś na śniadanie. On czasem jeździ ze mną do supermarketu pod miasteczkiem, żeby zrobić większe sprawunki, ale rzeczy takie jak brak cukru to wyłącznie moja wina… Nie żebym w tym akurat momencie czuła się winna…

– Wyprasuj mi koszulę – prosi mój facet. – Tę prążkowaną, od matki. W banku chcę wyglądać jak rasowy biznesmen, a nie jakiś lokalny burak.

– Jasne. – Wstaję, wyciągam zza drzwi nową deskę do prasowania i w milczeniu rozkładam ją pod ścianą.

Nie podoba mi się jego ton i założenie, że to ja powinnam zadbać o jego wyjściowe ciuchy, ale mówię sobie, że to nie jest czas na kłótnie o pierdoły ani nie miejsce na nagły zryw feministycznego buntu.

Jego koszulę znajduję w szafie, później wracam do kuchni i w milczeniu, potulna i skupiona na tu i teraz, włączam żelazko.

– Te ścierki też mogłabyś czasem przeprasować, wyglądają jak psu z gardła wyjęte… – Adam kładzie na rozłożonej desce świeżo wyprane kuchenne szmatki i całuje mnie w kark.

„Pieprz się, pedanciku” – myślę, ale posłusznie przejeżdżam żelazkiem po zmiętym kraciastym materiale. „To cena mieszkania tu za friko, poczucia bezpieczeństwa i zapuszczenia korzeni u boku kogoś, kto mógłby być całkiem niezłą opcją na wspólną przyszłość” – mówię sobie i zagryzam zęby, żeby mu czegoś nie odpyskować.

– Mam iść z tobą? – pytam, starannie składając wyprasowaną ścierkę.

– Do banku? A po co? – Adam wygląda na rozbawionego.

– Nie sprawiasz wrażenia jakoś szczególnie przejętego – wyrzucam mu, a on bierze ode mnie ścierkę, chowa ją do kredensu i mówi, że jego zdaniem sytuacja jest bardzo obiecująca.

– To ewidentnie jakiś miejscowy frajer, który chce ze mnie wyciągnąć trochę kasy na wódę i imprezki. Gdyby miał chociaż odrobinę oleju w głowie, wiedziałby, że stać mnie na znacznie więcej niż marne trzydzieści tysięcy.

– I mówisz to takim tonem, jakby niemal cię uraził, prosząc o tak niewielką sumę.

Adam się śmieje.

– Mówię jedynie, że gdyby to był jakiś kuty na cztery nogi cwaniaczek, mógłby sobie ugrać znacznie więcej.

– Skąd wiesz, może on dopiero się rozkręca? Może to pierwsza rata?

– Jasne. W ratach to sobie koleś może pieprzonego trabanta kupić! Zapłacę gnojowi i jasno dam mu do zrozumienia, żeby sobie ze mną nie pogrywał! Ja też znam kilku niefajnych typów, którzy w ostateczności mogą mu zrobić z żeber zestaw puzzli. Zjesz omlet?

– Nie wiem, chyba nie mam apetytu – mówię. – Otwieramy dziś gabinet?

– Jasne, a czemu nie? Zaczynamy o ósmej, później wyskoczę do banku i poczekam na kolejne wieści od naszego szantażysty.

– I zamierzasz po prostu iść we wskazane przez niego miejsce i dać mu tę kasę? A co, jeśli jest ich kilku? Jeśli cię pobiją albo…

– Nie kracz, kobieto – wchodzi mi w słowo i siada za stołem. – Nie mam wyjścia, nie rozumiesz? Nie pójdziemy przecież na psiarnię.

– A gdybyś mu nie zapłacił? Gdybyś zignorował wiadomości od niego, zmienił numer i go olał? – pytam z żelazkiem w ręku, a on patrzy na mnie jak na wariatkę.

– I co? Mam się bać, że komuś powie? Że spuści mi łomot, podpali gabinet czy zdemoluje samochód? Wolę gnojowi dać trzydzieści tysięcy i raz na zawsze zamknąć tę sprawę.

– Może masz rację – wzdycham i przez dłuższą chwilę siedzimy w ciszy.

Później Adam się ubiera w starannie przeze mnie wyprasowaną koszulę, ciemne spodnie i marynarkę od garnituru, a ja wiążę mu na szyi jedwabny ciemnoszafirowy krawat w wąskie ciemnofioletowe pasy, który do tej pory zakładał jedynie na wesela.

– Wyglądasz jak milion dolarów, doktorku. – Uśmiecham się, a on całuje mnie w nos.

– Ty też, nawet w piżamie.

– Idę się umyć. – Wyłączam żelazko i zamykam się w łazience.

Pod prysznicem płaczę; łzy płyną po moich policzkach i wraz z lejącą się z deszczownicy wodą spływają do odpływu, nieme, słonawe ślady mojej paniki. Jednak kiedy suszę włosy, nie ma już po nich śladu. Jestem spokojna i skupiona na wyszykowaniu się do pracy. Tego dnia, właśnie wbrew temu, co nad nami zawisło, chcę wyglądać równie dobrze jak Adam i znaleźć w sobie siłę na przetrwanie nadchodzącej doby.

Włosy układam na szczotce, wyjątkowo dokładnie susząc pasmo po paśmie, a kiedy fryzura jest gotowa, spryskuję ją nabłyszczającym lakierem i z zadowoleniem potrząsam głową. „Adam będzie zachwycony” – myślę, sięgając po kredkę do oczu. Później robię sobie makijaż, równie dopracowany co fryzura. Korektor pod oczy, puder w kremie na twarz, szare cienie na powieki i mnóstwo tuszu do rzęs. Kiedy zaznaczam pudrem kości policzkowe, przesuwając po nich pędzelkiem, Adam puka do drzwi.

– Otwórz, muszę się odlać! – ponagla mnie.

Przekręcam więc klucz w zamku i wpuszczam go do łazienki.

– Mieszkasz ze mną, pieprzymy się i śpimy w jednym łóżku, ale nie ufasz mi na tyle, żeby zostawić otwarte drzwi, kiedy bierzesz prysznic? – pyta.

– Zamykam je odruchowo – mówię.

Akurat tego ranka nie chce mi się opowiadać mu o „wujkach”, którzy przed laty, spotykając się z moją pijaną zazwyczaj matką, często i mnie chcieli „uszczęśliwić” dotykiem lepkich łapsk czy widokiem swoich małych chujków. Miałam na tyle szczęścia, że żaden z nich nigdy mnie nie zgwałcił, ale ich ręce w majtkach czy muskanie serdelkowatymi paluchami moich pączkujących piersi pamiętam świetnie – miałam niespełna dwanaście lat, kiedy zrozumiałam, że siadanie na kolanach „kolegów” matki wiąże się czasem z czymś więcej niż niewinne przytulanki, a zostawianie otwartych drzwi od łazienki dla takich obleśnych typów jak oni jest po prostu zaproszeniem.

– Ładnie wyglądasz. – Adam myje ręce, wyciera je w wiszący na nowym uchwycie frotowy ręcznik w kolorze brudnego różu i głaszcze mnie po głowie. – Niedługo będzie po wszystkim – obiecuje głosem tak pewnym, jakby był jakąś potężną, wszechwiedzącą istotą, a nie trzydziestoczterolatkiem z zalesionego zadupia w północno-wschodniej Polsce, który w dodatku w ostatnich tygodniach nieźle sobie nagrabił…

– Oby – mówię, sięgając po szminkę.

Malując usta, zdaję sobie sprawę, że drżą mi ręce, ale postanawiam udawać, że tego nie widzę i po prostu ignorować problem.

* * *

Pół godziny później, trzymając się za ręce, wchodzimy z Adamem do gabinetu.

Kamila już przyszła, ubrana w ciemnoróżowy służbowy uniform siedzi w recepcji i pije kawę – odkąd mój facet wytknął jej kilkuminutowe spóźnienie, codziennie pojawia się nieco wcześniej.

– Dzień dobry, szefie – rzuca na nasz widok, kompletnie olewając fakt, że idę tuż obok.

Milczę więc, mijam recepcję i zamykam się na zapleczu, żeby się przebrać. Gabinety mieszczą się w należącym do Adama lokalu na parterze jego kamienicy i zazwyczaj schodzimy do pracy w założonych w domu świeżych służbowych uniformach, ale dzisiaj chciałam iść w nowej czerwonej kiecce, jakbym wierzyła, że mój zabójczy wygląd przyniesie nam powodzenie w negocjacjach z szantażystą.

Pierwszego pacjenta „załatwiam" szybko, kolejnego również. Następnie przerwa i półtorej godziny później witam się z kolejną pacjentką, kiedy w recepcji zjawia się Adam i szepcze mi na ucho, że dochodzi dziesiąta, więc idzie do banku.

– Jacy zakochani, aż miło popatrzeć – zachwyca się nami siedząca w poczekalni starsza kobieta, a ja posyłam jej wymuszony uśmiech i obie przechodzimy do zabiegowego.

Przygotowując ją dla Adama, zastanawiam się, co się wydarzy w ciągu najbliższej doby, a w mojej głowie kłębią się dziesiątki naprawdę koszmarnych scenariuszy.

– Doktor będzie za kilka minut – rzucam, zanim zostawiam ją samą, chociaż w sumie nie mam pewności, jak długo Adam zabawi w banku…

Dwie godziny później przychodzi mi do głowy coś, co sprawia, że wypuszczam trzymaną w dłoni ampułkę z lekiem, o który prosiła Kamila. A co, jeśli to nie jakiś przypadkowy świadek, ale facet, którego potrąciliśmy? Co, jeśli to on nas szantażuje? Czy wystarczy mu wyłudzona od nas kasa, czy może będzie chciał zemsty?

Chwilę później przepraszam pacjentkę i idę na zaplecze, gdzie korzystając z krótkiej przerwy pomiędzy zabiegami, samotnie tkwi Adam.

– Słuchaj, a jeśli to on? Jeśli to ten rowerzysta chce od nas kasy? Może zanim wpadł nam na maskę, w ostatniej chwili zdał sobie sprawę, że zna naszą furgonetkę? A może na chwilę odzyskał przytomność, kiedy my panikowaliśmy na szosie, zastanawiając się, co robić, i skojarzył te przeklęte zęby na różowym tle? Może to ktoś stąd i dobrze zna nasz gabinet? Co, jeśli…

– A jakie to ma znaczenie, czy to on, czy przypadkowy świadek? – wchodzi mi w słowo Adam. – Tak czy inaczej, będzie chciał kasy.

– Tak, ale jeśli to on, może mieć żal. Może chcieć zemsty albo…

– I co, potrąci mnie furgonetką? – mój facet ponownie mi przerywa. – Bez obaw, nie jadę tam na rowerze – rzuca złośliwym tonem. – Wracaj do pracy, Zuza. Nie możemy sobie pozwolić na żadne niecodzienne zachowania. Nie teraz.

– Okej – mówię.

Jest mi przykro, że on jak zawsze ignoruje moje obawy, ale wiem, że to nie czas ani miejsce, żebyśmy zaczęli przerzucać się argumentami.

15.
ZUZANNA

Kolejny esemes od szantażysty przychodzi wieczorem. „O północy przy wejściu do nieczynnej fabryki butów. Bądź sam albo pożałujesz” – czytam, kiedy Adam podaje mi swój telefon.

– Nie idź tam – proszę cicho, zerkając na leżący obok ciemny plecak, do którego Adam zapakował owinięte w bąbelkową folię trzydzieści tysięcy złotych. – Mam jakieś złe przeczucia – dodaję, a mój facet pogardliwie wygina usta w szyderczym uśmiechu.

– Jasne, typowa baba – kpi.

– Może jednak powinniśmy zadzwonić na policję? Powiedzmy im, że ktoś chce z nas zedrzeć kasę, bo mamy gabinet stomatologiczny i dobrze się nam powodzi. Jesteś lekarzem, Adam, wzbudzasz w ludziach ufność, w policji pewnie też.

– Tak? A my chcemy mu zapłacić, mimo że ten tajemniczy ktoś nie ma na nas żadnego haka? Żartujesz sobie teraz? Przecież psy zaczną węszyć, nie uwierzą w to, że ktoś tak po prostu chce nas oskubać. Takie rzeczy zawsze robią ludzie, którzy coś mają na ofiarę.

– To co, po prostu tam pójdziesz? Z tą kasą w plecaku, jak pierwszoklasista wybierający się na inaugurację roku szkolnego?! Adam, to może być jakiś niebezpieczny typ! Niczego o nim nie wiemy, a on…

– Zamknij się na moment, chcę zebrać myśli – ucisza mnie Adam. – I zaparz kawę, to będzie długa noc…

– Pójdę tam z tobą – upieram się, a on w złości zaciska usta i warczy, że mogę zapomnieć o takiej opcji.

– Miałbym się tam jeszcze martwić o ciebie?!

– A ten twój kolega, który kiedyś robił w ochronie? – przypominam sobie.

– Gruby Miro? Dziewczyno, on ledwo się ruszał z całym tym swoim opasłym cielskiem w komplecie. Pracował jako nocny stróż, nie jest komandosem.

– Może i tak, ale gdyby tam z tobą pojechał…

– Mam być sam, nie czytałaś?

– To niech on się gdzieś schowa. Albo niech…

– Zaparz kawę, mówię! I przestań mi paplać nad głową! – Adam zrywa się z krzesła i nerwowo krąży po pokoju.

– A może go zaskocz? Może nie idź na spotkanie, a później wyślij mu wiadomość z propozycją innego czasu i miejsca. Przynajmniej będzie na twoich warunkach.

– Naprawdę uważasz, że jestem w pozycji do negocjacji? – Adam z politowaniem kręci głową, a ja milknę i idę do kuchni.

Kiedy parzę kawę, zjawia się przy mnie i wsuwa mi dłonie pod krótką bawełnianą koszulkę na ramiączkach, w której latem lubię chodzić po mieszkaniu.

– Kochaj się ze mną – prosi, pieszcząc moje piersi.

Chwilę później rozbiera mnie i sam ściąga spodnie. Koszulę zdejmuję mu ja, później oboje zrzucamy na podłogę bieliznę, a ja wskakuję na blat. Kochamy się w ciszy, zatopieni we własnych niewesołych myślach, w kuchni rozbrzmiewa jedynie ciche plaskanie naszych uderzających o siebie ciał. Kończy we mnie i cicho jęczy z rozkoszy. Później wysuwa się ze mnie i pochyla, żeby ująć w usta jeden z moich sutków. Kiedy mnie pieści, wczepiam palce w jego włosy i delikatnie, samymi opuszkami palców muskam skórę jego głowy.

– Kocham cię – szepczę, a on odrywa usta od mojej piersi, unosi głowę i patrzy mi w oczy.

– Ja ciebie też, maleńka. Nawet jeśli czasem bywam dupkiem – mówi, a ja zdaję sobie sprawę, że znowu płaczę.

„Boże, niech to wszystko już się skończy” – odmawiam w duchu bezgłośną modlitwę. Wiem, że zrobiliśmy coś złego, ale przecież tego nie planowaliśmy. Po prostu spanikowaliśmy, zwykła, ludzka rzecz… „Czy to grzech?” – myślę, ale Bóg milczy, ignorując mnie dokładnie tak, jak ignorował mnie w dzieciństwie, kiedy przerażona urządzanymi przez matkę libacjami chowałam się w szopie za domem i prosiłam, żeby ona przestała chlać.

– Wezmę prysznic. – Adam całuje mnie w usta i nagi idzie w stronę łazienki.

Zeskakuję więc z kuchennego blatu, spryskuję go cytrynowym płynem do czyszczenia tego typu powierzchni i przecieram niewielką gąbką. Później zakładam podniesioną z podłogi koszulkę i zabieram się za mycie zalegających w zlewie naczyń. Kilka tygodni wcześniej zepsuła się nam zmywarka, co jeszcze niedawno było na topliście moich największych życiowych problemów, a teraz, w obliczu tego, czemu musimy stawić czoła, zwyczajnie mnie to śmieszy.

* * *

Do dwudziestej trzeciej kręcimy się z Adamem po mieszkaniu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. On jest zdenerwowany, ja bliska histerii. Nie chcę, żeby tam szedł, naprawdę mam złe przeczucia. Ale przecież mężczyźni od wieków uparcie ignorują kobiecą intuicję…

Kilka minut po jedenastej wieczorem mój facet zakłada dżinsy, ciemnoszarą bluzę z kapturem i przerzuca sobie przez ramię plecak z kasą.

– Jadę, chcę tam być trochę wcześniej – mówi i całuje mnie w usta.

– Adam, czekaj. – Kurczowo zaciskam palce na jego nadgarstku. – Może weź furgonetkę, nie audi. Jeśli będą chcieli ukraść ci auto…

– Jadę taryfą, właśnie podjechała – wchodzi mi w słowo.

– Taryfą? A jeśli będziesz musiał uciekać albo…

– Posłuchaj, widzę, że ponosi cię wyobraźnia, więc powiem ci, jak będzie. Każę kierowcy podjechać jakieś pięćset metrów od miejsca spotkania, a resztę drogi pokonam pieszo. Dam pierdolonemu szantażyście kasę, powiem mu, że to jednorazowy przejaw mojej dobrej woli, i wrócę do domu. Jeśli się tego nie komplikuje paniką i czarnymi wizjami, to nawet dość proste, prawda? – mówi Adam i delikatnie wyswabadza swoją dłoń. – Siedź w domu, nigdzie nie wydzwaniaj, a już z całą pewnością nie dzwoń do mnie. O psiarni też nawet nie myśl, słyszysz? Wrócę, zanim się obejrzysz – obiecuje.

Chwilę później wychodzi. Zamykam za nim frontowe drzwi i gnam do wychodzącego na ulicę okna. Kiedy je otwieram, on wsiada do czekającej przed naszą kamienicą taksówki. Taryfiarza rozpoznaję od razu, to pan Witek, jeden z najstarszych taksówkarzy w naszym miasteczku. Dobiega do siedemdziesiątki, ale wciąż jeździ. Ludzie go lubią, bo jest zawsze uśmiechnięty i podjeżdża o każdej porze, również nocami, o ile wcześniej zamówi się u niego kurs. Jednak teraz, widząc w uliczce jego bordowe renault, bynajmniej nie myślę o nim ciepło. Wręcz przeciwnie, jestem wściekła. „Że też musiał się napatoczyć akurat taki zniedołężniały dziad – myślę. – Może ktoś młodszy mógłby tam iść z Adamem albo schować się nieopodal i mieć oko na to, co się dzieje przy bramie nieczynnej fabryki". Szybko jednak dociera do mnie, jak infantylne są moje rojenia. Nikt przy zdrowych zmysłach nie właduje się w cudze problemy tego kalibru. I nikogo nie obchodzi to, co spotka tej nocy Adama.

Kilka minut przed północą cała w nerwach i roztrzęsiona chodzę od okna do okna, ostatkiem siły woli powstrzymując się przed obgryzieniem paznokci. W dzieciństwie robiłam to regularnie, ale udało mi się pozbyć tego paskudnego nawyku i już do niego nie wróciłam. Zaciskam więc dłonie w pięści i kręcę się po pustym mieszkaniu, modląc się w duchu, żeby Adam wysłał mi jakiś uspokajający esemes. Ale moja komórka milczy. Trzymam ją i mam wielką ochotę wybrać jego numer, ale przecież wiem, że robiąc to, mogłabym wszystko spieprzyć. „Nie, aż taką idiotką nie jestem" – mówię sobie.

Dwie minuty po północy wychodzę na balkon i zapatrzona w ciemne nocne niebo nad moją głową zmawiam kolejną modlitwę, która z całą pewnością nie dotrze do żadnego Boga. „O ile w ogóle istnieje, w co bardzo wątpię" – przechodzi mi przez myśl i zagryzam do krwi wargę.

– Kurwa – szepczę, kurczowo zaciskając palce na metalowej barierce balkonu.

Telefon leży na maleńkim okrągłym stoliku. Adam kupił mi go na imieniny, żebym miała gdzie stawiać szklankę z lemoniadą i kawę, kiedy siedzę na balkonie z książką w ręku, i nagle czuję wzruszenie na wspomnienie tamtego dnia i bukietu białych róż, które przyniósł do domu razem z fikuśnym balkonowym mebelkiem.

Dwanaście minut po północy…

Nerwy mam napięte jak postronki, w głowie mi huczy, płonę z emocji. „Proszę, zadzwoń i powiedz, że wszystko poszło dobrze" – zaklinam w duchu Adama, ale moja komórka milczy. Zerkam na stan baterii. Dziewięćdziesiąt pięć procent. Doładowałam przecież telefon tuż przed tym, jak mój facet wyszedł z kasą w plecaku, dla pewności.

Osiemnaście minut po północy…

Co on tam robi, do kurwy nędzy? Koleś się spóźnił po odbiór kasy? A może rozmawiają? Ale o czym można rozmawiać z szantażystą? Bo chyba nie poszli na piwo? Ostatnia myśl sprawia, że nerwowo chichoczę.

Za dwadzieścia pierwsza wchodzę do środka, zamykam balkonowe drzwi i wracam do nerwowego krążenia po mieszkaniu, wydeptując szlak pomiędzy kuchnią, salonem, naszą sypialnią i pokojem, z którego okna widzę ulicę.

Pierwsza osiem…

Boże spraw, żeby on wrócił. Kurwa, kurwa, kurwa! W głowie mam chaos, gardło tak zaciśnięte, że z trudem przełykam ślinę. Coś musiało się stać! Coś poszło nie tak! Teraz już nie mogę dłużej się oszukiwać, że on zaraz stanie w drzwiach. Gdyby wręczył szantażyście kasę i wszystko poszłoby zgodnie z planem, powinien już być w domu, nawet jeśli wracałby z miejsca spotkania pieszo. Ale jego wciąż nie ma…

„Dam mu jeszcze pół godziny – mówię sobie. – Pół godziny i dopiero wtedy zacznę się martwić". Na kredensie w kuchni stoi butelka czerwonego wina. Jest z tych droższych i mocniejszych, żaden tam sikacz. Mam ochotę wyrwać korek, przyłożyć szyjkę do

ust i pić, pić, pić, aż urwie mi się film. „Napij się” – odzywa się jakiś cichy głos w mojej głowie, ale każę mu się przymknąć. Z własnego życiowego doświadczenia świetnie wiem, jak marnie się kończy zapijanie problemów alkoholem, matka demonstrowała mi to latami, dość zresztą wymownie.

Odwracam więc wzrok od wina i gaszę światła w całym mieszkaniu, bo nagle wydaje mi się, że szantażysta rozprawił się z Adamem i zaraz przyjdzie po mnie. „Jezu, a jeśli on rzeczywiście tu przyjdzie?” – myślę i w panice przywieram plecami do lodowatej ściany w przedpokoju. Chwilę później, stąpając boso i na palcach, jakbym nie chciała robić hałasu, idę do kuchni i wyjmuję z szuflady największy i najostrzejszy nóż, który mamy w mieszkaniu. Później z zaciśniętymi na jego rękojeści palcami idę do pokoju pełniącego rolę gabinetu Adama i zerkam w dół, na ulicę. Nie widzę jednak nikogo i niczego niepokojącego. Wszystko wydaje się w jak najlepszym porządku. Wszystko oprócz faktu, że Adam wciąż nie wrócił…

* * *

O drugiej nad ranem podejmuję decyzję o rozpoczęciu poszukiwań i sięgam po kluczyki do furgonetki. Schodząc słabo oświetloną klatką naszej kamienicy, wyrzucam sobie, że tak długo z tym zwlekałam… Przecież coś musiało się stać, nie było innej opcji! To bydlę pobiło Adama, który leży pewnie gdzieś w ciemnościach i ma świadomość tego, że jest zdany wyłącznie na siebie…

W garażu, uruchamiając furgonetkę, trzęsę się tak, że z trudem udaje mi się trafić kluczykiem do stacyjki, ale w końcu silnik zapala. Nie mam prawa jazdy, ale w tym momencie mam to gdzieś. Zresztą całkiem nieźle prowadzę, jeździć nauczyłam się lata temu, od byłego faceta.

Na miejsce docieram kilka minut później i, dzwoniąc zębami ze strachu, wysiadam. Nieczynna zrujnowana fabryka, której ceglane ściany zarysowują się na tle nieba, wygląda upiornie. Księżyc zbliża się do pełni, srebrzystym blaskiem rozświetlając noc, a jego okrągła kula podświetla otaczające go chmury, dodając nocy magii i upiornego klimatu jednocześnie. Zanim wysiadam, biorę nóż, który przez całą drogę leżał na przednim siedzeniu pasażera, i zaciskam na nim wilgotne od potu palce.

– Adam? – mówię cicho, kiedy już opuszczam bezpieczne wnętrze samochodu i zeskakuję w trawę. – Adam?! – za drugim razem krzyczę, ale odpowiada mi cisza.

Latarka jest w schowku. Zapalam ją i omiatam mury, chaszcze przy wąskiej drodze, którą przyjechałam, i wrak samochodu, który, niegdyś podpalony przez nastoletnich złodziei, już szósty rok stoi niedaleko bramy. Dookoła jest cicho i ta cisza wydaje mi się przerażająca. Miasteczko zostało za mną, otaczają mnie pola i odludne, niezabudowane parcele. Dawniej, kiedy fabryka działała, pracowała tu jakaś jedna piąta mieszkańców okolicy, ale obecnie nie ma tu już nic ani do zobaczenia, ani do rozkradzenia.

Idąc ścieżką w stronę bramy, rozglądam się nerwowo i nasłuchuję, przerażona wizją napatoczenia się na jakiegoś samotnego cuchnącego obdartusa bądź, co gorsza, na grupkę agresywnych pijanych meneli. Ale mimo że coraz głośniej wołam Adama, nikt nie wyłania się zza murów fabryki, nikt też nie kręci się przy bramie. Wchodząc na dziedziniec, omiatam światłem latarki ciemne ściany budynku i wzdrygam się na widok pozbawionych szyb okien, które nawet w ciągu dnia zieją przerażającą czernią i pustką. Kilka lat temu zamordowano tu parę nastolatków, a zbrodnię udowodniono grupie niewiele starszych od ofiar szczyli z sąsiedniego miasteczka, których fascynowało zło. Sprawa była głośna, mówiła o niej cała Polska, ale jak to zawsze bywa, czas sprawił, że ludzie przestali się nią entuzjazmować. Ja jednak myślę o niej właśnie teraz, a w mojej głowie ożywają wszystkie zasłyszane przy ogniskach opowieści o duchach.

Nagle za moimi plecami rozlega się jakiś szelest, a ja odwracam się tak gwałtownie, że niemal tracę równowagę.

– Adam? – mówię z nadzieją w głosie, ale to tylko wychudzony bezpański pies umyka ścieżką w stronę bramy. – Kurwa mać – szepczę, bliska zsikania się ze strachu, i idę dalej, do wejścia.

Jeszcze niedawno drzwi były zamknięte na kłódkę, ale teraz są wyłamane, a czarny otwór ziejący ze ściany wyraźnie mnie zaprasza do przestąpienia progu. Wchodzę tam z wahaniem. Jakaś część mnie krzyczy: „Uciekaj stąd”, ale myśl o Adamie każe moim stopom robić kolejne kroki. „Co, jeśli on tam leży?” – powtarzam sobie i wchodzę do budynku. W środku cuchnie moczem, a ściany zdobią wulgarne napisy w stylu: „Ola, zrób mi laskę”. Są też rysunki penisów, kopulujących par, kotów i cycków. Idę ostrożnie, starając się uważać na chrzęszczące pod moimi stopami szkło i porozrzucane gdzieniegdzie skrzynie.

– Adam? – szepczę. Krzyczeć się boję, nie wiem, kto czyha w przepastnych czeluściach zrujnowanej fabryki.

Kilkanaście metrów dalej, w jednej z dawnych hal produkcyjnych, spod moich nóg umyka tłusty szczur, a ja wydaję z siebie chrapliwy krzyk i uciekam na zewnątrz. Na dziedzińcu wybieram numer Adama, ale chociaż w nieskończoność trzymam komórkę przy uchu, on nie odbiera…

– Kurwa mać! – krzyczę w bezsilnej złości.

Chwilę później jakaś sylwetka wyłania się z ciemności i rusza w moją stronę, a ja w panice niemal na oślep rzucam się do biegu. Jestem przy furgonetce, kiedy widzę wychodzącego zza bramy starca z długą zmierzwioną siwą brodą. Ma na sobie zbyt duże

ubrania, które dosłownie na nim wiszą, jego postać przypomina ludzkie widma widywane na historycznych zdjęciach upamiętniających wyzwolenia nazistowskich obozów.

Siedząc w aucie, patrzę, jak idzie w moją stronę i macha do mnie. Nie znam go z widzenia, to musi być jakiś napływowy włóczęga, jednak jego kruchość, wiek i mowa ciała sprawiają, że zbieram się na odwagę i wysiadam z furgonetki.

– Dobry wieczór – mówię cicho, a on porusza głową, jakby się ze mną zgadzał. – Czy widział pan może wysokiego, dobrze zbudowanego blondyna z niewielkim plecakiem? Miał na sobie dżinsy i ciemnoszarą bluzę z kapturem. Powinien tu być koło północy, ale może…

– Nie mam zegarka – starzec odzywa się szorstkim, chrapliwym głosem i łakomie wpatruje się w furgonetkę. – Masz coś do jedzenia? – pyta, a ja przypominam sobie o kilku wciśniętych do schowka batonikach.

– Mam – mówię. – Niech pan poczeka.

Chwilę później podaję mu batony, a on wyrywa je z mojej ręki, zdziera opakowanie z jednego i wsadza go sobie do ust. Żując go, pożera mnie wzrokiem, jakby zastanawiał się, co jeszcze może ode mnie dostać, a ja kulę się w ramionach i nieco cofam.

– Szukam mojego chłopaka, miał się tu z kimś spotkać. Na pewno go pan nie widział?

– Spałem – rzuca z pełnymi ustami. – Nikogo nie widziałem, tu cisza i spokój, pusto – dodaje, a mnie nagle mrozi myśl, której nie brałam wcześniej pod uwagę.

„A co, jeśli to nie przypadkowo spotkany bezdomny, ale szantażysta?" – przychodzi mi do głowy. Szybko jednak mówię sobie, że to przecież niedorzeczne. Staruszek jest wychudzony, zabiedzony i słaby. Nie miałby szans z Adamem, zresztą najprawdopodobniej nie ma nawet komórki. Tymczasem on odziera z folii kolejny baton i je go tak samo łapczywie jak pierwszy.

– Nic nie widziałem, żywego ducha – rzuca w końcu i, nie czekając na moją odpowiedź, rusza w stronę bramy.

Zamykam więc auto i jeszcze raz oświetlam latarką pobliskie chaszcze, wypatrując skulonej sylwetki pobitego Adama, jego bluzy, pustego plecaka czy czegokolwiek, co świadczyłoby o jego obecności tutaj. Ale nie znajduję nic, nikt też nie odpowiada na moje wołanie. Teraz, kiedy wiem, że nie jestem tu sama, wołam głośniej, jakby obecność zabiedzonego starca dodała mi odwagi. Wiem, że w przypadku zagrożenia on najprawdopodobniej w niczym mi nie pomoże, ale sama świadomość, że jest gdzieś obok, wydaje mi się kojąca.

– Adam?! – wrzeszczę.

Zza krzaków wyłania się ten sam wychudzony pies, którego widziałam wcześniej, i tym razem przygląda mi się nieco dłużej, jakby i on nabrał odwagi. W końcu zwierzę znika za murem i zostaję sama wśród otaczających mnie ciemności.

Kolejną godzinę spędzam w samochodzie, obserwując wiodącą do fabryki ścieżkę, później zapalam silnik i wycofuję na drogę. Być może Adam jest już w mieszkaniu? Może wrócił i myśli, że śpię w sypialni? Może położył się na sofie w salonie, nie chcąc mnie budzić, a ja biegam po chaszczach, narażając się na spotkania z lumpami? Tak, to całkiem możliwa opcja. Uśmiecham się do siebie, prując przez noc starą furgonetką.

Niestety w mieszkaniu nie zastaję nikogo, a mój telefon nadal uparcie milczy. Przez chwilę mam ochotę zadzwonić na policję, opowiedzieć im o wszystkim i zrzucić z barków ciężar odpowiedzialności za los mojego faceta. Wiem jednak, że Adam by mnie zabił, gdybym to zrobiła, więc parzę kolejną kawę i z kubkiem w ręku zasiadam na sofie w salonie.

W mieszkaniu jest ciemno, po powrocie nie zapaliłam światła. Mrok pomaga mi zebrać myśli i doładować akumulatory. „Jestem jak nocny drapieżnik przyczajony w ciemnościach" – mówię sobie, chociaż tak naprawdę czuję się jak przerażona dziewczynka. Gdyby mój ojciec interesował się moim losem, mogłabym teraz do niego zadzwonić i poprosić o pomoc. Gdybym miała brata, kuzyna albo chociaż dziadka… „Ale jestem sama, zdana wyłącznie na własne siły. Od zawsze pieprzona ofiara losu, sierotka Marysia, której los ma w dupie cały świat" – myślę ze złością i wbijam paznokcie w skórę tak mocno, że wykwitają na niej purpurowe półksiężyce.

Kawa dawno wystygła, ale nie wypiłam jej wiele. Jest mi niedobrze i kręci mi się w głowie ze stresu i zmęczenia. Kuląc się na sofie, mówię sobie, że tylko na chwilę zamknę oczy, ale sen bierze we władanie moje ciało podstępnie i zaskakująco szybko.

* * *

Budzę się przed szóstą, z zesztywniałym barkiem i bólem głowy. Kubek z kawą stoi na podłodze przy sofie, mój telefon leży tuż obok. Sięgam po niego i ożywiam wyświetlacz, nie znajduję jednak żadnych nowych wiadomości ani powiadomień o nieodebranych połączeniach.

– Adam? – mówię, wstając.

Podnoszę się zbyt gwałtownie, nagły zawrót głowy przyprawia mnie o mdłości, ciemnieje mi w oczach…

– Adam? – powtarzam, rozglądając się po salonie jak zagubione dziecko wypatrujące wzrokiem rodzica.

Odpowiada mi cisza.

Nie wrócił…

16.
WIOLETA

– Zbieraj się – prosi mnie Norbert, kiedy dochodzi dwudziesta trzecia, i sam w pośpiechu zakłada bluzę.

Minęło już trochę czasu od dnia, w którym zgarnęłam go z szosy – zalanego krwią, poobijanego i zszokowanego – ale nadal jest mocno posiniaczony. „Musisz jechać do szpitala" – powtarzałam, kiedy wiozłam go do domu, ale nie chciał o tym słyszeć. Zajęłam się więc nim sama, nie był zresztą aż tak ranny, żeby groziło mu niebezpieczeństwo, tak przynajmniej się pocieszałam, bo bez tomografu czy prześwietlenia mogłam jedynie obstawiać najprzeróżniejsze warianty. A jednak jakoś się wylizał i chociaż wciąż bolały go żebra, powoli dochodził do siebie.

– Wydoimy ich z kasy, choćby za to, że zostawili mnie tam jak psa – powiedział kilka dni wcześniej, kiedy postawiłam przed nim szklankę z lemoniadą i usiadłam w leżaku obok, na zarośniętej, zaniedbanej działce mojej ciotki, gdzie spędzaliśmy ostatnio mnóstwo czasu.

– A jeśli nie zapłacą? – zapytałam.

– Zapłacą. – Uśmiechnął się lisio.

I oto jesteśmy, oboje w ponurej roli szantażystów, zaczajeni przy bramie nieczynnej fabryki butów.

– On przyjdzie, sama zobaczysz. – Norbert jest pewny powodzenia, w duchu już zapewne liczy kasę, którą zamierza wycisnąć z mojego byłego męża.

I faktycznie, przynęta chwyciła – dosłownie dwie minuty później z ciemności letniej nocy wyłania się pojedyncze światło latarki i kilkanaście metrów od ciężarówki ze zgaszonymi światłami, w której siedzimy, pojawia się Adam.

– Jest! Mówiłem ci, że ten skurwiel się zjawi! – Na widok mojego byłego męża Norbert wyraźnie się ożywia i łapie za klamkę, chcąc wysiąść.

– Czekaj – mówię. – Niech podejdzie bliżej.

Zaparkowaliśmy tak, że chociaż my widzimy drogę, nasza częściowo ukryta za krzakami furgonetka raczej nie rzuca się w oczy, ale i tak chcę jeszcze chwilę poczekać. Za to Norbert już włącza światła, które rozświetlają ciemność wąskimi snopami przyjaźnie żółtej barwy, wysiada z samochodu i idzie w kierunku rozglądającego się niepewnie Adama.

„On się boi. Jest w tych ciemnościach posrany jak mały chłopiec" – dociera do mnie, kiedy widzę jego niepewny krok i skulone ramiona. Nagle wracają wszystkie te koszmarne, pełne krwi i łez wspomnienia. Bijąc mnie i gwałcąc, odgrywał wielkiego macho, a teraz szcza po nogach ze strachu!

Chociaż obiecałam Norbertowi, że nie wysiądę z wozu, nagle moja dłoń jest na klamce… Kiedy idę w ich stronę, obydwaj gwałtownie się odwracają.

– Miałaś czekać w aucie! – warczy na mnie Norbert.

– Zmieniłam zdanie – mówię, omiatając snopem światła z latarki twarz Adama, który na mój widok złośliwie się uśmiecha.

– Kogo ja widzę? Ty jednak chyba za mną tęsknisz, co, kotku? – mówi. – Zwłaszcza po naszym ostatnim spotkaniu – dodaje, lekko przeciągając sylaby, a ja zdaję sobie sprawę, że po drodze musiał sobie coś chlapnąć, pewnie na odwagę. – No powiedz, tęskniłaś?

– Zamknij ryj i dawaj kasę! – Norbert wyszarpuje mu z rąk plecak i każe mu usiąść w trawie.

Adama najwyraźniej bardziej interesuje moja niespodziewana obecność niż gadka o forsie – stoi obok nas, szantażystów, i rozważa coś zupełnie innego niż to, co się stało tamtego ranka na szosie.

– Myślisz czasem o mnie? – pyta, kiedy Norbert odwija zawinięte w folię pliki banknotów, usiłuje je przeliczyć, a przynajmniej sprawdzić, czy to nie pocięte gazety, ale w końcu, zniechęcony, klnie i wrzuca je z powrotem do przyniesionego przez Adama plecaka.

– Nie – kłamię, bo przecież myślę o nim codziennie, jest jak złowrogi cień, który przykleił się do mojej poharatanej duszy. – Nie myślę o tobie – powtarzam nieco bardziej przekonującym głosem.

Posyła mi krzywy uśmieszek i robi coś, co sprawia, że krew uderza mi do głowy – wulgarnym gestem łapie się za krocze i wykonuje wymowny ruch biodrami. Wtedy Norbert mówi mu, że chce więcej kasy.

– Po namyśle uważam, że stać cię na więcej, doktorku – cedzi, a Adam czerwienieje na twarzy i w końcu skupia całą swoją uwagę na moim młodym kochanku.

– Spierdalaj, szczylu! – rzuca przez zęby. – Umawialiśmy się na trzydzieści tysięcy, a ja dotrzymałem umowy!

– Trzydzieści tysięcy to pierwsza rata. – Norbert uśmiecha się pazernie, jego oczy lśnią gadzim blaskiem, bo teraz, kiedy zobaczył plecak z kasą, nabrał apetytu na więcej…

– Nie dostaniesz już ani grosza! – zarzeka się mój były mąż i powoli rusza w stronę drogi.

Wtedy Norbert łapie go za bluzę, ścina z nóg kopniakiem pod kolano i po chwili obaj kotłują się w trawie, okładając, klnąc i prychając. Przyglądając się ich chaotycznej walce, myślę o nożu. Norbert wozi go w schowku, wiem o tym od niedawna. Waham się tylko chwilę, w końcu rzucam się w kierunku furgonetki i wyjmuję kosę. Nóż jest duży, myśliwski, z ząbkowanym ostrzem, a jego rękojeść zaskakująco dobrze układa się w mojej dłoni, jakby była stworzona specjalnie dla mnie.

Później idę w ich stronę. Teraz kotłują się w świetle samochodowych reflektorów; Norbert okrakiem siedzi na Adamie i okłada go pięściami, ale po chwili obaj znowu turlają się po trawie i przez chwilę sama już nie wiem, który jest który. W końcu znajduję moment, w którym Adam znajduje się na górze, podbiegam do walczących mężczyzn, łapię byłego męża za włosy, odginam jego głowę i jednym płynnym przerażająco pewnym ruchem podrzynam mu gardło.

– Kurwa! – Norbert dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, co się stało i spycha rzężącego Adama w trawę. – Co do chuja?! – wrzeszczy, ze zszokowanym wyrazem twarzy wpatrując się w umierającego mężczyznę, który porusza ustami, nie potrafiąc wydać z siebie żadnego innego odgłosu oprócz upiornego charkotu, a spomiędzy jego zaciśniętych na rozharatanym gardle palców miarowo przecieka krew. – Odwaliło ci? Po chuj go zajebałaś, skoro miałem w planach wydusić z niego więcej kasy?!

– Ode mnie też dostałeś kasę. Za wysłanie go na tamten świat, pamiętasz? – przypominam mu. – Ale chyba ci się nie spieszyło…

– Nie mówiłaś, że gonią mnie terminy. – Norbert wciąż jest wściekły, ale powoli zaczyna godzić się z sytuacją i działać. – Daj mi to. – Wyjmuje mi z dłoni nóż, wyciera go w dżinsy, odchodzi kilka metrów i wrzuca narzędzie zbrodni do jednej z metalowych rur leżących nieopodal drogi.

Później łapie Adama za nogi i ciągnie go w stronę furgonetki.

– Pomóż mi – prosi, a ja stoję w bezruchu, nie potrafiąc oderwać wzroku od rozgrywającej się przed moimi oczami krwawej sceny. – Niedawno to on ciągnął w ten sposób mnie… Ironia losu, co? – dodaje, ciężko dysząc.

Adam wciąż żyje. Nawet stojąc kilka metrów dalej, słyszę jego przerażające rzężenie, które cichnie dopiero po dłuższej chwili.

– Mówię, kurwa, pomóż mi! – wrzeszczy na mnie Norbert. – Skoro postanowiłaś tu urządzić taką krwawą jatkę, trzeba ogarnąć ten syf! Weź z auta łopatę i zasyp ziemią ten szlaczek z krwi. Później się stąd zabieramy.

– A co z nim? – pytam, w końcu zabierając się do działania. – Zamierzasz go ze sobą zabrać?

– Owszem. – Norbert zatrzymuje się przy furgonetce, otwiera jej tylne drzwi i rzuca: – Pomóż mi go zapakować. Ze stłuczonymi żebrami sam sobie nie poradzę.

– Wszystko będzie we krwi – mówię, a on gniewnie parska.

– Co ty powiesz? – cedzi, zanim łapie Adama za nogi i z moją pomocą wrzuca go na tył dostawczaka. – Wsiadaj, jedziemy – mówi ostrym tonem, nigdy wcześniej się tak do mnie nie zwracał.

Wsiadam więc i w milczeniu czekam, aż on usiądzie za kierownicą i uruchomi samochód.

Kilka kilometrów dalej zatrzymuje się przy drodze i każe mi wracać do domu pieszo.

– Ja muszę dobrze schować tego przystojniaczka, umyć auto i wrócić tu o świcie, żeby sprawdzić, czy niczego nie zgubiliśmy w trawie. Zasypałaś krew ziemią?

– Powiedzmy – mówię, bo nie przyłożyłam się zbytnio do machania łopatą, ale kawał wyrwanej darni też nie wyglądałby za dobrze. – To odludzie, prawie nikt się tu nie kręci – pocieszam go.

– On najprawdopodobniej przyjechał tu taryfą, a może nawet z kimś, kto właśnie siedzi gdzieś nieopodal i sra w gacie ze strachu – mówi cicho Norbert.

– Przyjechał sam. A nawet jeśli ktoś tu był…

– Nikogo tu, kurwa, nie było! – Norbert wpada w panikę i uderza w deskę rozdzielczą.

– Nikogo nie było. – Delikatnie głaszczę go po głowie, starając się uspokoić.

– Taksówkarz może coś skojarzyć.

– Tylko to, że przywiózł go późnym wieczorem na to zadupie.

– A jeśli twój były coś mu powiedział?

– Niby co? Taryfiarzom nie opowiada się takich rzeczy – parskam.

Trup Adama leży z tyłu, przez całą drogę martwe ciało podskakiwało na każdym wyboju, żeby w końcu znieruchomieć wraz z zatrzymaniem się samochodu.

– I co teraz? – pyta cicho Norbert, kiedy siedzę z ręką na klamce.

– Nic. Teraz każde z nas pójdzie swoją drogą – mówię.

– Więc to pożegnanie? Sypiałaś ze mną tylko dla zemsty? Po to, żebym go zabił?

– Sypiałam z tobą, bo to lubiłam. A zabiłam go sama. – Uśmiecham się ponuro – Powiesz mi w końcu, co tamtego ranka robiłeś na tamtej drodze?

– Pojechałem podglądać tę imprezę u jego kumpla z nadzieją, że wśród pijanych tłumów uda mi się sprzedać Adamowi kosę, ale jakoś się nie złożyło…

– Więc jednak nie byłeś tam przypadkiem?

– A czy ktoś, kurwa, przypadkiem pojawia się na polnej drodze przed piątą rano?! – Norbert parska śmiechem, ale w jego głosie nie słyszę rozbawienia. – Przepraszam cię, Wiolka – mówi chwilę później. – Za to, że musiałaś to zrobić sama. Wiem, jakie piekło zgotował ci ten skurwysyn i gdybym był większym kozakiem, to może…

– To już nie ma znaczenia – wchodzę mu w słowo. – On nie żyje, ty masz kasę, wszystko jest cacy. Pozbądź się ciała, zatrzyj ślady i żyj tak, jakby nic się nie stało. Nikt nie wpadnie na to, że to my. Nikt, słyszysz? – mówię.

Chwilę później wysiadam i zostaję sama na poboczu, otulona cykaniem świerszczy i kojącą ciszą ciepłej letniej nocy. Patrząc w ślad za oddalającymi się światłami wiozącej stygnącego Adama furgonetki, myślę, że pewnie nie o takim kondukcie żałobnym marzyłby mój były mąż, ale nawet mimo że moje dłonie wciąż oblepia jego krew, nie czuję wyrzutów sumienia. Od dawna życzyłam mu śmierci, był moim największym wrogiem, człowiekiem, który odebrał mi godność i całą radość życia. „Zdechł tak, jak na to zasłużył i zniknie bez śladu, na zawsze pogrzebany w jakiejś dziurze czy zapomnianej studni” – mówię sobie, wycierając ręce w wyjęte z niewielkiego plecaczka nawilżane chusteczki. Później ruszam wzdłuż drogi, wolno, ostrożnie, gotowa w każdej chwili czmychnąć w krzaki na sam dźwięk zbliżającego się do mnie samochodu. Ale szosą nikt nie jedzie, noc jest głucha, ciemna i przyjazna mordercom.

* * *

W mieszkaniu biorę długi prysznic i do rana siedzę w fotelu, popijając czerwone wino. „On już mnie nie skrzywdzi” – po mojej głowie kołacze się to jedno jedyne zdanie.

Rano Norbert wysyła mi esemes: „Wszystko u mnie w porządku, chociaż sama przyznasz, że w nocy była gruba impreza!”.

Nie odpisuję. Kładę się do łóżka i zasypiam, a sen nie przynosi mi żadnych koszmarów. Może dlatego, że mój największy koszmar już nigdy mnie nie dopadnie…

17.
ZUZANNA

Przed ósmą schodzę na dół i otwieram gabinet. Czasem robię to sama bądź na zmianę z Adamem, więc moje zjawienie się w pojedynkę nie powinno zdziwić Kamili.

Kiedy wchodzę i zapalam światła, a moje nozdrza drażni znajomy zapach środków odkażających, przez jedną krótką chwilę czuję się, jakby wszystko było zwyczajnie. Szybko jednak wraca świadomość koszmaru, który stał się naszym udziałem, i chociaż wiem, że muszę się jakoś trzymać, najchętniej wróciłabym na górę, zwinęła się w kłębek i poszła spać. Sen wydał mi się cudownym lekiem na wszystko, antidotum na całe zło, które w ostatnich dniach nas spotkało. Zły sen można zapomnieć, życia zapomnieć się nie da…

Kamila zjawia się kilka minut po mnie i irytująco promienna zaczyna paplać o poznanym w pubie facecie, z którym w weekend wybiera się na koncert. Na ustach ma czerwoną szminkę w ostrym, wpadającym w ceglasty pomarańcz odcieniu, na stopach szpilki. Jej sukienka nadaje się bardziej na randkę niż do pracy – krótka, czarna, z koronkowymi wstawkami, ładnie uwydatnia jej figurę i podkreśla atuty, takie jak długie nogi i duży biust.

– Zaraz po pracy idziemy na drinka – chwali się, poprawiając włosy.

Przegląda się przy tym w gablocie, w której trzymamy ampułki z lekami, i wyraźnie z siebie zadowolona zasiada w recepcji. Normalnie cholernie bym się ucieszyła na wieść o tym, że kogoś poznała. Nowy facet u jej boku mógłby zagwarantować to, że przestanie robić maślane oczy do mojego Adama. Jednak tego akurat ranka widok jej rozmarzonej miny, pełnego makijażu i kiecki, a nawet zbyt mocny zapach kwiatowych perfum doprowadzają mnie do szału. Jej samozadowolenie jest wyjątkowo ostrym kontrastem dla mojego przygnębienia, więc kiedy zaczyna szczebiotać o tym, że ten jej nowy koleś ma jakiś szpanerski sportowy wóz, niegrzecznym tonem stwierdzam, że mam migrenę, i zamykam się w łazience dla personelu.

Później wybieram numer Adama, ale chociaż słyszę sygnał, on nie odbiera.

– Kurwa mać – klnę bezgłośnie, oparta o obramowanie umywalki.

Z lustra patrzy na mnie blada, przerażona istota z podkrążonymi oczyma i okalającymi wymizerowaną twarz źle ułożonymi czarnymi włosami.

– Dobrze się czujesz? Bo, nie obraź się, ale wyglądasz dziś chujowo. – Kiedy wychodzę z łazienki, Kamila siedzi w recepcji i je jogurt, wybierając niewielką łyżeczką wymięte truskawki z maleńkiego plastikowego pojemniczka.

– Chujowo? Bo co? Bo nie mam sztucznych rzęs, butów na obcasach i dziwkarskiej kiecki? – rzucam przez zęby, a Kamila nieruchomieje z łyżeczką w ręku, jakby mój kąśliwy ton dosłownie ją sparaliżował.

– Wow – mówi po chwili. – Znowu jesteś nie w sosie? Okej, rozumiem, że masz gorszy dzień, ale nie wyżywaj się na mnie. Pokłóciłaś się z doktorkiem? O to chodzi?

– To nie twoja sprawa – ucinam dyskusję.

– Może i moja, skoro to ja muszę znosić twoje zmienne nastroje. Bo ewidentnie masz zwyczaj wyżywania się na mnie – zarzuca mi, po czym ciska pojemniczek po jogurcie do kosza, sięga po swoją komórkę i wchodzi na Insta. – Wiem, że mnie nie znosisz, ale proszę, pohamuj czasem swój charakterek, co? Adam zatrudnia cię na takich samych zasadach jak mnie. Nie jestem twoją podwładną, na której możesz się bezkarnie wyżywać, kiedy on nie słyszy – dodaje.

– Powtarzasz się. – Uśmiecham się złośliwie, bo już kilka razy rzucała mi podobne teksty.

– Powtarzam się, bo wciąż mnie atakujesz! Chciałam być miła, a ty…

– Zamknij się! – wrzeszczę i nagle czuję, że jeszcze chwila i po prostu ją walnę.

Albo, co gorsza, wyznam jej, że ktoś nas szantażuje. Prawdę mówiąc, mam to niemal na końcu języka, w moim obecnym stanie ducha nawet Kamila wydaje mi się godną zaufania powiernicą, na której barki można zrzucić odrobinę własnych problemów. Szybko jednak wraca mi rozum, a wraz z nim świadomość tego, że tym razem przegięłam.

– Kama, przepraszam – mówię, siadając obok niej. – Przesadziłam, ale nerwy mam w strzępach. Tak, pokłóciliśmy się koło północy, a Adam wyszedł z mieszkania i do teraz nie wrócił. – Wciskam jej jakąś półprawdę, a ona od razu się ożywia, jak zawsze żądna świeżej porcji plotek.

– Myślisz, że ma inną? – pyta.

Głos moduluje na współczujący, ale w jej tonie słyszę przede wszystkim mnóstwo słabo skrywanej satysfakcji, że oto ja, pupilka i kochanica szefa, wcale nie mam aż tak różowego życia, jak mogłoby się jej wydawać.

– Zuza? Myślisz, że…
– Nie wiem – mówię zbolałym tonem, a ona przysuwa się do mnie razem z krzesłem i głaszcze mnie po plecach.
– Biedactwo ty moje – szczebiocze. – Na pewno poszedł do jakiegoś kumpla, wiesz, jacy są faceci. – Niby mnie pociesza, ale wciąż mam wrażenie, że w głębi ducha cieszy ją mój niespodziewany spektakularny upadek.
„Cóż, mniejsza z tym. Przynajmniej na trochę się odczepi" – mówię sobie.
– Zostałabyś tu sama? – pytam, kiedy ona zabiera rękę z moich pleców.
– Teraz?
– Tak. Muszę gdzieś wyjść. Jeśli pojawi się Adam, przekaż mu, że nieźle sobie nagrabił – rzucam sztucznie lekkim tonem, chociaż przecież wiem, że on nie przyjdzie…
Coś musiało się stać, nie ma innej opcji… Ten typ go przetrzymuje…
– A gdzie idziesz? – Kamila definitywnie chce trzymać rękę na pulsie.
– Niedługo wrócę – obiecuję jej i, nie dodając niczego więcej, wychodzę.
Później wbiegam po schodach naszej kamienicy, niesiona jakąś niedorzeczną nadzieją, że zastanę Adama w mieszkaniu, ale nikogo oczywiście tam nie ma…
W akcie desperacji ruszam w stronę komisariatu. Muszę ich poprosić o pomoc. Przecież on może gdzieś się właśnie wykrwawiać. Ranny, ciężko pobity, odwodniony… W południe temperatura ma przekroczyć trzydzieści stopni. „Nie mogę tak po prostu udawać, że nic się nie stało" – mówię sobie.
Idąc przez miasto, w stronę mieszczącej się w dość nieciekawej okolicy komendy, zastanawiam się, jaką wersję podam policji. W końcu wymyślam bajeczkę o szantażującym mnie byłym facecie, który ma moje rozbierane fotki i grozi, że je upubliczni, jeśli nie zapłacimy mu trzydziestu tysięcy. Szybko jednak dociera do mnie, że po pierwsze, gliniarze będą w takim układzie chcieli poznać personalia kolesia, a po drugie, nie mam nawet żadnej wiadomości od niego na dowód tego, że tak właśnie było. Po chwili wpadam na pomysł zrobienia sobie kompromitującej fotki i wchodzę pomiędzy gałęzie rosnącej nad płynącą przez miasteczko rzeczką wierzby płaczącej, żeby zdjąć bluzkę i lekko przekręcić stanik, pokazując sutki. Ulica jest pusta, a sesja wychodzi przekonująco. Robiąc zdjęcie, patrzę w obiektyw tak wyzywająco, jakbym lada chwila miała się z kimś pieprzyć i pogardliwie wydymam usta, wiem, że facetów to kręci. Przynajmniej niektórych.
Przed wejściem do komendy widzę wysokiego gliniarza, który kilka dni wcześniej zajrzał do naszego gabinetu, i jego widok sprawia, że momentalnie zmieniam zdanie. „Kurwa, czy mnie pogięło?! Nie mogę mieszać w to policji! Nie po tym, co zrobiliśmy" – mówię sobie, zawracając. W drodze powrotnej wykasowuję idiotyczną zrobioną pod wierzbą fotkę i jeszcze raz wybieram numer Adama, ale bez efektu.
– Dzwoniłam do Adama – rzuca Kamila, kiedy wracam do gabinetu. – No wiesz, pomyślałam, że może ode mnie odbierze.
– I co? – pytam, a na jedną chwilę budzi się we mnie nadzieja.
– Nic. Nie odebrał.
„Ciekawe, kurwa, czemu?" – myślę. Na głos jednak jej dziękuję i jeszcze raz przepraszam za swoje poranne zachowanie.
– Nie ma sprawy. – Kamila postanawia okazać mi zrozumienie, a nawet pyta, czy nie skoczyć mi po bajgla.
– Gdybyś mogła – zgadzam się chętnie, bo nawet kilka minut świętego spokoju wydaje mi się cholernie kuszącą opcją.
Chwilę później zdaję sobie sprawę, że koleżanka czeka, aż dam jej kasę na kanapkę, i sięgam po swoją torebkę.
– Dzięki – mówię.
W tym samym momencie dzwoni moja leżąca na recepcyjnym kontuarze komórka, a ja dosłownie rzucam się w jej stronę z nadzieją, że to Adam. Ale to nie on… To tylko jedna z naszych stałych pacjentek pyta, czy moim zdaniem powinna już pojawić się na ściąganiu kamienia nazębnego, jakbym, kurwa, pamiętała daty wszystkich jej wizyt…
– Zawsze może pani do nas zajrzeć, ocenimy na miejscu – mówię więc, a kobieta momentalnie się rozpromienia i obiecuje, że zjawi się za kilka dni.
Rozłączając się, staram się nie okazywać poirytowania, tym bardziej że przygląda mi się Kamila, jednak w środku znowu cała drżę.
– To idę po te bajgle. – Koleżanka bierze ode mnie dwadzieścia złotych i, ciągnąc za sobą kwiatową woń perfum, rusza w stronę wyjścia.
Kiedy zostaję sama, siadam na krześle w recepcji i, starając się opanować cisnące mi się do oczu łzy, w myślach liczę do stu, a później jeszcze raz, tylko po angielsku. Kiedyś miałam pierdolca na punkcie nauki tego języka, marzył mi się wyjazd do Londynu i praca barmanki. W końcu zrozumiałam jednak, że dziewczyna taka jak ja, bez kasy, ale z niezłym wyglądem, zdana na siebie w obcym kraju może skończyć na wiele różnych sposobów i to niekoniecznie za barem. Zresztą wyjazd od początku był zwykłą mrzonką, marzeniem naiwnego kopciuszka – nawet gdyby udało mi się zebrać kasę na wyjazd, nie miałabym na czynsz. Że o problemach z szukaniem lokum na miejscu nie wspomnę. Porzuciłam więc zakuwanie angielskich słówek i pogrzebałam myśl

o wyjeździe na Wyspy głęboko na dnie mojego serca, gdzie od lat mieściło się gigantyczne cmentarzysko moich niespełnionych marzeń, a później nauczyłam się żyć tu i teraz, w tej zabitej dechami zalesionej dziurze, w której przyszłam na świat…

– Marzenia pieprzonego kopciuszka – rzucam pod nosem i włączam komputer, żeby sprawdzić, czy nie dostaliśmy jakichś maili od pacjentów.

Otwieram drugą wiadomość z rzędu, kiedy dzwoni moja komórka. Widząc na wyświetlaczu numer Adama, czuję taką ulgę, jakby ktoś zdjął mi z piersi dziesięciokilogramowy głaz.

– Adam, dzięki Bogu! – rzucam do telefonu, ściskając go tak mocno, że aż boli mnie dłoń. – Gdzie ty, kurwa, jesteś?

Ale to nie głos Adama odzywa się po drugiej stronie i sekundę później dociera do mnie, że szantażysta ma jego komórkę…

– Jutro o piątej nad ranem, w lesie, tam gdzie doszło do incydentu. Wiesz o czym mówię, prawda? Przyjedź sama, na rowerze. Jeśli jeszcze kiedykolwiek chcesz zobaczyć swojego kochasia, bądź o czasie.

Słyszę szorstki, dziwnie modulowany głos, jakby ktoś mówił do telefonu przez jakiś filtr czy po prostu grubszą szmatę, jak na tych wszystkich szmatławych filmach klasy B, których bohaterowie są śledzeni, szantażowani i nękani. Dokładnie tak, jak w moim życiu…

Facet się rozłącza, zanim chcę go o cokolwiek zapytać, a kiedy wybieram numer Adama, nie odbiera.

– Kurwa! – krzyczę i w bezsilnej złości ciskam telefonem o ścianę.

Wpada pod jedno z krzeseł, na których siadają pacjenci, a ja rzucam się na kolana, w panice biorę go do ręki i oglądam z nadzieją, że nie ucierpiał. Jest przecież obecnie moim jedynym łącznikiem z kimś, kto ma Adama.

„Więc jednak zagrał nie fair" – dociera do mnie, bo nagle staje się dla mnie jasne, że kimkolwiek jest szantażysta, nie zadowolił się przyniesionymi przez Adama trzydziestoma tysiącami. Owszem, nimi też pewnie nie pogardzi, ale będzie chciał więcej, znacznie więcej… Bo jak inaczej mam rozumieć to, że zadzwonił do mnie z jego telefonu?

Chwilę później komórka dzwoni mi w dłoni, tym razem to Alicja.

– Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego Adam nie odbiera? – zaczyna z wyrzutem, jakby nawet o to, że chwilowo olewa ją jedyny syn, obwiniała właśnie mnie. – Wczesnym wieczorem miał ze mną jechać do marketu budowlanego po tarasowe płytki, a nie mogę się z nim skontaktować. Halo, słyszysz mnie?

– Słyszę – mówię zmęczonym głosem, w panice usiłując wymyślić jakąś w miarę wiarygodną bajeczkę, którą jej sprzedam. – Adam musiał wyjechać, jest w Giżycku – kłamię jak z nut, modląc się w duchu, żeby chociaż jego matka dała mi tego ranka spokój.

Ale ona dopiero się rozkręca.

– Jak to jest w Giżycku? I co niby tam robi? Nie powiedział mi, że wyjeżdża, niczego mi ostatnio nie mówi! – podnosi głos.

– Może dlatego, że jest po trzydziestce i nie musi ci się spowiadać z każdego kroku? – rzucam ostrym tonem, a ona momentalnie się zaperza.

– Co ty powiedziałaś, smarkulo?! Wydaje ci się, że możesz ze mną rozmawiać takim tonem?! Omotałaś mojego syna, ale on w końcu przejrzy na oczy i wywali cię z powrotem do cuchnącego alkoholem rynsztoka, z którego pochodzisz! – rzuca nienawistnym tonem.

„Nie będę tego słuchać, nie muszę" – mówię sobie i bez słowa pożegnania kończę rozmowę.

– Pierdol się, suko – mruczę pod nosem i z telefonem w ręku siadam na jednym z krzeseł.

Alicja… Więc jednak mnie nienawidzi, tak jak od dawna podejrzewałam. I nie łudzę się, że kiedykolwiek okaże mi serce czy poda pomocną dłoń… Nagle wyobrażam sobie martwego Adama leżącego w jakimś rowie, rozkładającego się pod palącym lipcowym słońcem, i czuję taką panikę, że zginam się wpół. Gdyby Adam zmarł, ostatni goście nie opuściliby nawet stypy, kiedy Alicja kazałaby mi się pakować i opuścić mieszkanie jej syna. Nie okazałaby mi litości, nie pozwoliłaby zostać nawet kilka tygodni, aż sobie coś znajdę. Kazałaby mi się pakować i zabierać stąd tak, jak stałam, z walizką w dłoni i bez możliwości powrotu. Dokąd bym poszła? Do matki? Na samą myśl o mieszkaniu pod jednym dachem z nią i z Tadeuszem robi mi się niedobrze. „Ale dokąd miałabym pójść? Nie mam nikogo innego, kto by mnie przygarnął" – dociera do mnie i nagle czuję się tak samotna, jak chyba jeszcze nigdy. Jestem sama na świecie. Adam zniknął i jestem sama…

– Jezu, jaka była kolejka! – Dosłownie sekundę później Kamila wraca z bajglami, ciska na recepcyjny kontuar jasnobrązową torbę z jedzeniem i rozgląda się wokół. – Twój chłop się znalazł? – rzuca lekkim tonem.

– On nie zaginął – kłamię, wściekła na siebie, że o czymkolwiek jej powiedziałam. – Pożarliśmy się, to wszystko. Pewnie pojechał gdzieś nad wodę, olał wszystko, żeby mi pokazać, że to ja pracuję u niego, a on, jako szef, może wszystko. Znając go, mógł nawet olać pacjentów, żeby tylko zrobić mi na złość…

– Myślisz? – Kamila, która nie wygląda na przekonaną, kładzie resztę obok torby z jedzeniem i mówi coś, co kompletnie mnie zaskakuje: – Gdybyś nie chciała być sama, to mogę odwołać dzisiejszą randkę – słyszę i znowu robi mi się głupio.

„Ostatnio traktowałam ją naprawdę podle, widziałam w niej wyłącznie rywalkę. Tymczasem ona jest całkiem miłą dziewczyną" – myślę i wysilam się na blady uśmiech.

– Nie wygłupiaj się, idź na spotkanie. Ale dziękuję za to, co powiedziałaś. Poważnie, dzięki – mówię, a ona kiwa głową i z uśmiechem wpatruje się w swój telefon.

– Robert pyta, jak mi mija dzień – chwali się i od razu zabiera się za pisanie esemesa.

– Czekaj, nie odpowiadaj mu tak od razu. Niech sobie koleś chwilę poczeka – pouczam ją, żeby nie wyszła na desperatkę, a ona śmiesznie marszczy nos i mówi, że pewnie mam rację.

– Chciałabym radzić sobie z facetami tak genialnie jak ty – mówi, a ja głośno się śmieję, rozbawiona jej słowami.

Genialnie? Ja? Fakt, niewiele wiedziała o moich poprzednich związkach, zresztą z Adamem też bynajmniej nie było idealnie, ale słowo „genialnie" z całą pewnością nie jest tym, którego użyłabym do opisania moich relacji z kolesiami.

– Ty też się w końcu zakochasz, zobaczysz – pocieszam ją, chcąc chociaż raz być dla niej uprzejma, a ona patrzy na mnie z taką wdzięcznością, jakby nikt inny nigdy wcześniej nie powiedział jej niczego tak miłego.

– Poważnie tak myślisz? Bo ja już czasem tracę nadzieję.

– Poważnie – zapewniam ją.

Chwilę później proponuję, żebyśmy zamknęły gabinet.

– Odwołaj dzisiejsze wizyty, nie ma ich zresztą wiele, i chodźmy do domu – decyduję, a ona posyła mi niepewne spojrzenie, jakby się zastanawiała, czy nie żartuję.

– Ale przecież Adam się wścieknie, jeśli tu zajrzy i zobaczy, że nas nie ma…

– Pieprzyć Adama! Zresztą same i tak nikogo nie przyjmiemy – mówię ze złością w głosie, bo przecież już wiem, że mój facet jest w łapach tego sukinsyna szantażysty i, co gorsza, sam się w nie władował.

A mówiłam, żeby nie szedł sam, bo to może być niebezpieczne. Prosiłam i ostrzegałam, ale nazwał mnie histeryczką. A teraz to ja muszę go ratować, sama, zdana na własne siły. Jaką mam szansę w starciu z silnym młodym facetem? Zresztą czy mam jakąkolwiek szansę w starciu z jakimkolwiek kolesiem, nawet starszym? I czy mądrą decyzją będzie stawienie się o świcie w miejscu spotkania? Przecież jeśli tam pójdę, podam się temu typowi na tacy, tak samo łatwo, jak zrobił to Adam. Ale czy mam inne wyjście? Nigdy bym sobie nie wybaczyła tchórzostwa, zwłaszcza gdyby mojemu facetowi coś się stało. Chowanie głowy w piasek nie leży w mojej naturze. Dlatego już teraz wiem, że tam pójdę. Co będzie dalej? Czas pokaże…

18.
ZUZANNA

Wieczór jest dla mnie koszmarem. Nie potrafię znaleźć sobie miejsca, czas wlecze się niemiłosiernie, a ja chcę już stanąć oko w oko z szantażystą. Chcę uratować Adama, wyrwać go z łap tego szaleńca i zabrać do domu. Bez względu na to, ile to będzie kosztowało. Sama nie mam wiele i zdaję sobie sprawę z tego, że większość kasy zapłaci mój facet. Ale to w końcu on siedział wtedy za kierownicą, a później podjął kilka innych złych decyzji. On, nie ja. To nie tak, że obwiniam wyłącznie jego, ale jednak takie myśli krążą mi pod czaszką. Że to on nas w to władował, nie ja… On za dużo wypił, on za szybko jechał, on jest dupkiem wsiadającym za kierownicę po alkoholu. On, on, on…

– Kurwa, niech to się już skończy – mówię do siebie, kręcąc się po pustym mieszkaniu.

Moja świeżo naładowana komórka leży na kuchennym stole, z dźwiękiem ustawionym na maksymalną opcję, a ja łażę od okna do okna i co chwilę podchodzę do frontowych drzwi, żeby zerknąć przez wizjer, bo z jednej strony czuję się zagrożona, będąc sama, a z drugiej – ciągle mam niedorzeczną nadzieję, że zobaczę na klatce Adama. Ale jego wciąż nie ma… Najchętniej co pięć minut wybierałabym jego numer, cały czas z nadzieją, że usłyszę jego głos, ale nie chcę, żeby rozładował się jego telefon… O ile to, że ktoś na niego wydzwania, zmniejsza żywotność baterii, bo, prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, czy tak właśnie się dzieje. W każdym razie czekam. Nie jem, nie piję, nie śpię i nie potrafię usiedzieć w miejscu, ale czekam.

* * *

Dochodzi dwudziesta druga, kiedy dzwoni Alicja. Widząc jej numer, nie odbieram. „Kilka godzin wcześniej gadała coś o alkoholowym rynsztoku, z którego pochodzę, więc niech się buja” – myślę i z mściwą satysfakcją naciskam czerwoną ikonkę odrzuconego połączenia.

Niestety matka Adama nie zamierza łatwo dać za wygraną… Chwilę później odzywa się domofon, natarczywie, wiele razy…

– Ja pierdolę, idź stąd, babsztylu – szepczę.

Odpowiada mi cisza. Trzy minuty później słyszę chrobot w zamku i do mieszkania wchodzi zasapana po wspinaczce po schodach Alicja. Na jej widok opada mi szczęka. Wiem, że ma zapasowe klucze, które Adam dał jej na wszelki wypadek, ale żeby tak po prostu sobie tu wchodzić?!

Jej również nie zachwyca mój widok…

– Proszę, proszę… Więc jednak księżniczka jest w domu… Telefonu się nie odbiera, nie podnosi się tyłka, żeby otworzyć drzwi… – rzuca paskudnie kąśliwym tonem.

– Nie możesz tak po prostu tutaj wchodzić – mówię, a ona robi kilka kroków w moją stronę i złośliwie się uśmiecha.

– Nie mogę? Kocmołuchu, to moje mieszkanie! – cedzi, rzucając mi prosto w twarz pogardliwą obelgę.

– To mieszkanie Adama – przypominam jej, a ona wybucha szyderczym śmiechem, ciska torebkę na sofę i sama na niej zasiada.

– Poczekam tu, aż wróci, chcę z nim porozmawiać – oznajmia wyniosłym tonem.

– Jest prawie dwudziesta druga. Zaraz idę pod prysznic i spać. Boli mnie głowa – mówię, a ona wzrusza ramionami.

– Bynajmniej nie oczekuję, że dotrzymasz mi towarzystwa. – Sięga po leżący na ławie magazyn wnętrzarski, który zaczyna przeglądać.

– Jeśli zaraz stąd nie wyjdziesz, wezwę policję – grożę jej. – Adam dał ci klucze na wypadek jakichś problemów, a nie po to, żebyś bezczelnie mnie nachodziła!

– Ach, więc cię nachodzę? – Jej oczy płoną nienawiścią. – Jestem u siebie, dziewczynko – dodaje.

– Tak? Zobaczymy. – Sięgam po komórkę i posyłam jej ponaglające spojrzenie. – Alicjo, ja nie żartuję. Jeśli w tym momencie stąd nie wyjdziesz, dzwonię po gliny. Powiem im, że samowolnie tu wtargnęłaś, ubliżałaś mi i…

– Zamknij się, bezczelna smarkulo! – Matka Adama zrywa się z kanapy, łapie swoją torebkę i z malującą się na twarzy furią idzie do drzwi. – Zapewniam cię, że pożałujesz tego, co dziś zrobiłaś! – zapowiada mi, zanim wychodzi.

Zamykając za nią, zakładam łańcuch, żeby nie mogła tu wrócić. Nie tej nocy.

Koło północy na chwilę się kładę. Chcę złapać kilka godzin snu albo chociaż zaliczyć płytką drzemkę, zanim będę musiała stawić czoła szantażyście. Budzik mam ustawiony na czwartą. W kilka minut umyję zęby, założę sportowe ciuchy i wyjmę z piwnicy rower. Później wystarczy jedynie znaleźć w sobie tyle odwagi, żeby dotrzeć na miejsce…

* * *

Budzik odzywa się w momencie, w którym w końcu udało mi się zapaść w głębszy sen. Siadam na łóżku, roztrzęsiona, kompletnie rozbita i mimo panującego w sypialni zaduchu zmarznięta – skrajne wycieńczenie, stres i brak snu rozbiły mój organizm na wiele różnych sposobów.

Myjąc zęby, wyobrażam sobie kubek nieco przesłodzonej gorącej kawy z mlekiem, ale wiem, że nie ma na to czasu. Zresztą po kawie zawsze sikam, a to nie jest kojąca myśl – pełny pęcherz oko w oko z szantażystą.

Kilka minut później wsiadam na rower. Dzień zapowiada się na gorący, synoptycy prawie od tygodnia trąbią o fali ekstremalnych upałów nad wschodnią Europą.

Jadąc przez miasteczko, myślę o Adamie. Kiedy był przy mnie codziennie, zarówno w mieszkaniu, jak i w gabinecie, wydawało mi się to czymś oczywistym i mocno mi spowszedniało. Teraz jednak dałabym wszystko, żeby się w niego wtulić i poczuć jego zapach.

Na podmiejskiej szosie zaczynam się bać, niepokój nasila się w momencie, kiedy ciągnące się wzdłuż drogi pola przemieniają się w zagajnik, a później w gęsty sosnowy las. Słońce jest już na niebie, miga wśród gałęzi, ale ja widzę pomiędzy pniami drzew ponure złowrogie cienie. Osaczają mnie, napierają z każdej strony, wróżą, że wydarzy się coś złego…

Tej nocy śniłam o Adamie. Szedł do mnie ukwieconą łąką i mówił mi o miłości. Jego oczy lśniły, ramiona wyciągał do mnie tak troskliwie, jak kochający rodzic asekurujący stawiające pierwsze kroki małe dziecko. Później jednak nad pełną chabrów i maków łąkę nadciągnęły złowrogie ciemne chmury, a jego szczupłą twarz wykrzywił grymas złości. „To twoja wina! – krzyczał, oskarżycielsko celując we mnie palcem. – Twoja wina, twoja wina, twoja wina!”.

Dojeżdżając do miejsca spotkania, zwalniam i mrużę oczy, usiłując dostrzec pomiędzy drzewami sylwetkę szantażysty bądź jego samochód, ale las wygląda na kompletnie odludny. Kiedy docieram do punktu, w którym Adam potrącił rowerzystę, widok wciąż wyraźnie zaznaczonych na asfalcie śladów hamowania sprawia, że wszystko to do mnie wraca, rozwala mnie emocjonalnie… Schodząc z roweru, zastanawiam się, czy powinnam się ukryć. Przycupnąć za kępą niskich iglaków, schować się przed tym, który mnie tu zwabił, wziąć go z zaskoczenia? Wiem jednak, że to bez sensu, więc po prostu wjeżdżam na jedną z wąskich dróżek wśród drzew, opieram rower o pień strzelistej sosny i siadam w wysuszonej słońcem ściółce u jej stóp.

„Niech się dzieje, co się ma dziać” – mówię sobie, starając się skupić na oddechu. Jest za osiem piąta, kilka minut do spotkania. Siedzę pośród drzew i głęboko wciągam czyste powietrze, a balsamiczny zapach lasu niesie mi swego rodzaju pociechę i daje nadzieję. „Wszystko będzie dobrze” – powtarzam sobie w duchu, chociaż raczej w to nie wierzę…

Biała furgonetka wyjeżdża zza zakrętu dwie minuty po piątej. Znam dokładny czas, bo w ręku trzymam telefon. Na jej widok wstaję i chowam się za pniem sosny, chociaż drzewo nie kryje całej mojej sylwetki. Kiedy auto zwalnia, nerwowo przełykam ślinę i mrużę oczy, usiłując dostrzec twarz kierowcy. Teraz widzę już wyraźnie, że kimkolwiek jest, przyjechał starym poobijanym fordem transitem na lokalnych numerach. Pełno takich aut w okolicy, wyglądają tak swojsko i niegroźnie, kojarzą się z prowadzeniem przeciętnie prosperujących biznesów i nie rzucają się w oczy. Ten jednak wygląda groźnie, mam świadomość tego, że lada chwila wysiądzie z niego szantażysta. I rzeczywiście biały ford zjeżdża na pobocze i nieruchomieje, a z jego szoferki wysiada szczupły i wysoki młody mężczyzna. Jest w spranych dżinsach i ciemnej bluzie, ma na głowie kaptur, jego oczy przesłaniają ciemne okulary.

Ruszam w jego stronę, starając się iść pewnie i nie okazywać strachu. W jego sylwetce dostrzegam coś znajomego, ale nie potrafię sobie przypomnieć, gdzie mogłam go widzieć. Tymczasem on wchodzi na ścieżkę i szeroko się uśmiecha.

– Witaj, myszko – mówi, a pode mną uginają się nogi.

Ten głos…

Sekundę później zdejmuje ciemne okulary i nie mam już nawet cienia wątpliwości.

– Norbert – szepczę, zszokowana jego widokiem, a on zsuwa z głowy kaptur, demonstrując paskudną ciągnącą się przez jego czoło i wciąż jeszcze zaognioną szramę, której musiał się nabawić w konfrontacji z asfaltem. – To naprawdę ty? – pytam, a on ujmuje moją twarz w dłonie i patrzy mi prosto w oczy.

– To ja – mówi. – Ale w sumie nie powinienem się wkurwiać, że mnie nie poznałaś. Cała twarz we krwi, szok, szybka akcja… No i te włosy. W momencie wypadku miałem długie, dawno nieprzycinane – dodaje.

Fakt, nie poznałam go przez włosy. Kiedyś, podobnie jak teraz, golił się na łyso i nosił kozią bródkę, w dniu wypadku miał gęstą, opadającą mu na oczy czuprynę, którą niedawno musiał obciąć, i kilkudniowy zarost.

– Gdzie Adam? – pytam cicho. – Norbercie, powiedz mi, gdzie on jest – błagam, łapiąc go za rękę, a on szyderczo się uśmiecha.

– Miłość, co? Mnie też podobno kiedyś kochałaś. – Mruga do mnie. – Oddaj mi swój telefon i wsiądź do samochodu – nakazuje mi chwilę później.

– Nie dotrzymałeś umowy. Miałeś wziąć kasę i zniknąć.

– Poważnie? Tak źle o mnie myślisz? Sądzisz, że to, co mi zafundowaliście, jest warte marne trzydzieści tysięcy? – szydzi.

W oczach ma złość, na jego czole pulsuje żyła.

Ma rację, kiedyś go kochałam. Był jednym z moich pierwszych facetów, traktowałam go dość poważnie. Miałam siedemnaście lat, kiedy zaczęliśmy się spotykać, on dwadzieścia dwa. Pięć lat starszy, przystojny, pewny siebie i wygadany, wydawał mi się wtedy idealnym kandydatem na faceta, z którym można związać swoją przyszłość i wyrwać się z rodzinnego domu. Szybko jednak idealna fasada chłopaka z sąsiedztwa, na którego się wtedy przede mną kreował, zaczęła pękać, odsłaniając coraz głębsze rysy. Początkowo mówił mi, że pracuje w warsztacie samochodowym wujka, ale z czasem odkryłam, że należy do gangu złodziei drogich aut. Kłamał, ciągle ładował się w konflikty z prawem, brał udział w bójkach i na moich oczach obrobił aptekę. Wtedy powiedziałam dość. Nie chciałam skończyć jak matka, w morzu wódy, bez perspektyw. Nie chciałam chłopaka bandziora. Byłam młodziutka, naiwna i pełna wiary w to, że przede mną lepsze życie. Dlatego z nim zerwałam. Z dnia na dzień, bez znieczulenia. Kilka tygodni po naszym rozstaniu samotnie wyjechał do Niemiec i nigdy więcej go nie widziałam.

A teraz stoi przede mną, żywy wyrzut sumienia, cudem ocalały, prawie chodzący trup.

– Miałeś nieprawdopodobne szczęście – mówię cicho, a on parska śmiechem.

– Szczęście? Mogliście mnie zabić! Nie mam nawet żalu o to, że mnie potrąciliście, bo wyskoczyłem wam prosto pod koła. To przez te krzaki. – Machnął ręką, wskazując miejsce wypadku. – Utrudniają widoczność, zresztą nie spodziewałem się tu nikogo bladym świtem i miałem w uszach słuchawki. Ale to, że porzuciliście mnie na pewną śmierć, nawet nie próbując mi pomóc… Tego wam, kurwa, nie daruję! W sumie to nawet śmieszna sprawa… Tak troskliwie opiekujecie się pacjentami, a mnie potraktowaliście gorzej niż jakiegoś zapchlonego kundla. – Norbert patrzy mi prosto w oczy, a ja nie potrafię dłużej znieść jego wzroku i odwracam głowę…

– Czemu się wtedy nie odezwałeś? Nie dałeś nawet znaku życia, cholera! Udawałeś nieprzytomnego, może nawet martwego, a my…

– Czemu się nie odezwałem?! Zaciągnęliście mnie do lasu, jak jakieś cuchnące truchło! W chuja sobie teraz ze mną lecisz?! Odzyskałem przytomność, kiedy szliście w stronę samochodu. I wtedy zobaczyłem te zęby na różowym tle, takiego koszmarku łatwo się nie zapomina. Auto kojarzyłem od dawna, bo odkąd wróciłem do Polski, miałem cię na oku. Nie przeczuwałem tylko, że spotkamy się w tak kiepskich okolicznościach. – Norbert łapie mnie za ramię i przyciąga do siebie tak blisko, że nasze nosy niemal się stykają. – Ale naprawdę się cieszę, że cię widzę, myszko. Poważnie. – Mruga i po raz kolejny powtarza, żebym oddała mu telefon i wsiadła do samochodu.

Podaję mu więc komórkę, a on wyciąga z niej kartę, zgina ją w palcach i rzuca na ściółkę. Mój telefon ciska w las, upada gdzieś kilkanaście metrów dalej, między drzewa.

– Wybacz – mówi, ale nie wygląda na skruszonego, wręcz przeciwnie – najwyraźniej kontrolowanie sytuacji sprawia mu dziką satysfakcję.

Jestem wściekła. To była nowa komórka i jedyny kontakt z Adamem. Co zrobię teraz, nie pamiętając nawet jego numeru? „Gdzie jest mój facet?" – mam ochotę zapytać po raz kolejny, ale milczę, bojąc się, że go rozsierdzę. A o tym, że bywa nerwowy, świetnie przecież wiem. Kilka razy mnie pobił, kiedy byliśmy ze sobą, dobrze wiem, do jakiej furii jest zdolny.

W samochodzie pachnie sosnowym odświeżaczem powietrza i jest nieskazitelnie czysto. Żadnych opakowań po żarciu na podłodze, żadnych kruszynek czy puszek po coli na dywaniku pod nogami.

Zastanawiam się, dokąd zabiera mnie Norbert, kiedy przypominam sobie o rowerze. Ale okazuje się, że on również o nim pomyślał. Dosłownie po chwili otwierają się tylne drzwi furgonetki i Norbert ładuje mój rower na jej tył.

– To co, myszko? Wypijemy dziś za spotkania po latach? – rzuca, kiedy wsiada.

Jego ton jej lekki, a on sam się uśmiecha, ale przecież świetnie go znam i czuję, że w jego sercu wciąż tkwi zadra powstała po naszym rozstaniu. „Będzie chciał się zemścić? A jeśli coś zrobił Adamowi?" – niespokojne myśli galopują w mojej głowie, a on wyjmuje ze schowka gumy do żucia, zdejmuje bluzę i zakłada ciemne okulary. Kiedy się pochyla, chcąc zamknąć samochodową skrytkę, syczy z bólu.

– Stłuczone żebra to nic przyjemnego, dziewczyno – rzuca i przekręca kluczyk w stacyjce. – Niby już jest lepiej, ale, kurwa, wciąż boli…

– Norbert, przykro mi – mówię cicho. – Po tym wszystkim nie mogłam spać, nie umiałam znaleźć sobie miejsca… Ciągle się zastanawiałam, kogo potrąciliśmy i czy przeżył. Przyjechaliśmy tu kilka godzin po wypadku, ale już cię nie było. Adam mówił, że na pewno żyjesz, że odszedłeś stąd o własnych siłach, ale ja… Norbert, przecież my tego nie chcieliśmy…

– Wzruszające. – Mój były wolno rusza, a chwilę później zawraca.

– Jak się stąd wydostałeś? – pytam.

– Zadzwoniłem po kogoś, kto zabrał mnie do siebie i przez kilka dni stawiał na nogi. Chcesz zobaczyć zasinienie na moim biodrze? Takiego siniaka nie miałem nawet w dzieciństwie, kiedy regularnie lał mnie ojciec.

– Co u niego? – pytam, z niechęcią wracając wspomnieniem do czerwonej od wódy przepitej gęby pana Alberta, którego widywałam czasem w sklepie.
– Utonął. Rok temu poszedł na ryby i już nie wrócił. Nie płakałem po nim, jeśli się nad tym zastanawiasz – rzuca Norbert mściwym tonem i zmienia bieg.
– Kiedy wróciłeś do Polski?
– Trzy miesiące temu. Pech, co? Gdybym nieco poczekał, być może nie zaliczyłbym asfaltu… Będę miał bliznę na czole, zdajesz sobie z tego sprawę? A kiedyś byłem ponoć całkiem przystojny… I tak sobie myślę, że jedyną rekompensatą z twojej strony będzie regularne dawanie mi dupy. Bo która inna mnie teraz zechce? – Norbert wybucha śmiechem, ale w jego pozornie rozbawionym głosie słyszę coś, co mnie przeraża. – Co? Nic nie powiesz? Zatrzymam cię na trochę, stęskniłem się.
– Jestem z kimś – mówię.
– Już nie. – Uśmiecha się gadzio. – I bądź pewna, że od teraz jesteś wyłącznie ze mną.
– Co ty pieprzysz?! – wybucham. – O czym ty, kurwa, mówisz?! Nie jestem workiem cementu, który możesz sobie tak po prostu gdzieś wywieźć! Zatrzymaj się, wysiadam! – krzyczę, a on zanosi się śmiechem.
– Wysiadasz? Chyba w twoim śnie – mówi.
Wtedy łapię za klamkę, a on na moment odrywa oczy od drogi, unosi rękę i wali mnie pięścią w twarz. Ból jest tak niespodziewany, że prawie mdleję.
– Zdecydowanie nie wysiadasz – mówi cicho.
– Jesteś chory – szepczę, a on głośno się śmieje.
– Chory? Ja po prostu lubię wyrównywać rachunki.
– Gdzie jest Adam? – pytam po dłuższej chwili ciszy. – Błagam, powiedz mi, że nic mu nie zrobiłeś! – podnoszę głos, ale on uparcie milczy.
Szosa przed nami jest pusta, dzień dopiero wstaje. Jedziemy okrężną drogą, peryferiami miasteczka, nie wjeżdżając do centrum.
– Dokąd mnie zabierasz? – pytam.
Mam ochotę złapać za klamkę, ale wspomnienie jego ciosu jeszcze zbyt wyraźnie dzwoni mi w uszach.
– Wszystko w swoim czasie – odpowiada.
– Norbert, ja muszę to wiedzieć, słyszysz?! Gdzie jest Adam?! – wrzeszczę. – Co mu zrobiłeś, pojebie?! Kurwa, gdzie on jest?!
Nagle wpadam w skrajną histerię, ale na nim mój wybuch nie robi najmniejszego wrażenia. Milczy, skupiony na drodze, kompletnie mnie ignorując. Mam ochotę szarpnąć za kierownicę i spowodować wypadek, ale widok rosnących wzdłuż drogi drzew z grubymi pniami sprawia, że wraca mi rozsądek.
Kolejny kwadrans mija nam w ciężkim milczeniu. Ja siedzę skulona, w każdej chwili gotowa do ucieczki bądź samoobrony, on, pogwizdując, prowadzi, wioząc mnie w nieznane.
– Gdzie jest Adam? – Kilka minut później jeszcze raz próbuję czegokolwiek się dowiedzieć, a on zwalnia i lekko się uśmiecha.
– Niedługo go zobaczysz – mówi, a ja wybucham płaczem.
„Dlaczego wsiadłam z nim do samochodu? Pojebało mnie? Czemu nie poszłam na policję, jak mogłam być tak głupia, żeby po prostu przyjechać na wyznaczone przez szantażystę spotkanie?” – wyrzucam sobie, podczas gdy on zjeżdża w wąską polną drogę, zwalnia i wyciąga rękę, żeby pogłaskać mnie po głowie.
– Już dojeżdżamy – mówi ciepłym, prawie czułym tonem, jakby informował znudzone podróżą dziecko.
– Czego od nas chcesz? – pytam, kiedy furgonetka wjeżdża na zaniedbane, porośnięte chwastami podwórze przed starym piętrowym domem z odrapaną jasnozieloną fasadą. – Co to za miejsce? Norbert, w co ty ze mną pogrywasz? Odpowiesz mi, kurwa?! – krzyczę.
– Wszystko w swoim czasie. – Uśmiecha się, wyłączając silnik. – Wysiadaj.
– Nie chcę.
– Teraz nie chcesz? – Mój były wygląda na rozbawionego. – A nie chciałabyś raz jeszcze spotkać się z moją pięścią?
– Damy ci więcej kasy. Adam ma…
– Nie chcę kasy – przerywa mi.
– Więc czego chcesz?
– Już ci mówiłem. Ciebie. – Norbert puszcza do mnie oczko i wysiada z samochodu.
Chwilę później obchodzi zdezelowaną furgonetkę, otwiera drzwi od strony pasażera i wyciąga do mnie rękę.
– Właśnie mi się przypomniało, że zawsze lubiłaś dżentelmenów. – Rechocze. – Wysiądź, pogadamy sobie na spokojnie. I sorry, że cię uderzyłem. Źle zaczęliśmy, co?
Nie odpowiadam.
Wysiadam i opieram się plecami o zimną blachę samochodu, a on czułym gestem odgarnia mi włosy z twarzy i przez dłuższą chwilę patrzy mi w oczy.

– Jesteś jeszcze piękniejsza, niż zapamiętałem – mówi, zanim całuje mnie w usta.

Jego pocałunek jest tak niespodziewany, że mija dłuższa chwila, zanim dociera do mnie, na co on sobie pozwala.

– Nie dotykaj mnie – syczę, kiedy w końcu odrywa ode mnie wargi, a on posyła mi rozbawione spojrzenie.

– Kiedyś to lubiłaś – przypomina mi i wkłada dłoń między moje uda, a jego kciuk uciska mój wzgórek łonowy, jakby całym tym gestem chciał „zaznaczyć teren".

– Spierdalaj! – Biorę zamach i uderzam go w twarz.

Oddaje mi i zalewam się krwią z rozkwaszonego nosa.

– Witaj w domu – mówi.

Chwilę później wyjmuje z samochodu kartkę i wciska mi do ręki długopis.

– Pisz! *Przykro mi, Adamie, ale nie układa się nam. Odchodzę, bo dłużej nie dam rady z tobą być. Wybacz, jeśli cię zraniłam, ale nasze rozstanie było kwestią czasu* – dyktuje mi.

– Nie napiszę tego! – protestuję, a on łapie mnie za włosy i odchyla moją głowę.

– Napiszesz. Zrobisz to teraz albo po tym, jak stłukę cię na kwaśne jabłko. Twój wybór, myszko – oznajmia.

Jego głos jest łagodny, co potęguje upiorność całej sytuacji. „Pierdolony psychopata" – myślę, gorączkowo zastanawiając się, co robić.

– Norbert, błagam cię. Ja nie…

– Pisz! *Przykro mi, Adamie, ale nie układa się nam*… – mój były zaczyna od nowa dyktować mi tekst, a ja zaciskam palce na długopisie i plamię papier krwią z rozbitego nosa, którą mam na dłoni.

On klnie i wyrywa z notesu kolejną kartkę. Później ruchem głowy wskazuje staromodną ogrodową pompę.

– Umyj ręce i bez ceregieli. Nie ma czasu – ponagla mnie.

Piszę więc, bo przecież wiem, że on i tak to na mnie wymusi… Staram się wykoślawiać litery, by nie wyglądały, jakby wyszły spod mojej ręki, ale on, o dziwo, świetnie pamięta mój charakter pisma.

– Chcesz dostać jeszcze raz? – pyta. – Pisz od nowa!

W końcu udaje mi się sklecić tych kilka zdań.

– Grzeczna dziewczynka. – Norbert posyła mi lisi uśmieszek i każe wejść do domu. – Daj mi swoje klucze – prosi, kiedy jesteśmy w środku. – Te od mieszkania twojego doktorka. No już, zagęszczaj ruchy! – ponagla mnie.

Oddaję mu je bez walki, nagle dociera do mnie, że mój opór tylko go rozsierdzi. „Zaatakuję innym razem. Wezmę go z zaskoczenia" – obiecuję sobie.

Przeszukując mnie, z malującą się na twarzy błogością maca mnie po piersiach, ale zagryzam zęby i udaję, że nic się nie dzieje. Później każe mi zejść do piwnicy i mówi, że wróci za jakąś godzinę, może dwie.

– Przywiozę coś dobrego na śniadanie. – Mruga do mnie i zostawia mnie samą.

– Czy Adam też tu jest? – pytam, ale on już zatrzaskuje drzwi. – Adam! – wrzeszczę, kiedy odjeżdża. – Adam, odezwij się!

Odpowiada mi cisza…

19.
ZUZANNA

W piwnicy jest chłodno, ale zaskakująco czysto. Ściany są co prawda dawno niemalowane, ale nie ma na nich nawet śladu pajęczyn. Podłoga też jest wymyta, a stojący pod oknem fotel wygląda na nowy. Poza nim pomieszczenie jest puste. Jeśli kiedykolwiek stały tu półki na przetwory czy inne piwniczne meble, dziś nie ma po nich śladu. Siadam w fotelu i biorę kilka głębokich oddechów. „To się niedługo skończy. On chce mnie tylko nastraszyć, wkręca mnie, udając psychola – pocieszam się. – Za kilka godzin, najpóźniej wieczorem, uwolni nas oboje, a my z Adamem latami będziemy się śmiać z tego, co nam zafundował".

Nagle wyobrażam sobie, że on buszuje po mieszkaniu mojego faceta, i robi mi się niedobrze. Co zabierze? Nową plazmę? Laptop, z którego wspólnie korzystamy? Wieżę? Ubrania, buty, biżuterię? Tej ostatniej mam niewiele… Kilka srebrnych łańcuszków, kilka par kolczyków i złota bransoletka – na tym raczej się nie wzbogaci. Serduszko od Adama mam na szyi, jest złote, zawieszone na równie złotym łańcuszku. To prezent urodzinowy, bardzo je lubię i często noszę, ale jeśli będzie trzeba je oddać, nie zawaham się ani chwili. Oddam wszystko, żeby tylko stąd wyjść.

– Adam! – wrzeszczę chwilę później i nasłuchuję z nadzieją, że odezwie się z głębi starego domu, ale ponownie odpowiada mi cisza.

Czas mija wolno, sekunda po sekundzie, minuta za minutą. Wstaję i z nudów liczę kroki od jednej ściany do drugiej. Później przysuwam fotel pod znajdujące się wysoko pod piwnicznym sufitem wąskie zakratowane okno i zerkam na puste podwórze. „Czy gdybym rozbiła szybę i zaczęła wrzeszczeć, ktoś mógłby mnie usłyszeć?" – zastanawiam się. Szybko jednak zdaję sobie sprawę, że taki ruch miałby swoje ponure konsekwencje. Nie, to bez sensu. Nawet jeśli rozwalę okno, tylko cudem nie kalecząc przy tym dłoni, i tak nie przecisnę się przez kraty, a na tym odludziu nikt nie przyjdzie mi z pomocą.

Drzwi są oczywiście zamknięte. Najpierw naciskam klamkę, z infantylną nadzieją, że może stanie się cud i ona ustąpi. Później napieram na nie ramieniem, jak robią to gliniarze w amerykańskich filmach, ale solidne lite drewno ani drgnie.

– Kurwa mać – mówię szeptem i wracam na fotel.

Myśl. Myśl, dziewczyno! Przypomnij sobie, kim on jest, co lubi, zastanów się, co możesz mu dać, żeby wyjść z tego cało. „Dupy. Mogę mu dać dupy" – przychodzi mi do głowy i wybucham histerycznym śmiechem. Ale tak, coś w tym jest, zawsze był wyjątkowo napalony i uwielbiał seks. „Chcę ciebie" – przypominam sobie jego słowa i robi mi się niedobrze. A jeśli on jednak mnie nie wkręca? Jeśli zrobił coś Adamowi, a ja nigdy się stąd nie wydostanę? Zalewa mnie kolejna fala mdłości.

Kulę się w fotelu i na chwilę zasypiam. Budzi mnie warkot silnika i trzaśnięcie samochodowych drzwi gdzieś nad moją głową i zdaję sobie sprawę, że musiał wrócić Norbert. Wstaję i zaciskam ręce w pięści. „Skurwysyn" – myślę z nienawiścią, mając ochotę walić w drzwi, kopać w nie i wrzeszczeć. Ale tylko się przyczajam, zbieram siły na lepszą okazję.

– Tęskniłaś, myszko? – Norbert zjawia się w piwnicy chwilę później i wręcza mi torbę ze śniadaniem.

Na widok bajgla z knajpy, w której regularnie kupujemy lunche, mam ochotę się roześmiać. Co za ironia losu, że kupił coś akurat tam. Zupełnie jakby moja codzienna rutynowa normalność zlała się w jedno z chaosem tego, co dziś się działo…

– Smacznego. Kawę zaparzę na górze – mówi.

– Gdzie jest Adam? – pytam, a on lekko się uśmiecha.

– Niedługo go zobaczysz – obiecuje. – Jedz – zachęca, a ja nagle zdaję sobie sprawę, jak bardzo jestem głodna.

Przez ostatnie dni niewiele jadłam, a bajgiel wygląda bosko. Wgryzając się w niego, widzę uśmieszek Norberta. Później zamykam oczy i po prostu napawam się smakiem.

Kiedy kończę, on każe mi wyjść z piwnicy.

– Chodź, pomożesz mi – mówi i idzie w stronę fontowych drzwi.

Widok stojącego na podwórzu audi Adama jest dla mnie szokiem.

– Czy to…

– Co, myszko? Chyba nie masz żalu? Kluczyki znalazłem na ławie w waszym salonie. – Mruga do mnie. – Zdaję sobie sprawę, że raczej nim nie pojeżdżę, ale na części pójdzie…

Chwilę później otwiera bagażnik i wyjmuje z niego dwie walizki. Ta większa, ciemnogranatowa, należy do Adama, kupił ją kilka lat wcześniej, zanim się poznaliśmy. Mniejsza, w wąskie biało-różowe paski, jest moja.

– Przywiozłem ci trochę rzeczy – mówi, sięgając głębiej, i wyjmuje z bagażnika jeszcze torbę z moją zimową kurtką, reklamówkę pełną moich butów i dużą pikowaną kosmetyczkę. – Wiadomo, że żadna kobieta nie porzuci faceta bez zabrania swoich skarbów.

List pożegnalny od ciebie zawiesiłem na lodówce, na pewno go nie przegapią. I tak sobie właśnie myślę, że wyjdzie z tego całkiem ciekawa historyjka. Porzuciłaś swojego faceta, a on wsiadł w samochód i pojechał w siną dal, żeby zniknąć na zawsze. Psy założą pewnie, że doktorek się zabił, i szybko umorzą postępowanie. Dużo tu jezior, niejedno auto już z nich wyjęto z wkładem w postaci kierowcy w środku. – Norbert rechocze i dodaje, że jego telefon wywiózł nocą aż pod Mikołajki i cisnął w szuwary. – Sprytnie to sobie wymyśliłem, co, myszko? Żebyśmy mogli zacząć wszystko od nowa, ty i ja – mówi, a ja z rosnącym niedowierzaniem potrząsam głową.

– Zabiłeś go? – pytam cicho, słowa z trudem przeciskają się przez moje gardło.

– Dużo pytań zadajesz. – Ten pieprzony psychol uśmiecha się i łapie za rączkę większej z walizek. – Wejdźmy do środka, chciałbym, żebyś się rozgościła.

– Będą nas szukać, słyszysz?! Rodzice Adama, moja matka, policja i…

– Twoja matka szuka co najwyżej flaszki w szafce pod zlewem – wchodzi mi w słowo Norbert. – Stara pijaczka pewnie dopiero po jakimś miesiącu się zorientuje, że gdzieś przepadłaś… Nie macie zbyt dobrych relacji, co, myszko?

– Nie nazywaj mnie tak! – krzyczę i rzucam się w stronę furtki, ale daleko nie odbiegam…

Dogania mnie kilkanaście metrów dalej, łapie za włosy i syczy mi na ucho, żebym go nie wkurwiała.

– Rozejrzyj się – mówi, ciągle trzymając w zaciśniętej pięści moje włosy. – To twój nowy dom, mała. Piękna okolica, co? Las, pola, żadnych sąsiadów. Nienawidzę mieszkać w bloku, strasznie dużo tam hołoty. Ujadające psy, szczyny w windzie, rozdarte bachory, pijani mężowie tłukący równie pijane żony. Tu będzie nam jak w raju.

Chwilę później liże mnie po policzku, a jego dłonie wciskają się pod moją bluzkę i drażnią sutki.

– Nie dotykaj mnie – cedzę, a on mocniej miętosi moją pierś.

– Będziemy się rżnąć, jak kiedyś. Będzie ci tu dobrze, zobaczysz – obiecuje.

Jego głos drży z podniecenia, ale cofa rękę i delikatnie całuje mnie w usta.

– Dam ci kilka dni na oswojenie się z sytuacją. Nie jestem potworem, maleńka. Rozumiem, że to dla ciebie duża zmiana, poczekam. Ale później będzie jak dawniej. Będziemy się pieprzyć, snuć plany na przyszłość, pić zimne piwko i leżeć w trawie. Pamiętasz, jak lubiłaś leżeć w trawie nad wodą? Robiłaś mi wtedy nieziemskie laski. – Norbert szeroko się uśmiecha i każe mi wnieść do domu mniejszą z walizek.

– To auto ma nadajnik GPS – mówię, a on głośno się śmieje.

– Nie ma. Wasz mechanik, z którym nie od dziś piję, zapewnił mnie, że niczego takiego nie posiada. Zresztą o pożyczaniu sobie cudzych aut co nieco wiem. – Puszcza do mnie oczko i dodaje: – Panie przodem. Idź prosto na górę, przygotowałem ci pokój.

Ruszam więc przez podwórze i z walizką w ręku wchodzę do domu. Wąski korytarz jest zaniedbany i ciemnawy, a drewniane schody na piętro trzeszczą przy każdym moim kroku. Pokój, który przeznaczył dla mnie Norbert, wygląda jak żywcem wycięty z kadru historycznego filmu. Pożółkłe tapety na ścianach, łóżko z drewnianym zagłówkiem, toaletka z ramą rzeźbioną w kwiaty i stojący w kącie fotel z welurowym obiciem – wszystko wygląda na stare, jak z innej epoki. W oknie są solidne metalowe kraty, domyślam się, że niedawno zamontowane, bo od frontu takich nie widziałam.

– I co? Będziesz mnie tu więzić? Tylko na tyle cię stać? – rzucam z pogardą w głosie, a on szeroko się uśmiecha.

– Przez jakiś czas, owszem. Ale później sama zrozumiesz, co dla ciebie dobre, i znowu mnie pokochasz. Wiem, że z tą blizną nie jestem taki jak dawniej, ale przyznasz, że trochę w tym twojej winy? – Mruga do mnie, stawiając moją walizkę przy łóżku.

– Norbert, to się nie uda – mówię. – Mam stałą pracę, znajomych, rodzinę. Adama też będą szukać, a ty…

– Tu cię nie znajdą – wchodzi mi w słowo. – Tu jesteś bezpieczna. Zaopiekuję się tobą, dam ci wszystko, czego pragniesz – obiecuje.

Jego oczy płoną, zaczynam dostrzegać w nich szaleństwo…

– A jeśli cię nie pokocham? – pytam cicho.

– Pokochasz. – Uśmiecha się. – Rozpakuj rzeczy i odpocznij. Prześpij się, zrelaksuj. Zawołam cię na obiad – mówi.

– Gdzie jest łazienka? – pytam, a on ruchem głowy wskazuje stojący przy łóżku nocnik. – Jaja sobie robisz?! – wybucham.

– Nie, czemu? Na siku masz nocniczek, większe rzeczy zgłaszaj mnie. – Szczerzy zęby, wyraźnie rozbawiony.

– Kurwa, pogięło cię, świrze?! – Rzucam się na niego z pięściami, okładam go po ramionach, torsie, kopię, krzyczę i klnę.

Pacyfikuje mnie szybko, popycha na łóżko i przygniata swoim ciężarem.

– Mógłbym cię teraz mieć – szepcze mi na ucho, zanim przygryza jego płatek. – Ale jestem dżentelmenem i poczekam, aż dama będzie gotowa.

– Puść mnie – proszę.

– Prześpij się – powtarza przerażająco łagodnym głosem, który w żaden sposób nie pasuje do sytuacji. – Zawołam cię na obiad, a później, kto wie, może nawet zagramy w karty?

– Jesteś pojebany – mówię.

– Nie bardziej niż ludzie, którzy wloką w głęboki las ofiarę potrącenia i bezdusznie porzucają ją na pastwę losu. – Wychodzi i cicho zamyka za sobą drzwi.

– Myślisz, że nam było łatwo?! – drę się, waląc w nie pięściami. – Myślisz, że dobrze się z tym czuliśmy?! Pojebie, wjechałeś nam prosto pod koła! – wrzeszczę.

Jednak on jest już na dole – po krótkiej chwili upiornych trzasków, które wydawały drewniane stopnie, w starym domu zapada cisza. Kładę się więc na łóżku i kurczowo zaciskam powieki, jakbym chciała, żeby cały zewnętrzny świat zniknął. Zanim Norbert zszedł na dół, zamknął mnie tu na klucz, w tym pachnącym naftaliną pokoju. Jestem wykończona, ale wiem, że nie uda mi się zasnąć. Serce bije mi nierówno, w głowie huczy, na żołądku nieprzyjemnie „siadł" mi zjedzony w pośpiechu bajgiel. Na myśl o tym, że tak po prostu zjadłam śniadanie, podczas gdy ten zjeb przetrzymuje gdzieś Adama, robi mi się niedobrze. Jemu pewnie nie zaniósł jedzenia. „O ile Adam jeszcze żyje" – myślę, przypominając sobie przechwałki Norberta o sprytnym planie i napisany moją ręką list.

A jeśli naprawdę będzie tak, jak on mówi? Jeśli policja uzna, że Adam zastał puste mieszkanie, na lodówce wiadomość ode mnie i uznał, że nie chce dłużej żyć? Co, jeśli gliniarze rzeczywiście wezmą go za słabego psychicznie frustrata, który nie potrafiąc znieść porzucenia, targnął się na własne życie, i po prostu umorzą śledztwo? Jego rodzice mają kasę i układy, ale i oni na dłuższą metę niewiele pewnie wskórają…

O czym Norbert nie pomyślał? Telefonu, z którego do nas dzwonił, pewnie już się pozbył, aż takim idiotą nie jest. Auto? Może ktoś go widział, kiedy wsiadał do audi? Ale Adam parkuje w zaułku za śmietnikami, gdzie nie ma kamer, a jedynym „świadkiem" jest pozbawiona okien boczna ściana jednej z kamienic.

– Adam – szepczę i pod powiekami czuję łzy.

Kilka minut później wstaję i, chcąc czymś zabić czas, otwieram starą szafę z ciężkimi drzwiami z ciemnego drewna. W środku wiszą niemodne sukienki z wypłowiałych materiałów i kilka swetrów. Muskam je dłonią, zastanawiając się, do kogo należały, i z powrotem zamykam skrzypiące drzwi. Później podchodzę do okna i wyglądam przez brudną, pełną zacieków szybę. Wychodzi na tyły domu i ciągnące się kilometrami pola. W zasięgu wzroku nie widzę żadnych zabudowań, nic tylko ciągnący się niekończącą falą żółci rzepak…

* * *

Norbert przychodzi na górę jakąś godzinę później, w ręku niesie dzbanek z sokiem.

– Kupiłem ci bajgla, a zapomniałem o czymś do picia – mówi, a do mnie dopiero teraz dociera, jak bardzo jestem spragniona.

Szklanki nie przyniósł.

– Pij ze dzbanka.

– Gdzie jest Adam? – pytam.

Nie odpowiada.

Uśmiecha się pod nosem i, kompletnie mnie ignorując, podchodzi do okna. Wtedy podejmuję kolejną próbę ucieczki, ciskam w niego ciężkim szklanym dzbankiem, który uderza go w plecy i, rozchlapując dookoła sok, tłucze się na podłodze. Norbert odwraca się zaskoczony, jednak tego już nie widzę, bo gnam w dół, po schodach. Później pędem dopadam frontowych drzwi, otwieram je i wybiegam na podwórze. Furtka jest zamknięta na klucz i, już szarpiąc ją, wiem, że utknęłam.

W panice zastanawiam się, czy zdołam przeleźć przez płot, kiedy z domu wybiega Norbert. Rzucam się więc w bok i uciekam mu wzdłuż ogrodzenia, ale on jest szybki i wściekły.

– Mam cię, mała! – obwieszcza triumfalnym tonem, kiedy udaje mu się mnie dorwać.

– Pozwól nam odejść – proszę cicho.

Patrzy mi prosto w oczy i mówi, że chyba czas na spotkanie z kochasiem.

– No chodź – ponagla, kiedy stoję pośrodku podwórza, bojąc się tego, co lada moment zobaczę. – Tylko bez histerii – dodaje.

Chwilę później wyjmuje z kieszeni pęk kluczy, otwiera kłódkę u drzwi stojącej nieco w głębi ogrodu stodoły i puszcza mnie przodem. Adam siedzi na pełnej słomy podłodze, oparty plecami o słup podtrzymujący drewnianą konstrukcję budynku.

– Adam! – krzyczę, rzucając się do biegu.

Dopiero kiedy padam na kolana i przyglądam się mu z bliska, widzę głębokie cięcie na jego szyi i pobrudzoną zakrzepłą krwią bluzę.

– Adam? – szepczę, szarpiąc go za ramię. – Kotku, obudź się – szlocham, chociaż nienaturalny kąt ułożenia jego głowy, szkliste spojrzenie i latające wokół tłuste muchy snują wyłącznie ponurą historię o śmierci.

Przez dłuższą chwilę zanoszę się płaczem, klęcząc obok ciała, a wokół nas wirują poruszone moim wtargnięciem drobinki kurzu, które unoszą się w snopach wpadającego przez szczeliny w deskach słonecznego światła. W końcu wstaję i na nogach jak z waty

wychodzę ze stodoły. Na Norberta nie patrzę, nie potrafię nawet rzucić się na niego z pięściami, ogarnia mnie taki stupor, jakby otaczała mnie bańka z przezroczystego szła.

Na zewnątrz, oślepiona ostrym lipcowym słońcem, opadam w trawę i na kolanach, z ramionami zgiętymi bólem, szlocham, a z mojego gardła co jakiś czas wydziera się ochrypły krzyk. Norbert łapie mnie pod pachy, unosi, stawia na nogi i obejmuje. Nie mam siły, żeby mu się wyrwać, po prostu zwisam w jego ramionach, bezwolna niczym szmaciana lalka.

– Ćśśś… – szepcze uspokajająco, jego wargi są tuż przy moim uchu, na szyi czuję ciepło jego oddechu. – Już po wszystkim, myszko, najgorsze za nami – powtarza.

Wymiotuję nagle, z moich ust wylewa się wszystko, co zobaczyłam w stodole, zmieszane z jasnym pomarańczowym odcieniem wypitego niedawno soku. Norbert trzyma mnie mocno, wciąż zwisam z jego ramion, bezwładna i wyssana z sił. W końcu opadam w trawę i skulona w kłębek leżę, nie potrafiąc zmusić się do najmniejszego ruchu, a on głaszcze mnie po głowie i pieszczotliwym głosem obiecuje, że już wszystko będzie dobrze.

– Musiałem się go pozbyć, nie było innego wyjścia – tłumaczy się, dodając, że przecież to wszystko z miłości do mnie, a on wcale nie jest potworem. – Nie pasowałaś do niego, myszko. My dwoje pochodzimy ze złych miejsc. Brudnych, przesiąkniętych odorem wódki i plugawych. On był z innej bajki i pewnie prędzej czy później by ci to wypomniał. Tylko ktoś taki jak ja zrozumie kogoś takiego jak ty. Tylko ludzie, którzy przeżyli piekło, potrafią razem iść przez życie, rozumiesz? Tylko razem mamy jakąś przyszłość. On by cię wykorzystał. Zużył, nacieszył się tobą i wykopał ze swojego życia. Ja dam ci wszystko, o czym zamarzysz. – Norbert mówi szybko, coraz szybciej, w jego głosie słyszę niezdrowe podekscytowanie, chyba naprawdę wierzy, że zrobił jedynie to, co zrobić musiał. – Kocham cię, maleńka. Kiedy mnie zostawiłaś, przysięgłem sobie, że po ciebie wrócę. Przez kilka lat harowałem, żeby dać ci wszystko, kupiłem dom i uwiłem dla nas gniazdko, a później zacząłem cię obserwować. Wiedziałem, gdzie mieszkasz, z kim jesteś, gdzie pracujesz. Wiedziałem, co lubisz jeść, gdzie kupujesz chleb i jak często się pieprzysz z tym swoim fagasem. Widziałem, jak cię uderzył, wtedy, na działce, i gdyby nie ta kobieta, jego matka, pewnie zatłukłbym go gołymi rękoma.

„Ty też mnie bijesz, ale to pewnie z miłości” – myślę i nagle wybucham śmiechem. Śmieję się głośno, histerycznie, pewna, że to wszystko to tylko jakiś niedorzeczny koszmarny sen, z którego zaraz się obudzę. Ale nie, ja nie śnię. Leżę w trawie, tuż obok swoich wymiocin, a Norbert, ten pierdolony morderca, gładzi mnie po włosach, jakbyśmy byli parą kochanków na majowym pikniku.

– Już dobrze – powtarza, jakby zaciął się na tym samym zdaniu, a ja milknę i po prostu tam leżę, chcąc, żeby rozwarła się ziemia i mnie pochłonęła. – Zabiłem go dla ciebie – mówi, jakby chwalił się tym, że stoczył jakiś honorowy rycerski pojedynek o moją rękę.

O tym, że kłamie, nie mam jeszcze pojęcia. Adam zginął z ręki Wiolety, ale teraz jestem pewna, że zabił go Norbert. Dla mnie. W geście zazdrości o mnie. W szale, który może powodować wyłącznie niespełnione pożądanie lub chore pragnienie kontroli nad cudzym życiem…

– Boże, to się nie dzieje naprawdę – powtarzam, wciąż w kompletnym szoku, ale nikt mi nie odpowiada, a świat wciąż się kręci, obojętny na wszystko, zresztą palące słońce nad naszymi głowami nie takie rzeczy już widziało…

Wtedy Norbert w końcu się zamyka, kończy te swoje przechwałki w temacie rozlewu krwi rywala, ale nie przestaje mnie głaskać. Na myśl o tym, że tymi samymi rękoma podciął gardło Adamowi, znowu chce mi się rzygać, ale pozwalam mu na to, nie mając sił, żeby wstać i go odgonić.

W końcu podnoszę się z trawy, najpierw klękam i zaraz opadam na czworaka, niczym ranne zwierzę, później wstaję i chwiejąc się, ruszam w kierunku tej rudery. Norbert idzie za mną, czujny i bliski niczym cień, a kiedy wchodzimy do środka, bierze mnie za rękę i prowadzi do niewielkiej zaniedbanej łazienki na parterze.

– To twój dom – mówi. – Kupiłem go dla ciebie.

– Kupiłeś go? A może pochowałeś jego właścicielkę w ogródku?! W szafie są kobiece ciuchy, do kurwy nędzy! – krzyczę.

– Jej syn sprzedał mi dom ze wszystkim, co tu było. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile pracy włożyłem w doprowadzenie tej budy do jako takiego stanu. Jego matka była chorą kobietą. Zmarła w szpitalu, ale przedtem zdążyła zdemolować wszystko, co się dało. Zaszczane obicia foteli, bród, smród i ubóstwo, to właśnie tu zastałem. Ale sprzątam, w miarę możliwości regularnie to wszystko ogarniam, żebyś czuła się tu dobrze. To wszystko dla ciebie, maleńka. Dla ciebie, słyszysz? – mruczy.

– Zrobiłeś to celowo? – pytam cicho.

– Co? – dziwi się.

– Celowo wjechałeś nam pod koła?

– Kurwa, nie! Tego akurat nie zaplanowałem, ale prędzej czy później i tak bym się rozprawił z tym twoim nadętym facetem. – Uśmiecha się szyderczo.

– A więc zamierzałeś zabić Adama na długo przed wypadkiem, ale to mnie wmawiasz, że zachowałam się jak potwór?!

– Początkowo nie chciałem go zabijać, chociaż po drodze moje plany częściowo się zmieniły – mówi enigmatycznie. – W każdym razie chciałem cię porwać. Dlatego kupiłem ten dom, furgonetkę i zainstalowałem w części domu kraty. Nie chciałem nikogo zabijać, ale on sam wydał na siebie wyrok. Porzucił mnie na pewną śmierć.

– On nie podciął ci gardła! – krzyczę.

– Ale zostawił mnie tam, żebym zdechł!

– To był wypadek – mówię cicho.

– Wypadkiem był mój kontakt z maską waszego wozu, ale to, co się stało później… Jesteście zwierzętami, oboje!

– Więc teraz jestem zwierzęciem? Przed chwilą mówiłeś, że mnie kochasz!

– Kocham. Miłość łaskawa jest, pamiętasz? – Uśmiecha się.

Kiedyś był ministrantem i służył do mszy, a Pieśń nad Pieśniami lubił szczególnie, raz nawet wyrwał kilka kartek z Biblii proboszcza, żebym i ja mogła ją przeczytać. Teraz, patrząc na jego ogoloną na łyso głowę, brzydki grymas zaciśniętych ust i koszmarną purpurową szramę przecinającą jego czoło, trudno mi wrócić wspomnieniami do tamtych czasów, ale w końcu widzę oczyma wyobraźni ubranego w śnieżnobiałą komżę szczupłego chłopca, który z natchnioną miną i skupionym wzrokiem dzwoni do mszy.

– Kocham cię – mówi i unosi mi ręce, żeby zdjąć ze mnie bluzkę.

Później zsuwa moje getry i bieliznę, a kiedy stoję przed nim naga, bierze mnie za rękę i prowadzi pod prysznic. Fakt, że jestem bez ubrania, dociera do mojej świadomości z opóźnieniem, tak samo jak to, że moje plecy namydla właśnie morderca Adama. „Nie dotykaj mnie!” – krzyczę w mojej głowie, ale usta mam zaciśnięte, podobnie jak gardło.

– Jesteś jeszcze piękniejsza niż kiedyś.

Norbert, który w ubraniu wszedł ze mną pod prysznic, gładzi moje plecy. Później klęka i całuje mnie w pośladek, a jego palce wślizgują się w moją szparkę i pieszczą mnie stojącą w całkowitym bezruchu, osłupiałą i obojętną na wszystko. W głowie mam wspomnienie Adama z ziejącą na szyi krwawą raną, ale wbrew wszystkiemu między nogami czuję narastającą przyjemność. Wtedy się wzdrygam i zaczynam krzyczeć, a mój histeryczny wrzask sprawia, że on zabiera rękę, wstaje i, ociekając wodą, całuje mnie w szyję.

– Okej, wciąż nie jesteś gotowa – mówi.

Chwilę później myje mi włosy, a ja po prostu tam stoję, tępo wpatrując się w popękane niegdyś białe kafelki, po których spływają strugi wody.

– Podobały ci się kwiaty? – pyta kilka minut później, podając mi ręcznik.

– Jakie kwiaty? – odpowiadam szeptem, nie mam pojęcia, o czym on mówi.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że pewnie chodzi o przewiązany czarną koronkową wstążką żałobny bukiet zeschłych róż.

– Miały symbolizować nieuchronny rozpad twojego związku z Adamem – wyjaśnia Norbert, wyraźnie z siebie zadowolony. – Kiedy zakradłem się do jego gabinetu, bałem się, że będzie z tego jakaś chryja, ale siedziała tam jedynie jakaś starucha. – Rechocze.

– Chcę na chwilę zostać sama – mówię, nie komentując jego wcześniejszych słów, a on z politowaniem się uśmiecha.

– Przykro mi, myszko, ale twój marny stan psychiczny na to nie pozwala – mówi.

Dziwi mnie to, w jaki sposób ze mną rozmawia. Kiedy byliśmy razem, dużo pił i jeszcze więcej klął, teraz jednak jego słownictwo jest znacznie staranniejsze i bogatsze, a z ust co chwilę nie wylatują wulgaryzmy, jak kiedyś. Nie żeby to w jakikolwiek sposób zmieniało moje położenie….

20.
ZUZANNA

– Pomóż mi. – Siedzę w fotelu, gapiąc się w okno, kiedy w salonie zjawia się Norbert. – Trzeba go zakopać – mówi, a ja wbijam sobie paznokcie w dłonie, tłumiąc wzbierający w gardle krzyk. – Chodź – ponagla mnie.

– Nie – mówię cicho.

Norbert podchodzi bliżej, na jego twarzy maluje się wściekłość.

– Nie? – pyta.

– Nie – powtarzam.

Wtedy łapie mnie za świeżo umyte włosy i ciągnie tak mocno, że podrywam się z fotela.

– To nie była dobra odpowiedź – cedzi przez zęby.

Na zewnątrz podaje mi łopatę i wskazuje zacienione miejsce za domem, w którym mam kopać.

– Tutaj – mówi.

Chwilę później wręcza mi grube ogrodowe rękawice.

Stoję z palcami zaciśniętymi na trzonku łopaty i z niedowierzaniem wpatruję się w wyznaczony przez niego kawałek ogrodu, w którym zaplanował pochować Adama. Jak psa, w niepoświęconej ziemi, bez możliwości pożegnania go przez bliskich. Nagle myślę o Alicji. Nie lubię tej suki, nigdy jej nie lubiłam, ale świadomość, że własnoręcznie mam wykopać grób dla jej syna, jest dla mnie niewyobrażalnie bolesna.

– Kop! Na co czekasz? – Norbert lekko mnie popycha, a sam siada na ławce przed domem, niczym nadzorca na plantacji niewolników.

Wbijam łopatę w ziemię. Jest pulchna i zaskakująco miękka, spodziewałam się większego oporu. Jej zapach przywodzi na myśl dzieciństwo i chwile spędzane w ogrodzie, gdzie godzinami przyglądałam się ślimakom, dżdżownicom i motylom. Norbert pogwizduje, sprawia wrażenie kogoś, kto całkiem dobrze się bawi, najwidoczniej moment kopania grobu przeznaczonego dla rywala uważa za swoje osobiste zwycięstwo, chwilę triumfu.

Pierwszą grudę ziemi ciskam na bok, w trawę, później drugą, trzecią i czwartą… Po kilku minutach kopania między piersiami spływa mi strużka potu i robi mi się słabo. Nie wiem, czy to przez lejący się z nieba żar, silne emocje czy odwodnienie, ale przez chwilę wydaje mi się, że ugną się pode mną nogi i upadnę.

– Przynieś mi wody – proszę Norberta, a on lekko się krzywi.

– Już zmęczona? Księżniczko, rozczarowujesz mnie – mówi, ale podnosi się z ławki.

Chwilę później przystaje i odwraca się w moją stronę.

– Idziesz ze mną. Tutaj na pewno sama nie zostaniesz – decyduje.

Wtedy dociera do mnie, że mam w ręku łopatę i przecież niekoniecznie muszę użyć jej wyłącznie do kopania grobu. Unoszę ją zaraz, celując w jego głowę. Zamach jest szybki i bezlitosny, ale Norbertowi nie brakuje refleksu. Uchyla się dosłownie na sekundę przed ciosem i uskakuje w bok, a łopata wypada mi z ręki.

– Coś ty chciała zrobić, dziwko?! – wrzeszczy.

Chcę podnieść łopatę, ale on jest szybszy. Odpycha mnie tak mocno, że upadam w trawę, a on przyciska kolanem moje plecy, jak robią to gliniarze aresztujący opornych, i warczy, że jeszcze jedna taka akcja, a będę kopać dół dla dwojga.

– Skoro tak ci na tym zależy, żeby spocząć przy swoim kochasiu, to może jednak powinienem ci to zagwarantować? A może chcesz iść do stodoły i dać mu buzi, co? W tym skwarze pewnie nieźle się tam rozkłada – szydzi, a jego głos dosłownie ocieka okrucieństwem.

Nie odpowiadam. Moje łzy wsiąkają w rozgrzaną upałem ziemię wokół domu, który on w swoich szaleńczych wizjach nazywa naszym miłosnym gniazdkiem…

– Wstawaj – mówi w końcu i uwalnia moje plecy od nacisku swojego kolana.

Podnoszę się więc, a on łapie mnie za rękę i dosłownie ciągnie w stronę wejścia do zaniedbanego budynku.

W korytarzu wyjmuje z komody pistolet, mierzy do mnie i zapowiada mi, że bez dyskusji wrócę do kopania albo zrobi się nieciekawie. Widok wycelowanej we mnie broni nie jest zaskoczeniem, Norbert od dawna miał do niej słabość. Wiem, że umie strzelać i nie zawaha się, kiedy najdzie go ochota pociągnięcia za spust.

– Usiłowałem być miły, ale ty jesteś przebiegłą suką, która musi się nauczyć posłuszeństwa – rzuca przez zęby. – Pomożesz mi, bo samo się nie wykopie! – ponagla mnie.
– Strzelaj. – Uśmiecham się, wyzywająco patrząc mu w oczy, i ruszam w jego stronę. – Nie masz na tyle jaj, żeby to zrobić – syczę.
– Jaja mam, po prostu nie mam na to ochoty. Czuję, że jeszcze mi się przydasz. – Mruga do mnie.
– Nie będę kopać grobu dla Adama.
– Dobrze, w takim razie na pewno lepiej zrelaksujesz się na dole. – Norbert odkłada spluwę i błazeńsko mi się kłania. – Schodami w dół, milady. Poradzi sobie pani sama czy mam panią odprowadzić do komnaty?
– Dziękuję, sama trafię – mówię, a on wybucha głośnym śmiechem i schodzi ze mną na dół.
W piwnicy dopada mnie atak paniki, mam wrażenie, że ściany napierają na nas, a panujący tam zaduch zagraża mojemu życiu.
– Nie zamykaj mnie tu – proszę cicho, a on krzywo się uśmiecha.
– A co, wraca ci chęć współpracy?
– Tak – szepczę, bo nagle dociera do mnie, że lepiej zniosę wszystko, nawet kopanie grobu, niż długie godziny w zamknięciu.
– W takim układzie panie przodem, tym razem na górę. – Przepuszcza mnie w drzwiach i wracamy do korytarza.
Chwilę później, w ogrodzie, zakładam rękawice, podnoszę z trawy łopatę, a Norbert siada na ławce i z pistoletem w ręku przygląda się, jak kopię.
– Żywotność około trzystu sześćdziesięciu tysięcy strzałów i możliwość strzelania pod wodą – mówi nagle Norbert, bardziej do siebie niż do mnie, a ja orientuję się, że mowa o leżącym obok glocku. – Taki sam model odnaleziono w kryjówce Saddama Husajna w momencie jego pojmania – dodaje.
„Gówno mnie to obchodzi" – myślę, a on gada coś o oddziale Delta Force i sprezentowaniu broni Husajna amerykańskiemu prezydentowi. Po chwili się zamyka, a ja ocieram pot z czoła i wbijam łopatę w ziemię.
– Kurwa, w tym tempie twój kochaś zdąży zamienić się w szkielet. – Nagle Norbert podrywa się z ławki, wsuwa broń za pasek spodni i warczy, że czas na zmianę warty. – Dawaj tę łopatę, księżniczko.
Oddaję mu ją, ściągam rękawiczki i zupełnie bez sił, zlana potem, opadam na ławkę.
– Mogę przynieść z kuchni coś do picia? – pytam.
– Nie.
– Umieram z pragnienia. Jeśli teraz się nie napiję…
– Kurwa, dobra! – Mój były ciska łopatę w trawę i warczy, żebym szła przodem. – Jeden głupi ruch i właduję w ciebie cały pierdolony magazynek, a później cię zerżnę – grozi. – W sumie to chyba nawet nie nekrofilia, skoro będziesz jeszcze ciepła. – Rechocze, ubawiony własnym żartem.
– Tylko pamiętaj, że krew zbyt łatwo się nie spiera. Lubisz te spodnie? – rzucam, a on głośno się śmieje.
– Wrócił twój wrodzony sarkazm, księżniczko?
– Może.
W kuchni piję szklankę wody, a później napełniam ją i biorę ze sobą do ogrodu.
– Szkło jest niebezpieczne – mówi Norbert, stojąc nad powiększającym się dołem. – Możesz rozbić szklankę i rzucić się na mnie z odłamkiem albo wpaść na idiotyczny pomysł poderżnięcia sobie gardła. Odstaw ją tam. – Wskazuje na leżącą kilka metrów dalej drewnianą skrzynkę. – A kiedy będziesz chciała się napić, zgłoś to mnie.
– Rola klawisza całkiem ci leży, co? – kpię, ale posłusznie zanoszę szklankę we wskazane przez niego miejsce.
Wracając na ławkę, wyobrażam sobie przez chwilę, że rozcinam sobie gardło, i mimo upału przechodzi mnie dreszcz. Nie, nie umiałabym… Odebrać sobie życie w taki sposób? To dla mnie za trudne, zbyt pojebane. Zresztą ja chcę żyć. Mimo wszystko, w każdej sytuacji, nawet teraz, wiedząc, że w stodole leży trup mężczyzny, u którego boku budziłam się przez długie miesiące. Wola życia jest jednym z najsilniejszych pierwotnych instynktów, które w nas drzemią, i właśnie w tym momencie dociera do mnie, że mimo otaczającego mnie koszmaru ja również pragnę przetrwać. Myśl ta rodzi we mnie jednak duży dyskomfort. Czuję się jak stąpająca po trupach egoistyczna suka, która dba o własną skórę nawet teraz, wśród zapachu wydobywanej z kopanego grobu ziemi. Ale co zmieniłaby moja śmierć i komu miałaby się przysłużyć? Adamowi? Raczej nie. Mnie samej? Wątpię. Norbertowi? Jego również zapewne by nie ucieszyła, chociaż akurat to, czego chce ten popaprany pojeb, mam w głębokim poważaniu.
– I jakoś mi idzie… Ma się ten talent w rękach, co? – Jego głos wyrywa mnie z zamyślenia, chełpi się, że sprawnie mu idzie kopanie, jakby to były jakieś wyścigi.
– Dlaczego nie znalazłeś sobie innej laski? – pytam nagle, a on przerywa pracę i ociera pot z czoła.
– Byłem z innymi, ale to ty jesteś moją kobietą – odpowiada, jakby to było czymś zupełnie oczywistym. – Ciebie kochałem najmocniej ze wszystkich lasek świata, za tobą tęskniłem nocami, ty byłaś moją motywacją do działania. W Niemczech przez jakiś czas pracowałem w zakładzie pogrzebowym, wiesz? – pyta nagle.

Nie mam ochoty wdawać się w tego typu pogawędki, więc milczę. Nie zraża go to jednak i po chwili kontynuuje swoją opowieść.

– Przywykłem do śmierci, przestała mnie przerażać. Jest częścią życia, mała, konsekwencją każdego oddechu – filozofuje, jednocześnie kopiąc.

Kwadrans później każe mi się wykazać i ciska we mnie rękawicami.

– Tylko kop, nie opierdalaj się. Zmienię cię, kiedy się odleję i nieco odsapnę – dodaje.

Wskakuję więc do znacznie przez niego pogłębionego dołu i wbijam łopatę w ziemię. Słońce przesunęło się i pali moje odsłonięte ramiona; nie pracuję już w cieniu, a obezwładniający upał zdaje się wzmagać z minuty na minutę, chociaż wiem, że to tylko mój zmęczony organizm kreuje takie wrażenia.

– Kop! – Norbert ostro mnie ponagla i wraca na ławkę.

Za paskiem wciąż ma broń, a ja wyobrażam sobie, że rzucam się na niego, wyciągam ją, odbezpieczam i strzelam mu w twarz. Czy potrafiłabym to zrobić? Nie mam pewności… Jednak mroczne myśli o jego śmierci dodają mi siły do zmagań z coraz twardszą ziemią.

– Daj. – Mój były facet wyjmuje mi z dłoni łopatę i każe wyjść z dołu. – Jeszcze trochę i będzie git – mruczy.

– Jest wciąż płytko – zauważam.

– Któregoś dnia rozleje się tu beton, zrobi jakąś fikuśną altankę i po problemie. – Wzrusza ramionami. – To prowizorka. Nazwij mnie patobudowlańcem, jeśli chcesz – dodaje.

– Co się stało, że go zabiłeś? – pytam nagle. – Dlaczego po prostu nie wziąłeś kasy i nie pozwoliłeś mu odejść?

– Pyskował.

– I tyle? To wystarczy, żeby posłać człowieka do piachu?

– W tym wypadku tak. – Norbert na moment zdejmuje rękawice i łypie w stronę szklanki z wodą, którą przyniosłam z kuchni. – Pić – mówi.

Idę więc po szklankę, czując na plecach jego wzrok, a on wychodzi z dołu i rękoma ubrudzonymi ziemią sięga po wodę. Mam wrażenie, że on kłamie, coś mi nie pasuje w tonie jego głosu, ale nie potrafię powiedzieć co…

– A jeśli cię znajdą? – pytam cicho, kiedy pije. – Jeśli policja odkryje, że to byłeś ty?

– Nie znajdą mnie – mówi pewnym, chełpliwym głosem. – Wszystko sobie przemyślałem, dokładnie to zaplanowałem.

– Mają różne metody. Potrafią nawet…

– Zamknij się! – wchodzi mi w słowo i ciska w trawę pustą szklankę. – Życie nauczyło mnie, że nie ma sensu zadręczać się przyszłością. Jak mnie złapią, to mnie złapią. Teraz jestem tu, świeci słońce, a ja zajmuję się ogrodem. – Puszcza mi oczko. – Prace ogrodnicze świetnie relaksują, wiesz?

– Kopiesz grób mężczyźnie, którego kochałam – mówię, czując, że zbiera mi się na płacz, a on wykrzywia usta w szyderczym grymasie.

– Kochałaś go? A może po prostu poleciałaś na jego kasę? Zawsze wczepiałaś się w kolesi, którzy mieli co nieco w portfelu.

– Chciałam przetrwać, jak każdy. Nawet nie wiesz, co przeżyłam!

– Czyli co, jednak go nie kochałaś? – kpi.

Nie odpowiadam. Milknę i siadam na ławce, a on odwala kolejne warstwy ziemi, pracując z coraz większym zapałem, jakby wizja szybkiego załatwienia sprawy dodawała mu sił. W końcu ciska łopatę w trawę, wychodzi z dołu, przez chwilę mu się przygląda i drapie się po ogolonej na zero głowie, jakby myślał, co dalej. Za paskiem jego beżowych letnich spodni wciąż tkwi pistolet, ale tym razem opieram się pokusie wyobrażania sobie tego, co zrobiłabym z bronią, gdybym jakimś cudem mu ją wyszarpała, odbezpieczyła i zdążyła w niego wycelować. „Kobiecym orężem jest spryt, nie mogę działać bez rozmysłu, muszę czekać na odpowiednią chwilę” – mówię sobie, a on rzuca krótkie: „idziemy”.

Gdy dociera do mnie, że zmierza w kierunku stodoły, nieruchomieję, jakby nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

– Co? Mam ci wysłać pisemne zaproszenie?

– Zrób to sam – proszę. – Nie chcę brać w tym udziału, nie potrafię…

– Potrafisz – zapewnia mnie i czeka, aż ruszę przodem, kilka kroków przed nim, żeby móc mieć mnie na oku.

Kiedy wchodzimy do środka, w nozdrza uderza mnie woń rozkładu. Jest ohydna, lekko słodkawa i trącąca zgnilizną jednocześnie, sprawia, że mój żołądek momentalnie się wywraca. „Nie dam rady” – myślę. Wtedy jednak mój wzrok pada na to, co zostało z Adama, i decyduję, że jestem mu winna pożegnanie. „Zrobię to – obiecuję sobie. – Nie rzucę go na pastwę nienawistnych dłoni jego mordercy, ale sama go pochowam”.

– Kurwa, jak cuchnie! – Norbert kaszle i spluwa na klepisko, tuż obok nogi Adama.

Później łapie go pod ręce i ciągnie zastygłe w dziwnej pozycji zwłoki w stronę wyjścia. W drzwiach stodoły woła mnie do siebie.

– Złap go jakoś, pomóż mi. Ciężki jest – sapie. – Weź go pod drugą rękę czy coś.

Adam, a raczej to, czym obecnie się stał, faktycznie cuchnie. Woń rozkładu jest w tym momencie tak silna, że dosłownie zwala mnie z nóg. A jednak ujmuję jego ramię i ciągniemy go przez podwórze, co chwilę przystając i łapiąc oddech. Adam zawsze był szczupły. Lubił dbać o formę, sporo ćwiczył i niewiele jadł. A jednak teraz mam wrażenie, że waży tonę…

Jesteśmy kilkanaście metrów od czekającego na niego dołu, jeszcze nie za domem, dobrze widoczni z drogi, i nagle wyobrażam sobie zszokowaną minę kogoś, kto akurat przejeżdżałby tamtędy traktorem bądź rowerem. Te pola dookoła muszą przecież do kogoś należeć. Ktoś musi się tu czasem pojawiać, nawet na tym odludziu. Jest druga połowa lipca, lada moment zaczną się zbiory rzepaku. „Co, jeśli ktoś tu przyjedzie i zobaczy, co robimy?" – myślę, a tymczasem Norbert warczy na mnie, żebym się nie opierdalała, i w końcu udaje się nam dotaszczyć zwłoki do dołu i wrzucić je do niego.

– Jeśli chcesz się pomodlić, to chyba odpowiedni moment? – Mruga do mnie, a ja znowu przypominam sobie szczupłego chłopca w komży, którym kiedyś był, i nie mogę się nadziwić, jak bardzo poharatało go życie, odbierając mu dobre serce i całą jego niewinność. – Nic? Nawet *Wiecznego odpoczywania* kochasiowi żałujesz? – rzuca rozbawionym tonem, po czym zdejmuje koszulkę, mimowolnie demonstrując wyblakłe zasinienia w dole pleców i na boku, wzdłuż żeber, ciska ją do dołu i sam tam wskakuje.

– Co robisz? – pytam, zaskoczona.

– Zasłaniam mu gębę. Nie będzie mi się gapił w okna. – Rechocze, owijając swoją przepoconą koszulkę wokół głowy ofiary.

Później wygrzebuje się z dołu, podchodzi do mnie i jednym ruchem zrywa mi z szyi złoty łańcuszek z zawieszką w kształcie serca.

– Nie ma opcji, żebyś pod moim dachem paradowała w błyskotkach od innego kolesia – mruczy, ciskając naszyjnik do grobu.

– Nie! – krzyczę, w pierwszym odruchu chcąc po niego skoczyć, ale palce Norberta zaciskają się na moim ramieniu, unieruchamiając mnie.

– Kupię ci ładniejszy – obiecuje chełpliwym tonem. – Kupię ci wszystko, czego zapragniesz – przysięga mi nad grobem mojego kochanka, a ja opadam na kolana i cichutko szlocham, nie umiejąc wyobrazić sobie nawet dnia dłużej w towarzystwie tego czuba.

Tymczasem Norbert łapie za łopatę, obojętny na moje łzy i pierwsza porcja ziemi rozbija się o leżące na boku, powyginane i zesztywniałe martwe ciało.

– Adam, przepraszam – szepczę, kiedy kolejne grudy ziemi wpadają do dołu.

Norbert pogwizduje i w tym momencie nienawidzę go tak, że mogłabym go zabić gołymi rękoma. Glock wciąż tkwi za jego paskiem, kusi. Decyzję podejmuję w mgnieniu oka, po prostu zrywam się z klęczek, wyszarpuję mu zza paska pistolet i celuję w jego głowę.

– Daj mi kluczyki od audi! – rozkazuję.

Odwraca się wolno, na twarzy ma szeroki uśmiech.

– A jednak, księżniczka pokazuje pazurki. – Śmieje się. – Jest nienaładowany – dodaje, zanim wyciąga mi broń z dłoni i wkłada w nią łopatę. – Masz, popracuj trochę, bo kiedy się nudzisz, masz debilne pomysły.

– Nienawidzę cię! – krzyczę, a on obojętnie wzrusza ramionami.

– Dziś mnie nienawidzisz, jutro pokochasz… Kobieta zmienną jest, co nie?

– Kiedyś wykopię taki grób dla ciebie, sukinsynu! – grożę mu.

– Być może – mówi. – Ale najpierw mnie pokochasz.

– Marzyciel! – syczę.

Niewiele widzę przez łzy, a myśl o stojącym za moimi plecami Norbercie doprowadza mnie do szału, ale pracuję bez słowa.

– Zakopywanie byłych facetów idzie ci lepiej niż kopanie grobów – kpi mój były, wciąż stojąc za mną. – Daj mi to. – Wyjmuje mi z ręki łopatę i kończy pracę.

Kiedy wyrównuje ziemię na świeżej mogile, myślę o złotym serduszku na zwłokach i zaczynam wyć z rozpaczy. Norbert każe mi się zamknąć, jego głos jest ostry, pozbawiony cienia empatii. Ale nie jestem aż tak naiwna, żeby oczekiwać jej od mordercy.

Później każe mi iść ze sobą do domu, wyjmuje z komody kluczyki od audi i, pogwizdując, wychodzi na podwórze.

– Wsiadaj! – mówi, otwierając mi drzwi od strony pasażera.

Sam wsiada za kierownicę, uruchamia silnik i wolno przejeżdża przez ogród, parkując dokładnie nad świeżym grobem. Kilka minut później samochód jest schowany pod przyniesioną przez niego plandeką w zgniłozielonym kolorze i już nikt gołym okiem nie zobaczy, że trawnik pod nim jest świeżo rozkopany.

– Sprytnie, co, myszko? – Norbert przez dłuższą chwilę wpatruje się w swoje dzieło, później ciągnie mnie za rękę w stronę domu. – Posiedzisz przez chwilę w piwnicy, księżniczko. Muszę się umyć i odpocząć. – Gdybyś była grzeczniejsza, zamknąłbym cię w twoich komnatach, ale trochę sobie nagrabiłaś.

Nie odpowiadam. Idę za nim do wejścia, w milczeniu przemierzam korytarz, schodzę po nierównych betonowych stopniach i bez słowa siadam w fotelu. Chwilę później on zamyka drzwi i zostaję sama. „Ucieknę stąd – obiecuję sobie. – Kiedyś stąd ucieknę, a teraz muszę po prostu nie zwariować".

21.
ZUZANNA

– Wypuść mnie – proszę Norberta kilka dni po tym, jak zakopaliśmy Adama. – Zgarnąłeś trzydzieści tysięcy, zostawię ci audi. Pomagałam ci go pogrzebać, być może w świetle prawa jestem tak samo winna jak ty… Nikomu nie powiem, co się tu wydarzyło. Złapię stopa i zniknę na zawsze – mówię, błagalnym wzrokiem patrząc mu w oczy, a on lekko się uśmiecha.

– Myszko, ty wciąż niczego nie ogarniasz… Nie mogę cię wypuścić, za bardzo cię kocham. To wszystko, co zrobiłem, ten dom, nasza przyszłość, zabicie twojego faceta, to wszystko po to, żebyśmy mogli być razem. Chcę się tu z tobą zestarzeć, nie rozumiesz? Kochać się z tobą, oglądać zachody słońca wśród pól, mieć z tobą dzieci.

Na wzmiankę o dzieciach czuję mdłości. Kurwa, ten świr naprawdę myśli, że urodzę mu parkę?! Zaraz się pocieszam, że nic z tego, bo przecież od dawna wiem, że w kwestii płodności coś jest ze mną nie tak. Sypiam z facetami, odkąd skończyłam czternaście lat, i jakoś nigdy nie zaszłam, chociaż nie zawsze się zabezpieczałam. Wcześnie zaczęłam, wiem, ale dziewczyny wywodzące się z mojego środowiska zazwyczaj nie czekają z tym zbyt długo. Wolałam iść na całość z pierwszym wybranym przez siebie chłopakiem niż ryzykować zostanie zgwałconą przez któregoś z pijanych kumpli od kieliszka matki, latami przewijających się przez mój rodzinny dom. Zresztą seks towarzyszył mi od dziecka, wydawał się czymś najnaturalniejszym pod słońcem. Już jako dziewięciolatka nakryłam pijaną matkę parzącą się z sąsiadem na tyłach naszego ogrodu. Zjawiłam się wtedy w kuchni, gdzie przez otwarte na oścież okno zobaczyłam opartą o cembrowinę studni matkę, którą posuwał pan Tomasz zza płotu. Do dziś pamiętam widok jego bladych szczupłych pośladków, opuszczonych do kostek spodni i gwałtowne, napierające ruchy jego bioder. Matka głośno jęczała i w pierwszej chwili pomyślałam, że dzieje jej się coś złego, ale przypomniałam sobie słowa chłopaków z mojej klasy o siusiakach, które mężczyźni wciskają kobietom w ich dziurki, i w żaden sposób nie zareagowałam. Nalałam sobie tylko wody i najspokojniej w świecie wróciłam do siebie, odrabiać lekcje. Kilka lat później zrozumiałam, że jedyny oręż, którym matka natura obdarowała mnie dla radzenia sobie z mężczyznami, to coś, co mam między nogami. Seksem można manipulować, trzeba tylko wiedzieć jak. Dla seksu większość mężczyzn zrobi wszystko, co my, kobiety, od wieków świetnie wykorzystujemy. Seks jest potężną bronią, ale tylko wtedy, kiedy wie się, jak jej używać.

– Słyszysz, co mówię? – Głos Norberta wyrywa mnie z zamyślenia. – Będziemy mieli dzieci – mówi i delikatnie gładzi mnie po policzku.

– Może tak. – Wysilam się na uśmiech, świetnie wiedząc, że on potrzebuje wiary w moją lojalność, a ja tylko udając uległą, zapewnię sobie przetrwanie.

– Przywiozłem coś ciekawego – mówi nagle i wstaje zza stołu.

Wiem, że rano wyjeżdżał do pobliskiego miasteczka. Jeździ tam, żeby zrobić zakupy, ale też żeby się rozejrzeć i posłuchać, o czym gadają ludzie.

– Nawet ładne zdjęcie – mówi, wyjmując z siatki zdarty z jakiegoś słupa czy drzewa kolorowy plakat informujący o naszym zaginięciu.

Zdjęcie Adama jest tuż obok mojego, pozuje uśmiechnięty, w swojej ulubionej czerwonej koszulce, ze świeżo przyciętymi włosami. Pamiętam, kiedy Alicja je zrobiła – byliśmy wtedy na działce, a ona przyniosła wino i zrobiła nam kilka fotek swoim telefonem, jeszcze w czasach, kiedy relacje między nami dwiema nie były aż tak napięte. Moja fotografia również jest kolorowa i też zrobiona na działce. Mam na sobie niebieską sukienkę w beżowe grochy i znoszone tenisówki.

– Ludzie gadają, że doktorek się zabił, bo go zostawiłaś. Policja chce z tobą rozmawiać, szukają cię – oznajmia Norbert po chwili ciszy.

– Myślałam, że jestem zaginiona? – dziwię się.

– Nie wykluczają też i tej opcji. – Norbert stuka palcem w moją wydrukowaną podobiznę i dodaje, że część osób uważa, że Adam mnie zabił, ukrył gdzieś ciało, a sam popełnił samobójstwo.

– Z mieszkania zniknęły moje rzeczy – mówię, a Norbert wzrusza ramionami.

– Gadają, że najpierw chciał upozorować twoje odejście, żeby bezkarnie cię stuknąć, ale później nie wytrzymał presji i sam się zabił…

– Wiesz coś jeszcze? – pytam, bo nagle robię się ciekawa.

– Mam gazetę – mówi i wręcza mi wyjęty z siatki egzemplarz lokalnego tygodnika, który informuje mieszkańców o wszystkim, od otwarcia nowej siłowni po zgony, zaginięcia, dożynki, odpusty i wszelkie lokalne zawirowania. – Jesteś na pierwszej stronie – dodaje.

Wpatruję się w swoje zdjęcie umieszczone tuż pod tytułem gazety i nad podobizną Adama. Niżej jest fotka naszego gabinetu i tekst o tym, że nadal nie wiadomo, co tak naprawdę się nam przytrafiło.

Nadal nieznane są losy prowadzącej gabinet stomatologiczny pary, która zaginęła w zeszłym tygodniu. Adam F. tuż przed swoim zniknięciem rzekomo pokłócił się z partnerką, później oboje przepadli. Policja prosi o pomoc wszystkich, którzy wiedzą cokolwiek o losach zaginionych mieszkańców naszego miasteczka. Adam F., miejscowy dentysta, poruszał się kilkuletnim szarym audi; ale według świadków jego dziewczyna, asystentka stomatologiczna Zuzanna M., mogła zaginąć kilkanaście godzin po nim – przebiegam wzrokiem po tekście i przewracam stronę, na której znajduję duże kolorowe zdjęcie Kamili.

Pamiętam tę fotkę, bo sama ją jej zrobiłam. Ma na sobie służbowy uniform i pozuje w jednym z pokojów zabiegowych, z fotelem dentystycznym w tle.

Często się kłócili, on bywał agresywny! – krzyczy nagłówek.

Pod nim znajduje się wywiad z Kamilą, którą lokalny gryzipiórek nazwał pracownicą gabinetu i jednocześnie moją najlepszą przyjaciółką.

Zuza szukała stabilizacji, również finansowej, a faceci to wykorzystywali, przekraczając kolejne granice. Świetnie wiedzieli, że nie ma wiele oszczędności, a w razie rozstania nie ma za bardzo dokąd pójść. Adam bywał nerwowy. Potrafił ją szarpnąć, pchnąć na ścianę, zwymyślać. Ale jako lekarz zapewniał jej poczucie bezpieczeństwa, dach nad głową, pracę i przyszłość. Mówił, że ją kocha, ja nie byłam tego taka pewna. Bawił się nią, wykorzystywał. Zuza jest piękna, chociaż chyba nie do końca zdaje sobie sprawę z tego, jakie wrażenie robi na facetach. On ją złapał jak pająk w sieć, żywił się jej naiwnością, korzystał z jej młodości i urody, pasł się na niej – czytam i czuję, że zaczyna mi pulsować żyłka na skroni.

– Ta fałszywa zdzira gwiazdorzy moim kosztem! I o czym ona w ogóle pierdoli?! – Ciskam gazetę na podłogę, a Norbert podnosi ją, starannie składa i chowa do szuflady kuchennego kredensu. – To już nie jest lokalna sprawa. Idę o zakład, że trąbią o tym w ogólnopolskich serwisach. Masz laptop? Jest tu w ogóle Internet? – pytam, a Norbert przecząco potrząsa głową.

– Nie ma i nie będzie. Nie potrzebuję do szczęścia takich rzeczy, cały mój świat jest tu.

Sięga po kubek z kawą, a do mnie nagle dociera, że on naprawdę uwierzył w tę swoją naiwną sielską bajeczkę o ukrywaniu się tu do końca naszych dni, z dala od ludzkich oczu, wśród pól, lasów i jezior. I będzie chciał mnie tu trzymać, przynajmniej dopóki wszelkie tropy nie zaczną prowadzić do tego domu. A zaczną, tego jestem pewna. Ktoś coś skojarzy, ktoś sobie przypomni, że kiedyś byliśmy razem, a on niedawno wrócił z kilkuletniego pobytu w Niemczech, ktoś inny powie policji, że kupił ten dom, i w końcu zapukają do drzwi. Co zrobi wtedy? Zabije mnie. Wiem to, niemal czuję w tym momencie jego zaciskające się na mojej szyi palce. Zabije mnie, bo jest jednym z tych frustratów, którzy wolą odebrać kobiecie życie niż pozwolić jej egzystować gdzieś z dala od siebie, a nie daj Boże u boku innego. Więc poderżnie mi gardło, tak jak poderżnął je Adamowi, albo zadusi mnie gołymi rękoma, zatłucze na śmierć, utopi w wannie z rdzawymi zaciekami czy zaciuka nożem.

„Miliony kobiet na świecie doznają przemocy ze strony mężczyzn, swoich ojców, dziadków, braci i partnerów. To się dzieje ciągle, czemu więc ja miałabym być tą, która bez szwanku wyślizgnie się z rąk szaleńca?" – myślę, a on dopija kawę i przysuwa swoje krzesło bliżej mnie.

– Uśmiechnij się, księżniczko – prosi, a ja połykam łzy i posyłam mu blady uśmiech. – Tak lepiej – mówi i całuje mnie w nos, ale nie robi nic więcej, zachowuje dystans.

Od czasu incydentu pod prysznicem, kiedy włożył we mnie palce, więcej mnie nie dotknął, przynajmniej nie w tak intymny sposób. Czeka, aż będę gotowa i sama go zapragnę, ale przecież wiem, że prędko się nie doczeka. Jednak on lubi się łudzić, jego wiara we wspólny happy end graniczy z naiwnością imbecyla…

– Chodźmy na spacer – proponuje nagle, a ja wybucham histerycznym śmiechem.

– Szuka mnie cała okolica! Jedni myślą, że nie żyję, bo zabił mnie mój własny facet, w tych stronach nazywany konkubentem, inni podejrzewają pewnie, że to ja zabiłam jego i nawiałam z jakimś nowym kochasiem, zabierając Adamowi samochód. Wiadomo, dziwka z patologii, czego innego się można po niej spodziewać… A jeszcze inni ułożyli sobie w głowach dziesiątki mocno pochrzanionych scenariuszy, włącznie z tym, że porwało nas UFO! Więc nie mów mi, że pójdziemy sobie na spacer, bo jestem niewolnicą tego pierdolonego domu, miasta, a może nawet całej Polski! – wybucham, a on bierze mnie w ramiona i gładzi po plecach.

– Tylko kawałek, do lasku przy drodze – kusi. – Założysz czapkę z daszkiem i ciemne okulary, zepniesz włosy i…

– Zetnę je – wchodzę mu w słowo.

– Co? Nie! – Norbert, podobnie jak kiedyś Adam i większość moich byłych facetów, uwielbia moje długie czarne włosy, a ja sama zapuszczałam je przez kilka ostatnich lat, ale obecnie moje bezpieczeństwo jest dla mnie ważniejsze niż próżność.

– Daj mi jakieś nożyczki! – mówię.

– Nie obcinaj ich. – Norbert jeszcze protestuje, ale ja nie zamierzam zmienić zdania.

– Odrosną – pocieszam go.

Nożyczki znajduję w pokoju, który niegdyś musiał być sypialnią poprzedniej właścicielki. Ostatnio przeszukałam dom i znalazłam jej stare albumy ze zdjęciami, listy od dawnych przyjaciółek, pocztówki z wakacji i trochę innych drobiazgów. Kiedyś była lubiana, ludzie do niej lgnęli. Dopiero samotna starość sprawiła, że zdziwaczała – zaniedbana przez jedynego syna, schorowana, zamknięta w domu na odludziu, bez samochodu i możliwości nawiązywania nowych znajomości. Zakupy robił jej ktoś, komu pisała odręczne listy sprawunków, jedną z nich znalazłam na dnie lnianej torby, w szafce pod zlewozmywakiem. Miała na imię Mariola. Ładne imię i ładna kobieta. W młodości lubiła kwieciste sukienki, gęste jasne włosy spinała w kok. Pracowała na poczcie, później wyszła za mąż i została z synem w domu. „Jedna z milionów cichych męczennic, które zrezygnowały z własnych aspiracji, żeby wychować i wypuścić w świat nowe życie, a później, opuszczona przez wszystkich, po prostu umrzeć" – myślę, biorąc nożyczki. Nie są duże i chyba nieco tępe, ale dobre i to.

W łazience obcinam długie, gęste pukle, a ciemne węże włosów wiją się u moich stóp, ich aksamitna czerń kontrastuje z bielą łazienkowych kafelków. Norbert stoi tuż obok, a po chwili schyla się i bierze w palce jeden z błyszczących kosmyków.

– Zatrzymam je na pamiątkę – mówi, ale wyrywam mu pęk włosów i ciskam je do kosza.

– Nie wygłupiaj się – warczę, obcinając ostatnie pasmo.

Z lustra patrzy na mnie niemal zupełnie obca blada kobieca twarz z włosami przyciętymi na krótkiego pazia i czołem przesłoniętym gęstą grzywką.

– Też ładnie – mówi w końcu Norbert, chociaż jego głos brzmi jakoś mało entuzjastycznie.

Nie przejmuję się jednak jego opinią. Wyrzucam włosy do kosza, wyjmuję z niego plastikowy worek na śmieci i zanoszę go do kuchni, gdzie wciskam go do kubła na odpadki i przykrywam pustym opakowaniem po chipsach.

Później przypominam sobie o okularach. Kiedyś musiały należeć do pani Marioli, znalazłam je w jej sypialni. Są całkiem ładne, w bordowych oprawkach, wyglądają jak nowe. Szkła są nieco dla mnie za mocne, ale nie na tyle, żebym miała się potykać o własne nogi. Idę więc do pokoju, wyjmuję je z komody, zakładam i uśmiecham się do lustra. Wyglądam raczej przeciętnie, ale za to w niczym nie przypominam dawnej siebie. Każdy, kto znał mnie w ostatnich latach, wie, że zawsze lubiłam się malować. Moim znakiem rozpoznawczym były kreski na powiekach, kępki sztucznych rzęs w kącikach oczu i mocne szminki. Pudru w kremie też nigdy sobie nie żałowałam, a bez makijażu nie wychodziłam z domu nawet po to, żeby wyrzucić śmieci. Teraz jednak moja twarz jest całkowicie pozbawiona upiększeń, rzęsy wydają się znacznie krótsze i jaśniejsze, niepodkreślone kredką brwi są zdecydowanie cieńsze, a usta blade i wyraźnie węższe niż kiedyś, regularnie podkreślane szminką. Patrzę na siebie przez dłuższą chwilę, usiłując oswoić tę obcą, niewinną i sprawiającą wrażenie młodszej twarz, a dziewczyna z lustra leciutko się do mnie uśmiecha.

– Teraz możemy iść na spacer – mówię do stojącego w progu Norberta, bo przeżycia ostatnich dni i poczucie uwięzienia w niewielkim zagraconym cudzymi rzeczami domu sprawiły, że wizja wyjścia za furtkę jest wyjątkowo kusząca.

– Dziwnie wyglądasz – rzuca on, ale ignoruję jego słowa i kiedy tylko otwiera frontowe drzwi, dosłownie wyfruwam na zewnątrz.

Idąc w stronę furtki, staram się na chwilę zapomnieć o wszystkim, co zostawiam za sobą. O martwym Adamie z głową owiniętą przepoconą koszulką mordercy, leżącym w zapomnianej mogile za domem, o moim własnym strachu, niepewności jutra, tym, co mam na sumieniu, i fakcie, że idący tuż za mną Norbert jest moim oprawcą i jednocześnie jedyną ludzką istotą, którą mam w zasięgu wzroku.

– Czekaj – mówi Norbert i otwiera furtkę kluczem.

Potem samotnie wychodzi na drogę i uważnie się rozgląda. Dwa dni temu na okolicznym polu pojawił się zbożowy kombajn z zamontowanym stołem i bocznymi kosami do zbioru rzepaku, ale dziś droga i pola są puste.

– Chodź. – Wyciąga do mnie rękę i szybkim krokiem wchodzimy w rosnący przed domem sosnowy lasek.

Wdycham pachnące rozgrzaną ściółką powietrze i przypominam sobie moment, w którym błądziliśmy z Adamem pomiędzy drzewami, szukając „trupa". Szybko jednak otrząsam się z ponurych wspomnień i cieszę oczy otaczającą mnie naturą.

– Pięknie tu – zachwycam się, a Norbert przystaje i odwraca się twarzą do mnie.

– Pragnę cię – mówi i wyciąga rękę, żeby dotknąć mojego policzka.

Później jego kciuk odchyla moją dolną wargę, a on sam staje jeszcze bliżej mnie i zaczyna skamleć o seks.

– Zróbmy to – prosi, a jego dłonie wsuwają się pod moją sukienkę i pieszczą wnętrze moich ud. – Oprzyj się o drzewo – szepcze.

Oczy ma zamglone, głos lekko zachrypnięty od podniecenia, jego jasne szorty wybrzusza widoczna erekcja.

– Kocham cię, Zuza. Kocham cię jak nikogo na świecie. – Jego dłoń wślizguje się pod koronkę moich białych majtek, ale brutalnie ją odtrącam.

– Miałeś zaczekać, aż będę gotowa! Obiecałeś mi to – syczę.

Wtedy on zaczyna płakać, łzy ciurkiem płyną mu po twarzy, wygląda na kogoś w kompletnej rozsypce.

– Zabiłem dla ciebie – szlocha, mażąc się jak dzieciak. – Zabiłem i zabiłbym jeszcze raz, bez wahania – dodaje, a moje serce wypełnia czysta, nieskażona żadnym innym uczuciem nienawiść.

– Nie prosiłam cię o to – mówię.

Wtedy on upada na kolana i wtula policzek w moje biodro.

– Proszę, Zuza – skamle. – Kochaj się ze mną.

Nie odpowiadam. Zacięcie milczę, odnajdując olbrzymią przyjemność w chwili jego słabości. Wiem jednak, że muszę grać, bo od przedstawienia, które serwuję mu codziennie, zależy moje życie. Gładzę go więc po głowie, pieszcząc palcami gładko ogoloną czaszkę, i szepczę, że już niedługo.

Ciągle szlochając, całuje moje dłonie, po czym wsuwa głowę pod moją krótką letnią sukienkę i całuje dół mojego brzucha, tuż na granicy wrzynającej się w moje ciało gumki od majtek, nie odważa się jednak na nic więcej, jakby pogodził się z moją odmową.

– Wstań! – mówię ostro, tonem, którym mogłabym tresować nieposłusznego młodego psa, a on bez słowa sprzeciwu podnosi się z kolan, otrzepuje je ze ściółki i odchodzi kilka kroków w głąb lasu.

Widząc, jak się oddala, mam ochotę rzucić się do biegu i uciekać, pędzić przed siebie, dopóki nie zdołam zniknąć mu z oczu, ale wiem, że to fatalny pomysł. Po pierwsze każda moja próba ucieczki burzy układany przeze mnie cegła po cegle mur zaufania, który chcę pomiędzy nami zbudować, a po drugie nie jestem wyłącznie więźniem domu na odludziu i szaleńczych wizji Norberta. Moją twarz najprawdopodobniej zna obecnie każdy mieszkaniec tej okolicy, a może nawet cała Polska… Co gorsza wiem, że jeśli dorwie mnie policja, nie wyjdę z tego kryształowa. Własnymi rękoma pomagałam zakopywać Adama, a wcześniej brałam udział w wypadku, który on spowodował, prowadząc po alkoholu, i pomogłam zaciągnąć w las zalaną krwią ofiarę potrącenia. Jakie zarzuty by mi postawiono? Czy za okoliczność łagodzącą można by uznać fakty, że zarówno w jedno, jak i w drugie szambo władowali mnie Adam z Norbertem? Nie znam się na prawie i nie mam pojęcia, czuję jednak, że wizja więziennych krat wcale nie jest aż tak odległa… Dlatego śladem Norberta ruszam w głąb lasu, udając przed nim i przed samą sobą, że po prostu wyszliśmy na spacer…

22.
ZUZANNA

W nocy nad okolicą przechodzi gwałtowna nawałnica, pioruny uderzają gdzieś nieopodal, siekąc ciemne niebo srebrnymi zygzakami, ulewa zdaje się wzmagać z minuty na minutę, przypomina biblijny potop. Wyrwana ze snu, przez krótki, ale nieprzyjemnie bliski trzask pioruna siadam na łóżku i w panice zerkam na zalane deszczem okno, a stroboskopowy błysk kolejnej błyskawicy sprawia, że mrużę oczy i zaciskam palce na oblekającej kołdrę kwiecistej poszwie, spadku po poprzedniej właścicielce. Deszcz szumi, jego strugi spływają po szybach na parapet i dalej, skapując na nasycony deszczówką trawnik. Nagle myślę o Adamie. Wyjątkowo upiorny jest fakt, że okno sypialni, w której jestem przetrzymywana, wychodzi prosto na zaparkowane za domem audi i ukrytą pod nim sekretną mogiłę.

Kolejny trzask pioruna sprawia, że zaciskam powieki i jak dziecko kulę się ze strachu. Kiedy byłam mała, biegłam w takich chwilach do matki, ale wraz z odejściem ojca skończyły się nocne przytulanki – matka zrobiła się zimna, nieczuła na moje dziecięce strachy i zdystansowana…

Nagle o szybę skrobie jedna z gałęzi rosnącego przy domu drzewa, a ja podskakuję, sparaliżowana myślą, że to zesztywniałe palce martwego Adama stukają w okno… Później wydaje mi się, że słyszę czyjeś kroki, mam wrażenie, że stary parkiet przy moim łóżku złowieszczo skrzypi, jakby przechadzała się po nim jakaś niewidzialna istota.

Łup! W porywach silnego wiatru kolejna gałąź uderza w okno. Odkąd tu sypiam, nigdy wcześniej nic takiego się nie działo, może dlatego, że to pierwsza tak wietrzna noc, którą spędzam w tym domu. Nagle przypominam sobie opowieść pochodzącego z Podhala nieżyjącego już starszego sąsiada, od którego matka kupowała czasem jajka. Kiedy byłam smarkulą, lubił mnie straszyć, zwłaszcza wiedząc, że boję się burzy. Opowiadał mi czasem o wietrznicy, złym duchu pojawiającym się, kiedy wieje halny. Według góralskiego folkloru wietrznica potrafiła łamać ludziom kości i robić z nich niemowy, a walczyć z nią można było, ciskając w nią poświęconym nożem. Pojawiała się, kiedy mocno wiało, jak teraz. I chociaż stąd daleko jest na Podhale, nagle czuję paniczny strach i zaczynam cicho płakać.

Zasypiam kilka minut później, ukołysana do snu pomrukami oddalającej się burzy i kojącym szumem ulewy, ale już po chwili z płytkiego snu wyrywa mnie wrażenie, że ktoś ściąga z moich nóg kołdrę.

– Adam? – szepczę, w panice siadając na łóżku.

W domu, w naszym wspólnym mieszkaniu, po takim przebudzeniu zapaliłabym nocną lampkę albo wtuliłabym się w plecy Adama, ale w tym pokoju jestem sama. Podciągam więc nogi pod brodę, kurcząc palce jak bojące się zimnej wody dziecko, i w panice zerkam w stronę okna, lękam się, że z deszczu i ciemności wyłoni się zza szyby i ciężkich metalowych krat czyjaś upiorna, wykrzywiona demonicznym grymasem pośmiertna maska.

Łup! Kolejna targana porywistym wiatrem gałąź drapie o szybę, wślizgując się między metalowe kraty i przyprawiając mnie o szybsze bicie serca. Chwilę później wstaję, podchodzę do okna i lękliwie spoglądam na podwórze, jakbym chciała się upewnić, że Adam nie zamienił się właśnie w upiornego Golema z żydowskich podań ludowych, który własnymi rękoma rozkopał rozmokłą od deszczu ziemię, z nieludzką siłą odepchnął parkujące nad grobem audi i stoi w strugach deszczu, patrząc w moje okno.

– Adam, jesteś tu? – szepczę.

Odpowiada mi cisza, ale wciąż jestem przestraszona, wyraźnie wyczuwam czyjąś obecność. I chociaż wiem, że to najprawdopodobniej zwykła panika z mojej strony, dziecięce strachy i szalejąca wśród burzy wyobraźnia, histeria narasta, a ja mam wrażenie, że pokój zaczyna wirować, zacieśniając swoje ściany wokół mnie, aż w końcu zgniata mnie żywcem, robiąc miazgę z moich ścięgien, mięśni, skóry i kości.

Kiedy znowu błyska, a srebrna poświata zalewa podwórze, odskakuję od okna z myślą, że spod samochodu wyłonią się zakończone długimi zakrzywionymi szponami trupie palce, które wydłużą się aż do granic możliwości, rozciągną metal krat, stłuką szybę i zacisną się na moim gardle, dusząc mnie do chwili, w której wydam ostatnie tchnienie…

Do drzwi idę boso, później macam ścianę, szukając kontaktu, ale chociaż kilkukrotnie nim pstrykam, żarówka się nie zapala, burza musiała pozbawić nas prądu. Naciskam więc klamkę, chociaż świetnie wiem, że drzwi są zamknięte. Norbert nie zasnąłby z myślą, że w każdej chwili mogę się wymknąć. W ciągu dnia okazuje mi już co prawda więcej zaufania niż na początku, ale w nocy wciąż jestem niewolnicą tego pokoju. Szarpię za klamkę raz jeszcze, jakbym wierzyła, że zdołam ją wyrwać lub wyszarpać całe drzwi z framugi, ale one ani drgną…

– Otwieraj! – wrzeszczę, kopiąc i bijąc w nie pięściami. – Otwieraj te jebane drzwi!

Krzyczę przez dłuższą chwilę, zdzieram sobie gardło, klasyczny atak paniki bądź, jak kto woli, kobieca histeria. Norbert zjawia się w sypialni, kiedy daję w końcu spokój kolejnym próbom forsowania drzwi i, siedząc na łóżku, spazmatycznie łapię powietrze.

– Krzyczałaś – mówi, wchodząc do ciemnego pokoju.

W dłoni ma spodek z przezroczystego szkła, stojąca na nim zapalona gruba świeca miga w ciemnościach, rzucając na ściany długie złowrogie cienie.

– Nie ma prądu. Wystraszyłaś się? – Odstawia świecę na komodę, siada na łóżku i obejmuje mnie.

– Nie dotykaj mnie – syczę, jednak on nie zabiera ręki i w końcu, czując jakąś obezwładniającą pierwotną potrzebę kontaktu z drugą ludzką istotą, kładę mu głowę na ramieniu i przez dłuższą chwilę pozwalam się tulić.

Wybucham dopiero, kiedy on szepcze, że wszystko będzie dobrze.

– Ochujałeś?! – krzyczę. – Nic nie będzie dobrze! Zamknąłeś mnie w pokoju z widokiem na grób Adama i chcesz mi robić dzieci?! Dotarło już do ciebie, jak bardzo jesteś pojebany, czy mam ci to wytłumaczyć?! – wrzeszczę histerycznie, teraz już zupełnie nad sobą nie panując.

Norbert wciąż gładzi moje plecy, usiłuje mnie uspokoić, szepcze mi na ucho czułe słówka. Wtedy zrywam się z łóżka.

– Wynoś się stąd, wypierdalaj! Zamieniłeś moje życie w piekło, zabrałeś mi wszystko, co miałam! – krzyczę, ciskając w niego świeczką, która w locie na moment jaśniej rozbłyska i gwałtownie gaśnie w zderzeniu z podłogą.

– Jesteś dla mnie niedobra – mówi. Jego głos jest cichy, przepełniony bólem. – Nie doceniasz tego, co dla ciebie robię – żali się. – Mógłbym wypruć sobie żyły, a ty i tak będziesz niezadowolona.

– Więc znajdź sobie inną! – krzyczę, a on bierze zamach i uderza mnie w twarz.

Cios jest tak mocny, że przez chwilę nie mogę oddychać. Przez nos przebiegają mi dziesiątki „mrówek", w końcu eksploduje bólem.

– Niewdzięczna dziwka! – warczy Norbert i w złości wybiega z sypialni.

Chwilę później słyszę zgrzyt przekręcanego klucza i zapada cisza. Nos boli, ale nie krwawi, dobre i to. Wracam do łóżka i leżę zwinięta w kłębek, gapiąc się w zalane deszczem okno. Kiedy zaczyna świtać, zasypiam.

* * *

Budzi mnie słońce i zapach świeżo zaparzonej kawy. Na przysuniętym do łóżka krześle stoi duża drewniana taca z uchwytami, na niej kubek z gorącą kawą, rogalik na małym talerzyku i bukiet polnych kwiatów.

Norbert stoi w progu, przygląda się, jak strząsam z siebie resztki snu i siadam na łóżku.

– Przepraszam – mówi cicho. – Myszko, przepraszam.

Nie odpowiadam. Sięgam po kawę i upijam kilka łyków, później biorę z tacy bukiet i płatek po płatku, kwiatek po kwiatku, odzieram go z życia, a kolorowe strzępy nieszczęsnych roślin opadają na kołdrę i prześcieradło.

– Nie chciałem cię uderzyć, sprowokowałaś mnie – tłumaczy się, ale ja wciąż milczę.

Zdaję sobie sprawę, że role zaczynają się odwracać. On już nie jest wyłącznie moim katem, czasem bywa też ofiarą. Mnie? Swojej własnej żądzy? Opacznie rozumianej miłości? Czymkolwiek to jest, to bez znaczenia… Satysfakcję sprawia mi fakt, że płaszczy się przede mną, czekając na wybaczenie, a mój chłód wyraźnie go rani.

Nagle przypominam sobie jego matkę, wysoką ciemnooką kobietę, która wszystkich czterech synów traktowała z takim samym lodowatym dystansem. Niestety zimny chów nie wyszedł im na dobre… Leszek, najmłodszy, odsiaduje wyrok za zabójstwo, kolejny po nim, Konrad, zginął w tajemniczym wypadku na łodzi, a ciała nigdy nie odnaleziono, a Damian wyjechał do Holandii i zerwał kontakty z rodziną. „Norbert też jest samotny… Samotny, poharatany przez życie i niedopieszczony – zdaję sobie sprawę, strzepując z kołdry kolorowe strzępy kwiatów. – Co nie zmienia faktu, że jest przede wszystkim kompletnie pojebany".

– Jadę do miasteczka – odzywa się cicho, kiedy ja dopijam kawę. – Kupić ci coś?

– Tampony. Prędzej czy później będę ich potrzebować – mówię, a on blednie.

– Co? – jąka, a ja złośliwie się uśmiecham.

– Kobiety mają okres, wiesz? Nie uczyli cię tego w szkole? A może w życiu baby nie widziałeś? – kpię, chociaż świetnie wiem, że kto jak kto, ale on miał niejedną… – Są w rossmannie, tam gdzie podpaski. Ciemnoniebieskie pudełka, rozmiar regular – dodaję, litując się nad nim, a on wygląda na jeszcze bardziej przerażonego.

– One mają rozmiary? – pyta, a ja nie mogę się nie roześmiać.

Po chwili śmiejemy się oboje, absurdalna, zupełnie niedorzeczna sytuacja, zwłaszcza po pełnej majaków i zakończonej rękoczynami nocy…

– Wrócę niedługo – obiecuje.

– Najpierw chciałabym wziąć prysznic i na chwilę wyjść na podwórze – mówię, wiedząc, że on chce okazać skruchę po tym, jak znowu mnie uderzył, a ja jestem w wyjątkowo korzystnej pozycji do negocjacji.

Tak jak podejrzewam, Norbert bez wahania zgadza się na moje żądania.

„On jest słaby” – myślę. Pod maską wymachującego pięściami twardziela kryje się przestraszony, łatwy do zmanipulowania chłoptaś, który całe życie usiłował zadowolić zimną, krytyczną matkę, ale rzadko słyszał od niej dobre słowo. „Jest słaby” – powtarzam sobie w duchu i na ustach wykwita mi cień uśmiechu.

* * *

Godzinę później ponownie jestem zamknięta w pokoju, a on wyjeżdża po zakupy. „Kup gazetę” – myślę i w pierwszej chwili chcę mu wysłać esemes, ale szybko dociera do mnie, że przecież nie mam już komórki, on zresztą też jej nie używa.

Nie ma go dość długo, może nawet kilka godzin. Nie mam zegarka, zresztą nie ma go w całym domu. Jedyny, który widziałam, stoi na szafie w salonie i nie działa, czas odmierzamy, kierując się wysokością słońca na niebie, mniej więcej, na chybił trafił.

Kiedy w końcu wraca, trzęsą mu się ręce i wygląda na podenerwowanego.

– Coś się stało? – pytam.

– Tak – przyznaje i kładzie na moim łóżku gazetę. – Czytaj, strona czwarta – dodaje, a ja sięgam po dziennik.

„Zdążyliśmy już spaść ze strony pierwszej na czwartą” – myślę. Po chwili rzuca mi się w oczy kolorowe zdjęcie Alicji i krzykliwy nagłówek: *Odnajdę mojego syna, choćbym miała poruszyć niebo i ziemię!* Krzywię się na widok patrzącej prosto do obiektywu matki Adama.

– Wynajęła detektywa – mówi Norbert. – Jakiegoś ważniaka, znanego z mediów. I mówi, że choćby miała oddać mu ostatnią złotówkę, znajdzie Adama.

– Kurwa mać! – klnę i nagle zdaję sobie sprawę, że w sumie sama już nie wiem, co byłoby dla mnie lepsze: pozostanie tutaj, w rękach szaleńca, czy zostanie odnalezioną i oddaną w ręce wymiaru sprawiedliwości.

– Ale nie to jest najgorsze – odzywa się Norbert po dłuższej chwili ciszy.

– Nie to? A co jeszcze mogło się stać? – parskam, a on siada obok i chwyta mnie za rękę.

– Twoja mama…

– Co z nią? Upiła się i wystąpiła w lokalnej telewizji? Spoko, nie pierwszy raz zrobiła z siebie pośmiewisko – mówię i dopiero po chwili dociera do mnie, że jemu nie chodzi o to…

– Twoja mama nie żyje. – Tym razem udaje mu się skończyć zdanie, a ja uchylam usta w wyrazie bezbrzeżnego zdumienia.

– Jak? – pytam w końcu, przez zaciśnięte gardło.

– Podcięła sobie żyły, znaleźli ją w wannie.

– Znaleźli? – powtarzam jak echo.

– Jej gach.

– Boże… – Wstaję z łóżka tak gwałtownie, że zawrót głowy niemal zwala mnie z nóg.

Chwilę później pochylam się nad toaletką i oddycham powoli, usiłując poukładać sobie w głowie to, co usłyszałam. Mama nie żyje. Dawno nie myślałam o niej „mama”, od dawna była dla mnie „matką” – zapitą, zaniedbaną kreaturą, która na kilometr cuchnęła wódką i potrafiła jedynie chlać, karmić kury i gotować rosół dla tych swoich równie zapitych wielkich „miłości”, kolesi, którzy wyciągali z niej kasę na alkohol i wykorzystywali w każdy możliwy sposób. Ale teraz, po tym, co powiedział Norbert, nie myślę o wódce, pełnych wulgaryzmów libacjach, które urządzała, i jej zaniedbanym domu. Myślę o dawnych czasach, chwilach, kiedy życie nie zrobiło z niej jeszcze ludzkiego wraku. O zapachu drożdżowego ciasta, które czasem zastawałam na stole po powrocie ze szkoły, cieniutkich warkoczykach, w które splatała moje ciemne włosy, nazywając mnie Murzyniątkiem, o dmuchawcach, z których uwielbiałyśmy strącać leciutki biały puch, i jej spracowanych dłoniach gładzących mnie po głowie, kiedy miała lepsze dni i chęć, żeby mnie tulić.

Myślałam, że moje zniknięcie nie wstrząśnie nią jakoś szczególnie. Że po prostu kilka razy wypije nieco więcej niż zwykle, a później przejdzie nad tym do porządku. Wódka od dawna była przecież dla niej ważniejsza niż ja, tak sądziłam. A ona odebrała sobie życie, nie mogąc znieść mojej utraty i niewiedzy, na którą skazał ją los.

– Mamo – szepczę. – Mamusiu…

Norbert staje za moimi plecami, czuję, że marzy o pocieszeniu mnie, ale ja nie pragnę jego dotyku, obwiniam go o wszystko.

– Gdyby cię wtedy nie było na tamtej pierdolonej drodze! – cedzę przez zęby. – Gdybyś się, kurwa, nie napatoczył, żyłby Adam i żyłaby mama, a ja byłabym teraz w domu, nie tu! – krzyczę. – Co tam w ogóle robiłeś?! Czemu musiałeś wyskoczyć z tych chaszczy jak diabeł z pudełka?!

Norbert nie odpowiada na moje pytanie.

– Przykro mi z powodu twojej mamy, na pewno nie cierpiała – mówi tylko i wychodzi, cicho zamykając za sobą drzwi.

„Skąd, do kurwy nędzy, może wiedzieć, czy nie cierpiała? – myślę, w złości kopiąc fikuśnie wygiętą drewnianą nogę toaletki. – Podcięła sobie żyły, bo my zrobiliśmy coś złego. Umarła przeze mnie. Zabiłam kobietę, która w bólach wydała mnie na świat”. Wstrząsa mną szloch.

– Mamo – szepczę.

Odpowiada mi złowroga cisza. Jestem zupełnie sama, w pokoju jak makiem zasiał, nawet parkiet nie skrzypi, jak to ma w zwyczaju. Najwidoczniej teraz, w ciągu dnia, duchy moich bliskich są gdzieś daleko ode mnie, w odległej mrocznej krainie, gdzie nie ma słońca, pełni lata i moich ciepłych myśli.

– Przepraszam – mówię, a po policzkach płyną mi łzy. – Mamo, przepraszam. Ja nie chciałam…

23.
ZUZANNA

Wieczorem Norbert zaprasza mnie do kuchni, sadza za stołem i nalewa mi wina. Kubeczek, który mi wręcza, jest plastikowy, najwidoczniej wciąż nie ufa szkłu w moich dłoniach. Widzę jednak, że robi wszystko, żeby podnieść mnie na duchu.

– Nawet nie pójdę na pogrzeb – mówię cicho. – Nie pomogę w przygotowaniach, nie zobaczę jej, nie pożegnam się…

– Dzięki temu zapamiętasz ją taką, jaka była za życia – pociesza mnie, zanim zabiera się za przyrządzanie kurczaka.

Obserwując, jak kroi filet w drobną kostkę, mam poczucie jakiegoś dziwnego odrealnienia. „Zabił Adama, porwał mnie, a teraz bawię się z nim w dom?" – myślę. Później ocieram łzy, dopijam resztkę wina z kubeczka i, nie czekając, aż zrobi to Norbert, dolewam sobie.

– Jak się dowiedziałeś? – pytam, kiedy wrzuca mięso na rozgrzaną patelnię.

Chwilę później wyobrażam sobie, że uderzam go nią w twarz bądź parzę go gorącym olejem, ale tego akurat wieczoru nie byłabym zdolna do żadnej rebelii. Dziś to ja jestem słaba. Rozsypałam się, straciłam resztkę gruntu pod nogami. Matka od dawna nie pomagała mi w życiu, alkohol uczynił z niej bezwolną, zdaną na łaskę i niełaskę nałogu kukłę. A jednak świadomość, że ona po prostu jest, była w pewien sposób kojąca. Nawet wywodząc się z tak dysfunkcyjnej rodziny jak moja, każde dziecko chce mieć jakieś korzenie. Jednak dziś, przyniesione przez Norberta wieści, bezpowrotnie mi je odcięły…

– Jak się dowiedziałeś? – cicho powtarzam pytanie. – No wiesz, o mojej mamie…

– Na drzewie przy delikatesach za masarnią Borowieckich wisiała klepsydra – wyjaśnia Norbert, krojąc jednocześnie cebulę.

– Czemu jej nie zabrałeś? Mogłeś ją zerwać albo…

– Nie pomyślałem o tym, chyba byłem w szoku. – Mój były odkłada nóż, podchodzi do mnie, pochyla się i całuje mnie w czubek głowy.

„Nie dotykaj mnie" – myślę, a jednocześnie pragnę jego czułości i zainteresowania; odczuwam upiorną mieszankę kłębiących się we mnie sprzecznych emocji, powodującą kompletny mętlik w głowie. Mam wyrzuty sumienia, że w ogóle tu z nim siedzę, prowadzę cywilizowany dialog i pozwalam mu dla siebie gotować. W akcie lojalności wobec martwego Adama powinnam kopać, gryźć, pluć i okładać go pięściami, bo zabił mojego faceta, a mnie porwał i uwięził. Staram się jednak być realistką, grać rolę, którą mi wyznaczył, do momentu, gdy uda mi się zerwać z łańcucha. Bo komu niby miałby się przysłużyć mój bunt? Adamowi? Mnie samej? Nie sądzę… Jestem zdana wyłącznie na siebie i tylko ja mogę się uratować. „Muszę tylko udawać" – myślę i duszkiem wypijam kolejny kubek wina.

Kolacja jest całkiem smaczna, ale jem niewiele. Nie mam apetytu, w ostatnich dniach skurczył mi się żołądek.

– Nie smakuje ci? Zawsze lubiłaś kurczaka. – Widząc, że rozgrzebuję widelcem zaserwowaną przez niego potrawkę, Norbert uważnie się we mnie wpatruje, jakby fakt, że nie okazuję entuzjazmu, był dla niego policzkiem.

– To pewnie przez te wieści o mamie – tłumaczę się, a on ze zrozumieniem kiwa głową i dolewa mi wina.

To już trzeci pełny kubek. Zaczyna kręcić mi się w głowie, ale uczucie bycia na rauszu jest bardzo przyjemne.

Kiedy nalewam sobie czwarty, Norbert odsuwa na bok flaszkę z resztką alkoholu, stawiając ją z dala od zasięgu mojej ręki.

– Będziesz miała kaca. – Uśmiecha się, a ja wzruszam ramionami.

– Chodźmy na spacer – proszę go. – Chcę zobaczyć zachód słońca wśród pól, zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Szkoda, że nie możemy jechać nad jezioro.

Norbert wstaje, zbiera ze stołu talerze – swój z wyjedzoną do czysta potrawką i mój z niemal nienaruszoną porcją – i stawia je obok zlewu.

Na kuchennym blacie leży nóż. Jest brudny, ale jego solidne stalowe ostrze błyszczy tak kusząco, jakby do mnie mrugało. „Dźgnij tego sukinsyna – odzywa się jakiś głosik w mojej głowie. – Zabij gnoja i uciekaj stąd, zanim znajdzie cię ten cholerny opłacony przez Alicję detektyw i kolejnych parę lat będziesz gnić w mamrze. Zabij tego parszywego kutasa". Zakrywam rękoma uszy, bojąc się, że ogarnia mnie szaleństwo. W tym samym momencie Norbert wrzuca nóż na dno zlewozmywaka, odwraca się i posyła mi szeroki uśmiech.

– Chodźmy więc, zanim słońce zajdzie bez naszych zachwytów – rzuca.

Wstając, lekko się zataczam, szybko jednak odzyskuję panowanie nad własnym ciałem. W końcu nie tyle się kiedyś piło. Na zewnątrz wychodzimy chwilę później i już po chwili jesteśmy za furtką. Ogołocone z rzepaku pola za ogrodzeniem domu Norberta są puste i pozbawione soczystej żółtej barwy, która zachwycała oczy. Kombajn ograbił mnie z wdzięcznego widoku kwiatów, ale

takie są prawa natury – wszystko wzrasta, dojrzewa i zostaje zebrane. Idziemy wąską ścieżką pomiędzy polami, zapatrzeni w pomarańczową kulę słońca, które chyli się ku zachodowi. Wieczór pachnie latem i macierzanką, powietrze jest rozgrzane, zdaje się otulać nas falami ciepła.

Nagle Norbert się zatrzymuje i łapie mnie za rękę. Później przyciąga mnie do siebie i całuje w usta. Tym razem nie skamle o seks, nie prosi, nie błaga. Jest pewny siebie, jego wargi rozgniatają moje, język rozpycha się w moich ustach, dłonie wślizgują się pod sukienkę. Początkowo chcę zaprotestować, ale ciało już reaguje podnieceniem, odmiennie od tego, co czuje umysł. Kiedy opadamy w trawę, a on rozpina mi sukienkę, całuje mój dekolt i zsuwa w dół koronkę stanika, tak by uwolnić moje sutki, zamykam oczy i myślę o Adamie, ale w tej sytuacji wydaje mi się to niemal świętokradztwem. On w końcu nie żyje, a ja zaraz będę się pieprzyć z innym, ledwie kilkaset metrów od jego grobu… Ta myśl sprawia, że robi mi się słabo, ale Norbert już zdziera ze mnie majtki, rozpina spodnie i bez słowa wbija się we mnie. Jest gwałtowny, napalony, mało delikatny, jego ruchy są coraz niecierpliwsze, czuję, że dojdzie szybciej, niż jakikolwiek facet chciałby dojść. I faktycznie ledwie trzy, cztery minuty później on wydaje z siebie przeciągły jęk rozkoszy, wysuwa się ze mnie i stacza na bok, w trawę.

– Tak bardzo cię kocham – mamrocze.

Ja leżę bez słowa, zapatrzona w przesuwające się po niebie chmury, nad moją głową lata jakaś uparta muszka, między nogami czuję wilgoć i przyjemne lekkie pulsowanie. Nie doszłam, ale byłam blisko. Gdyby leżał przy mnie mój mężczyzna, dopieściłabym się sama, palcami, bądź poprosiła o to jego. Ale leży przy mnie porywacz i morderca…

Wciąż jednak gram, teraz już nie ma odwrotu. Wziął mnie raz, weźmie i drugi, dwudziesty czy setny. Stało się, dałam mu przekroczyć granicę. Teraz mogę jedynie ciągnąć ten mierny teatrzyk, pozwalając mu wierzyć, że uległam, poddałam się jego woli i chcę tylko naszej wspólnej przyszłości, marzę o tym samym co on.

– Norbert? – mówię cicho, a on przewraca się na bok i wtula się we mnie, kładąc głowę między moimi piersiami. – Teraz widzę, że miałeś rację, i dziękuję, że o mnie walczyłeś. Wcześniej tego nie dostrzegałam, ale już wiem, że to po prostu przeznaczenie. Musiało się tak stać, żebyśmy mogli być razem – dodaję szeptem, a on powtarza, że bardzo mnie kocha, ciągle i ciągle od nowa, jak zdarta płyta.

Przez kolejny kwadrans leżymy wśród zapachu macierzanki, on wciąż we mnie wtulony, ja cicha i potulna, kobieta idealna, marionetka w rękach obłąkanego amanta. W końcu on wstaje i mówi, że powinniśmy już iść.

– Jeśli ktoś się tu pojawi…

Nie chcę wracać do domu. Do tej zaniedbanej, pełnej duchów i dusznej budy, w której nadal jest mnóstwo gratów po zmarłej staruszce, ale wiem, że dalej i tak iść nie możemy… Norbert ma rację. Gdyby ktoś nas zobaczył…

Na podwórzu siadam na jednej z ławek i wdycham zapach letniego wieczoru. On siada obok, obejmuje mnie ramieniem. Stąd, gdzie siedzę, widzę zarys schowanego pod plandeką audi Adama i czuję się tak, jakbym tańczyła na jego grobie. Ale Norbert z całą pewnością myśli o czymś zupełnie innym.

– Pamiętasz, jak się kochaliśmy na tamtym parkingu, po koncercie? – pyta.

„Kochaliśmy się?” – dziwię się w myślach. Miałam siedemnaście lat i byłam kompletnie najebana. Pieprzyliśmy się w pędzie, ja oparta o cudzą furgonetkę, on z opuszczonymi spodniami, napalony i głośny. Ktoś nas wtedy zauważył, rozległy się śmiechy i gwizdy, jakiś koleś rzucił w naszą stronę pustą puszką po piwie. Nie, to nie była miłość. To było pożądanie, szczeniackie odkrywanie świata, bawienie się w dorosłość i igranie z ogniem. To był koncert mało znanego polskiego zespołu, urządzony na totalnym zadupiu wśród pól. Dookoła pełno pijanych facetów, motocykliści, wytatuowani kolesie w skórze, brzęk tłuczonego szkła i latające wokół mojej głowy wulgaryzmy. I tak miałam szczęście, a może miał je również Norbert. Mogli go pobić, a mnie gdzieś zaciągnąć i grupowo zgwałcić. Mogliśmy wynieść z tamtej nocy znacznie gorsze wspomnienia niż zostanie wygwizdanym na pełnym aut parkingu…

– Pamiętam – mówię, a on całuje mnie w ramię.

– Ładnie wtedy pachniałaś.

– Zawsze ładnie pachnę – mruczę, a on cicho się śmieje. – Jest jeszcze wino? Ile flaszek kupiłeś?

– Jedną.

– Jedną? – Parskam, a on pochmurnieje.

– Moja kobieta nie będzie chlać, słyszysz? – rzuca przez zęby. – Zapomniałaś już, co wóda zrobiła z moim ojcem i twoją matką?

– To tylko wino – mówię.

– To alkohol, a ja już nie piję.

– Poważnie? Od kiedy? – Śmieję się, zaskoczona jego słowami, a on łapie mnie za ramię i zaciska na nim palce tak mocno, że na pewno będę miała siniaki.

– Nabijasz się ze mnie?! – warczy, a ja milknę i przecząco potrząsam głową.

– Mówię tylko, że to wino, nic wielkiego – szepczę.

– Żadnego alkoholu w moim domu! Nie będę taki jak mój stary, słyszysz?! Mam dość patologii, odoru wódki i pogardliwych ludzkich spojrzeń! Moja kobieta też nie będzie się uchlewać jak jakaś tania zdzira!

– Ale chyba nie zostaniemy mormonami? – szydzę, wciąż zaskoczona tym, jak bardzo jest inny niż kiedyś, a on zaciska ręce w pięści i rzuca mi złe spojrzenie.

– Nie przeginaj – ostrzega.

– Przecież żartuję. – Wyciągam rękę i głaszczę go po głowie, a później muskam szramę na jego czole. – To musiało cię boleć…

– Owszem, bolało – przyznaje.

– Masz rację, wódka nie jest dobra – ugłaskuję go, a on w końcu się rozchmurza.

– Chodź, mam coś dla ciebie – mówi i wstaje z ławki.

– Co dla mnie masz? – szczebioczę, idąc tuż obok niego.

– Zobaczysz.

W domu zajeżdża smażoną cebulą, co sprawia, że się krzywię. Jeszcze bardziej szokuje mnie to, że przekraczając próg, pomyślałam „dom". Ale czy posiadam jakiekolwiek inne miejsce na świecie, które mogłabym tak nazwać? Dom rodzinny przepadł. Pomijając to, że pewnie na dobre zostanie tam Tadeusz, który przed poznaniem mojej matki pomieszkiwał kątem u znajomych od kielicha, to nawet gdyby się wyniósł, zabierając ze sobą całą swoją menażerię, nie umiałabym tam żyć. Nie po tym, co zrobiła mama i co ja zrobiłam jej. Zresztą ludzie by mi nie dali spokoju. Ich osądy, spojrzenia, wścibskość i ciągła chęć przypominania mi o tym, co się wydarzyło. Policja zresztą też by mi żyć nie dała… Nie można przepaść w niewyjaśnionych okolicznościach, a później tak po prostu wrócić. Chociaż nie, może i można, pod warunkiem że nie ciągnie się za sobą trupa swojego faceta. A Adam już raczej nie zmartwychwstanie…

– Dla ciebie. – Norbert otwiera szufladę komody i wyjmuje z niej aksamitne puzderko z logo miejscowego jubilera.

Kiedy po nie sięgam, trzęsie mi się ręka, ale on zdaje się tego nie zauważać.

– Żebyś nie mówiła, że o ciebie nie dbam – dodaje, a ja otwieram puzderko w kształcie serca i wyjmuję z niego wisiorek, również w kształcie serca.

Cieniutki łańcuszek leży obok, połyskuje srebrem na ciemnej wyściółce z aksamitu, a mnie chce się płakać. „W którym momencie skręciłam w złą drogę, że stoję w ciemnym, cuchnącym smażoną cebulą korytarzu, przyjmując błyskotki od psychopaty?" – zastanawiam się, tymczasem Norbert wyciąga łańcuszek, nawleka na niego wisiorek i wiesza mi go na szyi.

– Dziękuję. – Zmuszam się do uśmiechu, a on całuje mnie w usta i obiecuje, że regularnie będzie mi kupować prezenty.

Wtedy myślę o plecaku z trzydziestoma tysiącami, które on z całą pewnością zabrał Adamowi, i dociera do mnie, że cichym fundatorem podarku najprawdopodobniej jest mój zmarły facet… Ale to nic, nie mogę teraz skupiać się na tym. Najważniejsze jest pozyskanie jego zaufania, wciągnięcie go w grę kłamstw i emocjonalnych oszustw. Pewnie jeszcze przez jakiś czas Norbert będzie mnie zamykał, zanim położy się spać w pokoju za ścianą, ale którejś nocy zaproponuje, żebym położyła się obok niego i zaśnie, ufny jak ostatni frajer, z głową złożoną na sąsiedniej poduszce. Wtedy dam mu kilka nocy, może tydzień czy dwa, żeby do reszty stracił czujność, a później na palcach wymknę się z sypialni, otworzę któreś z niezakratowanych okien na parterze i przepadnę w nocnych ciemnościach…

– Pomożesz mi? – Głos Norberta dochodzi z salonu, gdzie poszedł po tym, jak mnie pocałował.

– Co robisz? – pytam.

Chwilę później dociera do mnie, że on przegląda wyjęte z komody ręcznie haftowane obrusy po nieboszczce.

– Chcę tu mieć prawdziwy dom – mówi. – Teraz, kiedy jest lato, powinniśmy to wszystko ogarnąć. Zedrzeć te brudne tapety, pomalować ściany, powynosić resztę zniszczonych mebli i niepotrzebnych rzeczy. Przejrzyj je i wybierz te, które ci się podobają – prosi, a ja sięgam po pierwszy ze znalezionych przez niego obrusów i zachwycam się widokiem wyszytych na lnie kolorowych polnych kwiatów.

– Są piękne – mówię i przez jedną krótką chwilę daję się ponieść wyobraźni i wyczarowuję w głowie wizję pachnącego świeżo wyjętym z pieca domowym chlebem, zdobnego w haftowane obrusy i pełnego kwiatów domu.

Szybko jednak wracam do rzeczywistości, ale porządki wcale mi nie przeszkadzają. Wręcz przeciwnie, zajęcie czymś rąk pozwala mi nie zwariować.

* * *

Sprzątamy przez cały sierpień. Zdzieramy tapety, malujemy ściany, odnawiamy meble, na tyle, na ile da się je uratować, i pastujemy podłogi. W przerwach kręcimy się po lasku i polach przy domu, wieczorami pieczemy kiełbaski przy ognisku i uprawiamy seks. Ten ostatni staram się Norbertowi dawkować, wydzielam mu go tak, jak skąpo wydziela się słodycze otyłemu dzieciakowi. Nie mogę mu przecież spowszednieć, chcę, żeby ciągle o mnie zabiegał, nie traktował mojego ciała jak swojej

własności. Rozpalam go i odpycham, kuszę i odrzucam, mamię, wodzę za nos, uzależniam od siebie. A on ciągle patrzy na mnie tymi oczyma zbitego psa, skamle o miłość, snuje te swoje wizje życia jak z bajki.

– Kiedyś zacznę produkować meble na zamówienie – powtarza coraz częściej i chyba naprawdę w to wierzy.

Mówi, że ma do tego dryg, a jego wujek stolarz wiele go kiedyś nauczył, lata temu, zanim jeszcze on sam wyjechał na zarobek do Niemiec.

– Będę zarabiał konkretną kasę, kupimy większy dom, może nawet wyniesiemy się w inną część kraju? Chciałabyś zamieszkać nad morzem? – pyta, a mnie coś łapie za gardło na wspomnienie wyjazdu do Ustki i spacerów po plaży w towarzystwie Adama.

To on pierwszy pokazał mi morze. Matki nie było stać na wakacje, a jeśli jeździłam na kolonie, dziwnym trafem zawsze lądowałam w górach. Moi pierwsi faceci też groszem nie śmierdzieli i dopiero Adam… Wspomnienie naszych pocałunków na pustej plaży, włosów targanych wiatrem i słonawego zapachu Bałtyku wyciska mi z oczu łzy.

– Wszystko okej? – Norbert obserwuje mnie czujnie i momentalnie dostrzega, że podejrzanie zaszkliły mi się oczy.

– Tak. Myślę o przyszłości i domu przy plaży i tak jakoś się rozczuliłam… – kłamię, a on obejmuje mnie ramieniem.

– Kupię ci dom przy plaży – obiecuje, głaszcząc mnie po głowie.

Dzień później przywozi z zakupów najnowszą gazetę, w której znajduję kolejną rozmowę z matką Adama.

Detektyw ma pewne podejrzenia! – krzyczy jeden z nagłówków.

W pierwszym momencie chcę przeczytać jakie, ale oblatuje mnie strach i ciskam gazetę do kosza. „Jestem w potrzasku” – myślę, czując nagły atak paniki.

24.
ZUZANNA

Jest połowa września, kiedy którejś nocy Norbert wchodzi do mojej sypialni i szarpaniem za ramię wyrywa mnie ze snu.

– Wstawaj, nie ma czasu! – powtarza.

Jego głos jest napięty, wydaje się spanikowany.

– Coś się stało? – pytam, a on jednym ruchem odrzuca na bok kołdrę, którą jestem przykryta, i każe mi się zbierać.

Siadam więc na łóżku, przecieram oczy i mrużąc je, zerkam na korytarz, gdzie pali się światło.

– Ubieraj się! – Norbert ciska we mnie podniesionym z fotela grubym swetrem z wywijanym szerokim golfem i wyjmuje z komody moje getry.

Kiedy jestem gotowa, każe mi zejść na dół i pod rękę wyprowadza mnie z domu. Wrześniowa noc jest chłodna i wietrzna, szybko żałuję, że nie zabrałam kurtki, podczas gdy on ciągnie mnie w stronę furgonetki i nakazuje wsiąść do samochodu. Zajmuję więc miejsce pasażera, przy okazji zdając sobie sprawę, że jestem w nim pierwszy raz od dnia, w którym on mnie tu przywiózł, a Norbert wskakuje na siedzenie kierowcy, zatrzaskuje drzwi i uruchamia silnik. Kiedy mrok rozświetlają przyjazne bursztynowe światła reflektorów, jeszcze raz pytam, co się dzieje, ale Norbert nie odpowiada. Milcząc, wyjeżdża za bramę, wyskakuje z samochodu, żeby ją zamknąć i wraca do auta. Później jedziemy wzdłuż pól, wolno, telepiąc się na wyżłobionych przez traktory i kombajny wertepach, a on pochyla się do przodu, jakby słabo widział wśród otaczającej nas nocy, na nieoświetlonej polnej drodze.

– Śniło mi się, że znalazł nas ten detektyw – mówi nagle, a ja uchylam usta ze zdziwienia.

– I tylko dlatego wywlokłeś mnie z łóżka na ten ziąb?

– Matka zawsze nam powtarzała, że istnieją prorocze sny – broni się Norbert, a auto podskakuje na kolejnym wertepie.

– Wracajmy – proszę. – Jeśli wyjedziemy na główną szosę, prędzej zatrzyma nas drogówka, niż znajdą nas w domu.

– Cicho, muszę pomyśleć. – Norbert zwalnia i w końcu zjeżdża na pobocze.

Jest mi zimno, ale milczę. Dobrze wiem, że każdy facet potrzebuje czasem chwili ciszy dla zebrania myśli, Adam niejednokrotnie mi to udowodnił, drąc się, żebym się zamknęła…

– Kurwa mać! – Norbert klnie i wysiada z samochodu, zostawiając otwarte drzwi.

– Zamknij, jest zimno – proszę, a on zatrzaskuje je z takim impetem, że aż podskakuję.

Nagle dociera do mnie, że jestem sama w szoferce, a w stacyjce tkwią kluczyki. Wystarczy się przesiąść na sąsiednie siedzenie, uruchomić silnik i ruszyć. W baku jest zapas paliwa, który spokojnie starczyłby mi na dłuższą trasę, wiem, że całkiem niedawno, wracając z miasteczka, Norbert zahaczył o stację benzynową. „Zrób to, dziewczyno!” – w środku dosłownie krzyczę, ale strach paraliżuje mnie do tego stopnia, że nie jestem w stanie się ruszyć. Zresztą kilka sekund później on wraca do samochodu, zatrzaskuje drzwi i wyciąga rękę, żeby dotknąć moich włosów.

– Kiedyś będziesz mogła znowu je zapuścić – mruczy.

– Wracajmy – proszę raz jeszcze.

– Nie. Zostaniemy tu do rana.

– Zimno mi! – podnoszę głos, a on w złości wali pięścią w deskę rozdzielczą.

– Powiedziałem, zostajemy tu do rana! – warczy.

– Ja wracam – mówię i łapię za klamkę.

Wtedy on chwyta mnie za rękę i każe mi zostać.

– Zastrzelił nas – mówi łamiącym się głosem. – Najpierw strzelił do ciebie, a kiedy upadłaś, wymierzył we mnie.

– Prywatni detektywi raczej nie strzelają do ludzi – mówię, a on cicho się śmieje.

– Fakt – zgadza się ze mną. – A jednak to był naprawdę realistyczny koszmar. Kiedy leżałaś na podłodze, cała we krwi, a ja nie mogłem się ruszyć, bo nogi jakby wrosły mi w ziemię, pomyślałem, że nie chcę już żyć bez ciebie, a ty… Tak bardzo zmarzłaś? – Norbert nagle przerywa i rozmasowuje mi plecy. – Dobrze, wracajmy – decyduje. – Masz rację, odjebało mi…

Chwilę później przekręca kluczyk w stacyjce i zawraca.

Kiedy wchodzimy do środka, myślę: „Jak dobrze być w domu” i to mnie dosłownie paraliżuje. Ostatnio coraz więcej z nim rozmawiam, coraz częściej pozwalam mu na zbliżenia i coraz lepiej czuję się w tym starym budynku, który po odmalowaniu ścian

na jasne kolory i wyrzuceniu niepotrzebnych szpargałów robi się coraz przytulniejszy. „Ale nie, to nie jest dom. To miejsce, w którym jestem przetrzymywana, moje więzienie” – mówię sobie, zdejmując buty.

– Zostań dziś ze mną – prosi mnie nagle Norbert, kiedy wchodzimy po schodach. – Chcę się przy tobie obudzić – mówi, a ja przystaję na jednym z ostatnich stopni, wciągam rękę i delikatnie gładzę go po twarzy.

– Też tego chcę. – Uśmiecham się do niego, a on całuje mnie w usta.

Tak długo czekałam na te słowa…

W sypialni, którą do tej pory samotnie zajmował, rozbiera mnie do naga i całuje po całym ciele, pieści, dotyka. Jego dłonie są delikatne, usta dają rozkosz. Kiedy się kochamy, mam orgazm. Najprawdziwszy, gwałtowny i rewelacyjnie intensywny.

– Jesteś całym moim życiem. – Norbert oplata mnie ramieniem i leżymy wtuleni w siebie, w całkowitej ciemności wrześniowej nocy. – Zostaniesz ze mną do rana? – pyta.

– Tak – obiecuję.

– Mogę ci zaufać?

– Wiesz, że tak. – Gładzę go po nagim torsie, upajam swoją obecnością, tulę do snu.

Nagle przychodzi mi do głowy, że może to nie byłoby takie złe, gdybym została tu z nim na zawsze. W tym dopieszczonym i własnoręcznie przez nas odmalowanym domu wśród wyzłoconych kwiatami pól rzepaku, sosnowych lasów i niewielkich jeziorek. „Może powinnam mu wybaczyć? – zastanawiam się, wsłuchana w jego spokojny oddech. – Dać sobie szansę na spokojne życie, pozwolić mu się sobą zaopiekować?”. Gdyby udało się nam przetrwać burzę związaną z moim zaginięciem i zniknięciem Adama, moglibyśmy zostać tu na zawsze, bezpieczni, z dala od świata i ludzi. Chwilę później przypominam sobie martwą twarz Adama i robi mi się niedobrze. Więc dopadło i mnie, klasyczny syndrom sztokholmski…

Iza opowiadała mi kiedyś o ludziach, którzy po jakimś czasie zaczynają usprawiedliwiać swoich oprawców i czuć z nimi więź. Jeszcze kilka tygodni wcześniej w życiu bym nie powiedziała, że spotka to mnie. Moja nienawiść do Norberta była wtedy tak krystalicznie czysta jak woda w górskim strumieniu. A jednak leżę w jego ramionach, w zmiętej, przesiąkniętej zapachem seksu pościeli, a on cicho pochrapuje z ręką przerzuconą przez moje nagie piersi. Kiedy delikatnie ją odsuwam i siadam na łóżku, wciąż śpi.

Patrząc na jego twarz w szarym świetle nadchodzącego przedświtu, czuję, że wraca mi rozum. „To pieprzony szantażysta i morderca, dziewczyno. Nie żaden książę z bajki, ale twój kat. Koleś, który z zimną krwią poderżnął gardło twojemu facetowi” – zwracam się do siebie w duchu, wciąż zasłuchana w spokojny oddech Norberta. „Jesteś całym moim życiem” – przypominam sobie jego słowa i czuję coś dziwnego, jakbym nagle dostrzegła pomiędzy nami jakąś kruchą więź. Wtedy jednak przypominam sobie chwilę, kiedy kazał mi kopać grób dla Adama i pod powiekami czuję łzy.

„Nie, skurwysynie, nie zdobędziesz mojego serca. Możesz mnie posuwać, macać i całować, ale moje serce nigdy nie będzie należeć do ciebie” – mówię sobie. Chwilę później obmyślam w głowie plan. Wiem, gdzie są kluczyki od furgonetki, widziałam, że chował je do kieszeni wiszącej przy drzwiach kurtki. Zaczął mi ufać i stracił czujność albo jest niechlujny, tego nie wiem. Wiem tylko, że auto stoi przed domem, z pełnym bakiem, on śpi, a ja w każdej chwili mogę się wyślizgnąć z sypialni i opuścić ten dom.

Kiedy siadam na łóżku, Norbert lekko się porusza, ale nadal jest pogrążony we śnie. Za oknem wstaje nowy dzień, szarość przedświtu wypełnia coraz więcej światła. „Uciekaj! – krzyczy jakiś głos w mojej głowie. – Uciekaj, uciekaj, uciekaj!”.

Wstaję wolno i, starając się poruszać bezszelestnie, powoli idę w stronę drzwi. Problemem z pewnością będą stare drewniane schody. Skrzypią niemiłosiernie z każdym krokiem i przez chwilę zastanawiam się, czy nie powinnam wyskoczyć przez okno, z pierwszego piętra, ale szybko z tego rezygnuję – jeśli coś sobie złamię, daleko nie ucieknę. Idę więc korytarzem w stronę zdradzieckich stopni, krok za krokiem, na palcach, starając się wyczuwać drewno pod stopami i zaklinać je, żeby mnie nie zdradziło. Pierwszy schód skrzypi przeciągle, drugi nie wydaje żadnego dźwięku. Trzeci i czwarty w miarę poprawnie się zachowują, piąty okazuje się prawdziwym skurwielem. „Ja pierdolę!” – klnę w duchu, zastygając w bezruchu.

Po chwili idę dalej, a on ciągle śpi. Jeśli Bóg istnieje, w co bardzo wątpię, dał mocny sen mężczyznom właśnie dla takich chwil. Na parter schodzę zlana potem i wciąż naga. Jest mi zimno, ale myślę tylko o tym, żeby jak najszybciej coś na siebie zarzucić i wymknąć się na zewnątrz. Później będę jechać przed siebie tak długo, jak zdołam prowadzić, i zniknę mu z oczu, zostawiając za sobą cały ten koszmar…

Wtedy na piętrze słyszę kroki, Norbert musiał się obudzić i właśnie schodzi na dół.

– Myszko?! – krzyczy.

W jego głosie słyszę niepewność, jest już na schodach, które skrzypią pod ciężarem jego ciała.

„Kurwa mać!” – krzyczę w duchu, zagryzając wargę aż do krwi.

– Zuza?!

– Chciało mi się pić! Śpij, kotku! – Na palcach wpadam do kuchni, łapię za szklankę i nalewam do niej wody.

Ale on nie zamierza iść spać… Wchodzi do kuchni i przygląda mi się długo, jakby chciał wyczuć moje zamiary, a moje serce bije jak oszalałe, w środku cała się trzęsę.

– Chcesz wody? – pytam, zanim całuję go w usta.
– Wydawało mi się, że ktoś się kręci po podwórzu – mówi on, zerkając w stronę okna.
„Może duch Adama?” – myślę, mam jednak na tyle oleju w głowie, żeby nie powiedzieć tego na głos.
– Nikogo tam nie ma – zapewniam go, a on obejmuje mnie i gładzi po plecach. – Wracajmy do łóżka – proszę. – Chłodno tu.
– W pawlaczu są grubsze kołdry – mówi, kiedy w końcu wypuszcza mnie z ramion. – Pod tymi już marzniemy – dodaje.
– Zmienimy je. – Uśmiecham się, upijam kilka łyków wody i łapię go za rękę. – Nikogo tam nie ma – powtarzam.
Wchodząc z nim na górę, powoli się uspokajam. Obudził się, a ja nie zdołałam uciec, ale przecież nic straconego. Zrobię to następnej nocy albo za dwa, trzy dni. Teraz, kiedy Norbert uwierzył, że ja również jestem w nim zakochana, znajdę sposób, żeby się uwolnić. Pracowałam na to przez ostatnie tygodnie, dałam z siebie wszystko, żeby zachowywać się wiarygodnie. „Wystarczy już tylko znaleźć odpowiedni moment. Ucieknę, uda mi się! Nawet jeśli on ukryje gdzieś kluczyki od furgonetki bądź frontowych drzwi, wymknę się oknem i będę biec przez las, dopóki starczy mi sił” – mówię sobie, wiedząc, że powinnam to zrobić jak najszybciej, póki noce nie są jeszcze zbyt zimne, a wieczorami panują w miarę znośne temperatury.

* * *

Przez kolejne dwa dni urabiam Norberta, słodzę mu i nadskakuję. Mówię mu nawet, że go kocham, wyobrażając sobie przy tym twarz Adama. W końcu nadchodzi moment, w którym udaje mi się zejść na dół, ubrać się, znaleźć w kieszeni jego kurtki kluczyki od furgonetki i bezszelestnie otworzyć frontowe drzwi. Jestem na podwórzu, kiedy nagle dociera do mnie, że nie mogę tak po prostu stąd odejść. Ten świr zabił Adama, ale w pewien sposób zabił też moją matkę. Odebrał mi dwie najbliższe osoby, a ja miałabym puścić mu to płazem? Zaciskam palce na kluczykach od samochodu. „Zabij go” – słyszę cichy głos w mojej głowie. Inny odzywa się głosem Norberta. „Jesteś całym moim życiem” – mówi.
– Kurwa – klnę bezgłośnie, tracąc cenny czas.
On w każdej chwili może się obudzić… Dochodzi trzecia nad ranem, noc jest ciemna i chłodna, a on ma raczej mocny sen, ale przecież czasem ludzie budzą się w środku nocy… „Uciekaj!” – głos w mojej głowie krzyczy coraz bardziej histerycznie, jest tak samo spanikowany jak ja. „Zabij tego kutasa!” – drze się inny. Oba staczają coraz gwałtowniejszą walkę, biją się o moją uwagę, zaciekle bronią swoich racji. W końcu wchodzę do domu i, poruszając się bezszelestnie jak duch, ruszam do kuchni. Nóż jest w szufladzie, Norbert trzyma go tam ukrytego pod kilkoma drewnianymi łyżkami po poprzedniej właścicielce domu. To, że tak beztrosko zostawił go w zasięgu mojej ręki, też wydaje mi się wielką bezmyślnością z jego strony, ewidentnie opuścił gardę, zaufał mi… Wyjmując go, przyświecam sobie znalezioną w tej samej szufladzie zapalniczką, później wychodzę na górę, krok po kroku, wolno i niespiesznie. „To tym ostrzem podciął Adamowi gardło? A może narzędzia zbrodni pozbył się dawno temu, a mojego faceta zabił zupełnie gdzie indziej?” – zastanawiam się.
Zza uchylonych drzwi sypialni słyszę ciche pochrapywanie Norberta, skurwiel wciąż smacznie śpi. W końcu jestem na piętrze, wchodzę do pokoju i staję nad łóżkiem. „Jeśli teraz się obudzi, może być nieciekawie” – myślę, kurczowo zaciskając palce na rękojeści noża. Mój porywacz leży na plecach, lepszej pozycji nie mógł wybrać. Stoję tam i wyobrażam sobie, że lekko odchylam mu głowę i jednym płynnym ruchem podcinam mu gardło, a ciepła krew bucha z jego szyi, plamiąc jasną kwiecistą pościel. Wtedy on się budzi, gwałtownie wyrwany ze snu, nie umie złapać oddechu, a dobywający się z jego gardła charkot jest tak przerażający jak na filmach. W pokoju jest ciemno, ale wpadające z korytarza światło pojedynczej żarówki odrobinę rozjaśnia mrok. Patrzę w jego gasnące oczy i widzę w nich szok, niedowierzanie, przerażenie i ból. Ten durny naiwny skurwiel naprawdę uwierzył, że chcę z nim zostać, śmierć z mojej ręki nie mieści mu się w głowie, jest najohydniejszą zdradą, którą jest w stanie sobie wyobrazić, o ile w ogóle myśli w tym momencie o czymś tak błahym jak miłość.
Kurczowo zaciskam palce na rękojeści noża. W końcu unoszę rękę, chcąc zadać morderczy cios, ale zaraz później ją opuszczam. Nie umiem zabić człowieka, nawet jego. Kiedy zdaję sobie z tego sprawę, na palcach wycofuję się do korytarza. Później schodzę na dół, przerażona tym, co właśnie sobie wyobraziłam, ale i własnym niezdecydowaniem. W kuchni odkładam nóż na miejsce, piję kilka łyków wody, zamykam na klucz frontowe drzwi i po cichu wracam na górę. „Trzeba było go zabić” – odzywa się kolejny głos w mojej głowie. „Jesteś durną miękką pipą, cholernym tchórzem” – wyrzucam sobie, wchodząc do sypialni.
– Gdzie byłaś? – mamrocze wyrwany ze snu Norbert, kiedy wślizguję się pod kołdrę.
Musiało go obudzić skrzypienie schodów, ale zawsze lepsze to niż przyłapanie mnie wgapiającej się w jego szyję z kuchennym nożem w ręku…
– Zeszłam się napić – szepczę, a on obejmuje mnie ramieniem.
– Drżysz – zauważa. – Zmarzłaś? Od kiedy śpisz w ubraniu? Na dniach trzeba będzie udrożnić przewód kominowy, noce są coraz zimniejsze.
„Będziemy mieli kominek. Istna, kurwa, sielanka” – myślę i z trudem opanowuję wybuch histerycznego śmiechu.

Kilka minut później Norbert ponownie zasypia, jego chrapanie tym razem jest donośniejsze, świszczy mi przy uchu, irytuje. Leżę obok, z zaciśniętymi powiekami, i jeszcze raz wyobrażam sobie wszystkie te krwawe sceny, które zrodziły się w mojej głowie, kiedy stałam nad nim z nożem w ręku, i nagle, zupełnie niespodziewanie, wpadam na pomysł ucieczki, tak prosty i banalny, że chce mi się śmiać.

– Genialne – szepczę. – Po prostu genialne.

Do rana nie udaje mi się już zasnąć. Leżę obok pochrapującego Norberta i dziesiątki razy wyobrażam sobie mój nowy plan, w nieskończoność powtarzając go w myślach, jakbym chciała przeżyć tę scenę w głowie, zanim wdrożę ją w życie.

* * *

Wstajemy po ósmej, on chyba nieco niewyspany, ja słodka do wyrzygu i rozszczebiotana niczym jedna z żon ze Stepford.

– Zrobię naleśniki z serem – oznajmiam, kiedy on pojawia się w kuchni. – Została jeszcze puszka farby, pomalujmy piwnicę. W przyszłym roku chciałabym porobić trochę przetworów i pobawić się w dom. Zawsze mi się podobały te rzędy słoi z kolorową zawartością – szczebioczę. – Gdybyś sklecił mi jakiś regał i pomalował ściany na śnieżną biel, wyczarowałabym mnóstwo pyszności.

– Byłoby nieźle. – Norbertowi podoba się pomysł, widać wizja mojego udomowienia bardzo mu odpowiada. – Mojej matce można wiele zarzucić, ale ogórki kiszone robiła genialne.

– Ja też umiem, mama mi kiedyś pokazywała. W przyszłym roku mogłabym…

– Dobra, zrozumiałem. Białe ściany i drewniany regał. Nie chcę naleśników, wolę kiełbaski i sadzone jajko.

– Zrobię. – Uśmiecham się i gładząc go po kolanie, bawię się wisiorkiem od niego.

– Dzięki. – Norbert wstaje i rusza w stronę przedpokoju. – I zrób mi więcej kawy! – krzyczy, zanim schodzi na dół, do piwnicy.

Kłódka wciąż wisi w drzwiach, oprócz tego, Bóg jeden wie czemu, z zewnątrz mają metalową zasuwę. Na miejscu Norberta raczej bym tam nie wchodziła. Przynajmniej nie wtedy, kiedy nie ma mnie na oku. Ale on nic nie podejrzewa. Gdyby to był horror bądź thriller, a on byłby aktorem, graniczącą z debilizmem naiwność granego przez niego bohatera wygwizdałoby całe kino. „Wlazł tam i otwiera puszkę z farbą, tak po prostu" – uśmiecham się pod nosem.

– Kotku, starczy farby? – krzyczę, wczuwając się w rolę.

– Powinno! – odkrzykuje.

– Potrzebujesz drabinki?!

– Sam sobie przyniosę! – wrzeszczy.

Chwilę później, radośnie pogwizdując, wychodzi na podwórze, skąd przynosi niewielką drabinkę z metalowymi stopniami, a ja parzę kawę i, starając się opanować drżenie rąk, wyjmuję mleko z odziedziczonej po pani Marioli starej lodówki. „Pospiesz się" – ponaglam się w duchu. Cukier rozsypuje mi się z łyżeczki, nerwowo drga moja lewa powieka. Brak magnezu czy po prostu sikam po nogach ze strachu? Tak czy inaczej, lepszej okazji nie będzie. Gdybym zamknęła go w sypialni, w której do niedawna mnie więził, mógłby sforsować drzwi, ale piwnica będzie idealna. Wąskie zakratowane okienko, ciężkie metalowe wrota i ta masywna zasuwa… Błogosławię w duchu tego, kto ją tam zamontował (przez chwilę przechodzi mi przez myśl, że może nawet był to Norbert), mieszam jego kawę i na miękkich kolanach wchodzę na piwniczne schody. Dziwne wydaje mi się to, że są betonowe, podczas gdy te na górę – drewniane, ale szybko skupiam się na tym, co planuję, i wywalam z głowy bezużyteczne myśli.

– Ale będzie jasno – rzucam.

Norbert stoi już na drabince, w dłoni ma pędzel, na głowie czapkę z daszkiem, której nigdy wcześniej nie widziałam.

– Uważaj, na podłodze masz kawę – ostrzegam go.

A później wychodzę, zatrzaskuję ciężkie metalowe drzwi i rygluję je na zasuwkę. Kłódkę udaje mi się zamknąć chwilę później, chociaż ręce trzęsą mi się tak, że z trudem trafiam obręczą do obudowy. Gdyby nie zasuwka, cały plan trafiłby pewnie jasny szlag.

– Ty suko! – W tej samej sekundzie Norbert zaczyna ogarniać sytuację, jego głos wibruje nienawiścią, brzmi jak ryk śmiertelnie rannego dużego zwierza. – Ty dziwko pierdolona! – Zlazł z drabinki i wali pięściami w drzwi, a ja przywieram plecami do ściany i przez dłuższą chwilę usiłuję uspokoić rozszalałe serce. – Otwieraj! Nie wygłupiaj się, Zuza! Będzie nam razem dobrze, przecież wiesz! Nikt nigdy tak cię nie pokocha! – drze się, rąbiąc w drzwi, a głuchy odgłos jego zderzających się z metalem pięści sprawia, że zaczynam się jeszcze bardziej trząść. – Ty kurwo jebana, przecież zabiłem dla ciebie! – ryczy Norbert, ale już go nie słucham.

Wyjmuję z kieszeni jego wiatrówki klucze od domu, które wieczorem tam schował. Czasem jeszcze tak robił, chociaż zdarzało mu się też zostawiać je na widoku. Później wybiegam na podwórze i pędzę do stodoły. „Gdzieś tu musi być plecak Adama" – myślę. Znam już Norberta na tyle dobrze, żeby przeczuwać, że ukrył go poza domem, może nawet w miejscu, w którym odebrał życie swojemu rywalowi. Na widok słupa, przy którym znalazłam zwłoki Adama, pod powiekami wzbierają mi łzy, ale nie zamierzam się mazać, nie teraz… Na antresolę wspinam się po przymocowanej na stałe drewnianej drabinie i kicham, bo unoszący się

w powietrzu kurz drażni moje nozdrza. Widzę widły, jakąś skrzynię pod skośnym dachem i coś, co wygląda jak rzucony na podłogę stary koc.

– Bingo – szepczę, unosząc brudny materiał, bo pod nim znajduję plecak.

„Kasa, którą jest wypchany, jest splamiona krwią Adama, ale jakie to ma znaczenie, czy wezmę ją ja, czy ktoś, kto kiedyś ją tu znajdzie?" – mówię sobie, schodząc na dół.

Norbert wrzeszczy. Jego głos niesie się po podwórzu, musiał stłuc szybę od piwnicy, robiąc coś, na co ja kilka tygodni wcześniej się nie zdobyłam.

– Zajebię cię, suko! – drze się, kiedy wchodzę do domu, później znowu zaczyna walić w piwniczne drzwi.

Nie mam wiele czasu. Okolica jest odludna, ale jego wrzaski w każdej chwili mogą zwabić jakiegoś grzybiarza czy przypadkowego rowerzystę.

W pierwszej chwili mam ochotę odjechać stąd audi. Wystarczyłoby zmienić mu tablice na te od furgonetki. Jednak szara i droga audica zbyt mocno będzie się rzucać w oczy, zwłaszcza w okolicy, w której zaginął jej właściciel, dlatego wychodzę z domu z kluczykami od furgonetki w ręku. Walizkę spakowałam w dwie minuty – sukienki z szafy, trochę kosmetyków, buty. Zamykając frontowe drzwi na klamkę, zerkam w stronę piwnicznego okienka i krzywię się, słysząc kolejne wyzwiska i groźby pod moim adresem.

Uruchamiając silnik, myślę o zaparkowanym na grobie Adama audi i czuję, że tym razem nie uda mi się zapanować nad łzami.

– Tak bardzo mi przykro – szepczę, wyjeżdżając za bramę.

Na szosie zdaję sobie sprawę, że nie mam pojęcia, dokąd jadę. Wiem tylko, że jestem wolna, i napawam się tym uczuciem, śpiewam w duchu pieśń wyzwolenia. Mijając jedno z pobliskich jezior, znowu zaczynam płakać. Tak dawno nie widziałam świata… Droga przede mną jest niemal pusta, od czasu do czasu mija mnie jakaś ciężarówka. Jadę dość wolno, nie czuję się za kierownicą zbyt pewnie, nie mam dużego doświadczenia. W tym jednak momencie najważniejsze jest to, że z każdym kilometrem bezpowrotnie oddalam się od mordercy i od domu, który był moim więzieniem.

25.
ZUZANNA

Jestem jakieś pięć kilometrów od domu, w którym uwięziłam Norberta, kiedy na skraju drogi widzę patrol drogówki. Widok policji sprawia, że dosłownie sztywnieję ze strachu, ale tym razem mam szczęście. Kiedy ich mijam, jeden z mundurowych w ogóle nie zwraca na mnie uwagi, a drugi obojętnym wzrokiem zerka na furgonetkę i patrzy w głąb drogi, wyraźnie zainteresowany jadącym za mną wypasionym czarnym bmw.

– Bóg istnieje? – mruczę, zwalniając przed zakrętem.

Jednak mimo że mnie nie zatrzymali, ogarnia mnie podły nastrój, a przez moją głowę przelatują dziesiątki ponurych myśli. Kiedy wpadnę, gliniarze, ręka w rękę z prokuratorem, pomyślą, że zabiliśmy z Norbertem Adama, żeby wyłudzić od niego kasę i ukraść mu szpanerskie auto. Za nic nie uwierzą w moją wersję, bo przecież z boku wygląda to tak, jakbym nawiała z byłym facetem i uwiła sobie z nim miłosne gniazdko, a później, po gwałtownej kłótni, od niego uciekła. Sypiałam z nim, a oni to odkryją. Gdy po śmierci matki okazałam słabość i uległam mu, nie było już odwrotu. Wiedziałam, że się dowiedzą. Potrafią znajdować ślady nasienia na pościeli, mają różne sposoby, oglądałam przecież kiedyś *Kryminalne zagadki Miami*… „Kiedy mnie dorwą, zrobią ze mnie bezwzględną morderczynię, a w najlepszym wypadku wspólniczkę mordercy. Będą się upierać, że brałam udział w zabójstwie Adama, działając w zmowie z Norbertem, zwalą to na mnie, nie wywinę się" – myślę i zaczyna mnie ogarniać panika.

Zwalniam, widząc przydrożną knajpę, zjeżdżam i parkuję furgonetkę za jedną ze stojących tam ciężarówek w taki sposób, żeby nie było jej widać przez okna drewnianego zajazdu. Później siedzę w aucie i zastanawiam się, co dalej. Jeśli sprawą naszego tajemniczego zaginięcia żyje cała Polska, a domyślam się, że tak właśnie jest, moją twarz może rozpoznać każdy, kto od czasu do czasu zerka na Onet czy Interię. Zna ją pewnie również starsze pokolenie czytające tradycyjną prasę i może nawet nastoletnie szczyle lubiące śledzić niewyjaśnione sprawy.

– Kurwa! – W bezsilnej złości walę dłonią w deskę rozdzielczą i wysiadam z furgonetki, żeby bezpiecznie skryta przed ludzkim wzrokiem za naczepą stojącej obok ciężarówki rozprostować nogi i przez chwilę pomyśleć.

Spaceruję wokół samochodu, kiedy w oko wpada mi targana lekkim wiatrem leżąca na ziemi lokalna gazeta i nagle myślę o Juliuszu. Jest dziennikarzem, redaktorem naczelnym tygodnika poświęconego naszej okolicy i jednocześnie naszym stałym pacjentem. Mówimy sobie po imieniu i często wpadamy na siebie w centrum, a ostatnio w kolejce po bajgle. Juliusz również lubi te z wędzonym łososiem – nie żeby teraz miało to jakiekolwiek znaczenie… Schylam się po porzuconą przez kogoś gazetę i mimo że numer jest niekompletny i lekko naddarty, widzę ostatnią stronę z podanymi w stopce numerami telefonów do redaktorów, w tym i do niego.

Juliusz to facet, któremu ufam. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale nagle zdaję sobie sprawę z tego, że ze wszystkich ludzi, których znam, to właśnie jemu chciałabym opowiedzieć moją historię. Dzięki temu mam szansę przekazać wszystkim, co tak naprawdę wydarzyło się w ciągu ostatnich tygodni, a Alicji pomóc odnaleźć miejsce pochówku syna. Jest wredną suką, ale nawet taka żmija jak ona nie zasługuje na lata niepewności i cierpienia…

Nie mam telefonu, ale to nie problem. Po parkingu kręcą się ludzie, głównie faceci. Typuję tego, który wygląda na miłego gościa, i podchodzę do niego, kiedy otwiera samochód.

– Umówiłam się tu z wujkiem, ale rozładowała mi się komórka i nie wiem, jak dać mu znać, że jestem trzy godziny wcześniej – kłamię jak z nut.

– Spadaj, cwaniaro. – Niestety koleś mimo sympatycznego wyglądu okazuje się opryskliwym bucem.

Szukam więc wzrokiem następnego i tu mam więcej szczęścia – zbliżający się do siedemdziesiątki siwy szczupły mężczyzna w jasnym prochowcu po krótkiej chwili wahania wręcza mi swoją komórkę.

– Wyłącznie krótka krajowa rozmowa – zaznacza.

– Jasne, dziękuję. – Uśmiecham się i wklepuję wyuczony na pamięć numer naczelnego.

Juliusz odbiera już po drugim dzwonku. Chyba coś je, tak przynajmniej brzmi jego głos, kiedy mamrocze:

– Tak, kto mówi?

– Cześć, tu Zuzanna. Zajmowałam się kiedyś twoim uzębieniem, pamiętasz? – rzucam cicho, a on przez dłuższą chwilę milczy.

– To jakiś żart?! – pyta w końcu ostrym tonem, wyraźnie mi nie dowierzając, chociaż przecież zna mój głos.

Podejrzliwie przygląda mi się również stojący tuż obok właściciel telefonu, ewidentnie to, co mówię, nie brzmi mu jak rozmowa z wujkiem.

– Jestem kilkanaście kilometrów od miasteczka, na parkingu zajazdu Biały Jeleń.
– Jak to mydło? – pyta, a ja przez krótką chwilę nie mam pojęcia, o czym on mówi, i dopiero po chwili przejaśnia mi się w głowie.
– Tak. – Uśmiecham się. – Jestem sama i chcę ci opowiedzieć, co się stało. Jeśli coś komuś wygadasz, nie usłyszysz ode mnie ani słowa – grożę. – Przyjeżdżaj teraz, czekam na końcu parkingu, przy billboardzie z reklamą HBO. To pa, wujku – mówię i się rozłączam.
– Dziwna rozmowa. Mam nadzieję, że nie masz żadnych problemów? – Koleś od komórki najwyraźniej ma serce we właściwym miejscu, bo wydaje się szczerze zainteresowany moim losem i nawet nie wygląda przy tym na jakiegoś zboczura.
– Wszystko jest okej, dziękuję panu. – Uśmiecham się nieśmiało i oddaję mu telefon.
– Rodzice wiedzą, gdzie jesteś? – pyta.
– Stuknęła mi już osiemnastka. – Mrugam do niego, a on kiwa mi głową na pożegnanie i wsiada do swojego wgniecionego z boku forda.
Wracając do furgonetki, myślę, że nie powinnam dalej nią jechać. Lepiej złapać stopa, mówię sobie, siadając na betonowej podstawie olbrzymiego billboardu, z którego spoglądają na mnie bohaterowie jednego z ulubionych seriali, i przez jedną krótką chwilę zastanawiam się, jak potoczą się ich losy w długo przeze mnie wyczekiwanym trzecim sezonie, ale szybko wracam do rzeczywistości i uważnie się rozglądam, patrząc na to, co się dzieje na parkingu. Później zastanawiam się, czy Juliusz wezwie psiarnię, ale dochodzę do wniosku, że nie. Gdybym była nim, wolałabym usłyszeć gorącą historię z ust poszukiwanej od kilku tygodni, zaginionej w niewyjaśnionych okolicznościach dziewczyny niż spieprzyć wszystko i jak ostatni konfident zadzwonić po gliny. „Nie, Juliusz tu przyjedzie i będzie sam” – mówię sobie.
I faktycznie, mija jakaś godzina, może nieco mniej, kiedy widzę jego starego terenowego opla wjeżdżającego na parking przed Białym Jeleniem. Parkuje na samym skraju placu, kilka metrów ode mnie, i urywanie trąbi. Mrużę oczy, sprawdzając, czy jest w aucie sam, ale wygląda na to, że tak. Podbiegam więc do jego samochodu, otwieram drzwi od strony pasażera i wsiadam.
– Cześć – rzucam, a on przez dłuższą chwilę się na mnie gapi, jakby nie potrafił uwierzyć w to, co widzi.
– To naprawdę ty – mówi w końcu.
W oczach ma ciepło, sprawia wrażenie kogoś, kogo naprawdę cieszy mój widok i przez jedną krótką szaloną chwilę mam ochotę się do niego przytulić. Może dlatego, że wygląda tak tatuśkowato w beżowym swetrze z warkoczem i ze schludnie przystrzyżoną ciemną brodą, w której lśnią pojedyncze nitki siwizny.
– Ludzie myślą, że nie żyjesz – mówi. – Większość osób obstawia, że policja znajdzie już wyłącznie twoje ciało – dodaje cicho, jego ciemne oczy są wyjątkowo poważne i skupione. – Wszystko z tobą dobrze? Potrzebujesz pomocy czy może…
– Potrzebuję wielu rzeczy, ale wszystko po kolei. – Uśmiecham się, chociaż chce mi się płakać.
Jego przyjazd rozwalił mnie emocjonalnie. Jest dla mnie zupełnie obcą osobą, po prostu facetem, z którym czasem gawędzę, przygotowując go do wizyty i kupując bajgle. Wiekowo mógłby być moim ojcem, ale to nie on rzucił wszystko i przyjechał po mnie, tylko Juliusz…
– Kupić ci coś do jedzenia? – pyta nagle, a ja ocieram z policzków łzy i rzucam krótkie: „później”.
Zanim rozpoczynam całą historię, Juliusz pyta, czy może mnie nagrać.
– Możesz – zgadzam się, a on włącza nie tylko dyktafon, ale również funkcję nagrywania w swojej komórce.
– Dla pewności. – Uśmiecha się, kładąc oba urządzenia na desce rozdzielczej, a ja zaczynam mówić.
Opowiadam mu o byciu z Adamem, naszych kłótniach, wspólnej pracy i codzienności, a w końcu o tamtej przeklętej pełnej alkoholu imprezie na działce u Błażeja. O tym, że spanikowaliśmy po potrąceniu rowerzysty, i o tej koszmarnej, bestialskiej chwili, kiedy wlekliśmy jego bezwładne ciało w głąb lasu. Później mówię o esemesie od szantażysty, moich desperackich nocnych poszukiwaniach Adama w ruinach opuszczonej fabryki i mojej naiwnej zgodzie na samotne spotkanie z kolesiem, który chciał nas wydoić z kasy.
– Zgodziłam się, bo nie miałam wyjścia… On straszył, że jeśli nie przyjdę, nigdy więcej nie zobaczę Adama – szepczę.
Chwilę później dodaję, że dopiero przy spotkaniu w lesie zdałam sobie sprawę, że to Norbert, a zaskoczony Juliusz w tym miejscu mi przerywa.
– Nie poznałaś swojego byłego? – dziwi się.
– Wtedy, w chwili wypadku? Nie. Miał dość długie włosy, był znacznie lepiej zbudowany niż zapamiętany przeze mnie młody chłopak, a połowa jego twarzy była we krwi. Nie poznałam go, chociaż przez moment pomyślałam, że gdzieś go już widziałam. Lata temu golił głowę na łyso i nosił kozią bródkę. Wyglądał zupełnie inaczej.
– Okej i co dalej?
– Wyrzucił mój telefon i porwał mnie. Wywiózł kilkanaście kilometrów od domu i zaczął gadać o tym, że wciąż mnie kocha.
– Więc nie chciał więcej kasy?

– Nie, chciał mnie – mówię i opowiadam o martwym Adamie w stodole, moim szoku, panice, łzach i nocach, które spędzałam zamknięta w sypialni z zakratowanym oknem.

A później cicho, łamiącym się głosem, wyznaję, że sypiałam z Norbertem.

– Nie wiem, jak to się stało, ja… Może dlatego, że to mój były i już kiedyś to z nim robiłam, a tam, w tamtym domu, czułam się taka samotna… Po śmierci mamy miałam wrażenie, że zostałam na świecie zupełnie sama. – Płaczę, a Juliusz spogląda na mnie wyraźnie zszokowany.

– Czyjej mamy? – pyta.

– Mojej. Wiem, że się zabiła, Norbert bywał w miasteczku i powiedział mi, że…

– Zuza, twoja matka żyje.

– Co? – pytam, pewna, że się przesłyszałam.

– Twoja mama żyje. Kilka dni temu robiliśmy z nią wywiad do kolejnego wydania gazety, a dziś rano dzwoniła, żeby zapytać, kiedy rozmowa się ukaże.

– To skurwysyn!

Nie czekając na odpowiedź Juliusza, wysiadam z jego wozu i w bezsilnej złości kopię leżącą na parkingu puszkę po coli. Okłamał mnie! Ten wszarz wcisnął mi bajeczkę o śmierci mojej matki, żeby jeszcze bardziej odseparować mnie od domu i dawnego życia i jednocześnie całkowicie uzależnić od siebie. Mówił, że mnie kocha, a jednocześnie skazał mnie na piekło wyrzutów sumienia, każąc mi wierzyć, że pośrednio przyczyniłam się do jej samobójstwa. To dlatego nie miał ze sobą klepsydry, wszystko to było wierutnym kłamstwem, a ja dałam się nabrać jak ostatnia naiwna!

– Sukinsyn! – klnę, po czym z powrotem wsiadam do samochodu Juliusza. – Powiesz jej, że żyję? – proszę, kiedy już otrząsam się z pierwszego szoku. – Ona musi to wiedzieć. Ale nie mów nikomu innemu.

– Zabiłaś go? – pyta współczującym tonem, ale oczy mu błyszczą, widzę, że zwietrzył dobry materiał, który zapewne sprzeda gdzieś wyżej, do ogólnokrajowych wiadomości.

– Nie. Przez chwilę o tym myślałam, miałam nawet w ręku nóż, ale nie potrafiłam. Jest w domu, w którym mnie przetrzymywał, zamknięty w piwnicy. Poślij tam kogoś, kto „przypadkiem” go znajdzie. Nie wiem, znajomego rowerzystę czy kogoś… Tu masz klucze od kłódki i te od domu. – Wyjmuję je z kieszeni i kładę na desce rozdzielczej.

– Zawsze można anonimowo zawiadomić policję – sugeruje Juliusz.

– Można. Ale najpierw stąd odjadę. Dasz mi kilka godzin, zanim się z nimi skontaktujesz? Przynajmniej trzy – proszę.

– Dam ci trzy godziny, chociaż być może będę miał z tego powodu problemy, ale co dalej? Wiesz, że cię szukają? Policja, całe miasteczko, dziennikarze, prywatny detektyw – wylicza, jakbym sama nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Wiem.

– I co? Zamierzasz do końca życia uciekać? Musisz się do nich zgłosić, Zuzka. Zwłaszcza jeśli to, co mi właśnie powiedziałaś, jest prawdą. Są okoliczności łagodzące, zresztą, cholera, nie licząc machania łopatą, i to przecież pod przymusem, nie zrobiłaś nic złego. Okej, prawie nic złego. – Juliusz lekko się uśmiecha i pomiędzy nami zapada milczenie.

– Pojadę już – mówię.

– Zaczekaj, chciałbym jeszcze…

– Wiesz już wszystko. Daj mi swoje kluczyki – proszę go.

– Nie dam ci auta. Przepraszam cię, Zuza, ale mam umówione wywiady, a ty…

– Nie chcę twojego auta, choć to kuszące. Daj mi kluczyki. – Wyciągam rękę, a Juliusz po dłuższej chwili wahania kładzie je na mojej dłoni.

Wyrzucam je przez opuszczoną szybę po stronie pasażera. Upadają w trawę, kilka metrów od jego wozu.

– Nie no, poważnie? – Juliusz się krzywi, ale oczy mu się śmieją. – Mała spryciula – dodaje, domyślając się, że moje zaufanie ma jednak limity i chcę stąd odjechać, wiedząc, że on nie ma szans mnie śledzić.

– Dziękuję, że przyjechałeś – mówię i wysiadam. – I pamiętaj, potrzebuję jakichś trzech, czterech godzin, zanim pójdziesz z tym na psiarnię.

– To ja ci dziękuję. Uważaj na siebie i obiecaj, że nie zrobisz niczego głupiego – prosi. – I wróć szybko do domu, słyszysz?

– Ja już nie mam domu – rzucam, zamykam drzwi jego starego dżipa i szybkim krokiem idę w stronę furgonetki.

Boję się nią jechać. Jeśli wściekłe wrzaski Norberta sprawiły, że już ktoś go znalazł, policja być może właśnie szuka tego wozu, jeśli powiązała go z jego osobą… Decyduję jednak, że zaryzykuję. „Może nikt go jeszcze nie usłyszał” – pocieszam się, a wśród odludnych pól jest na to spora szansa.

Mijając Juliusza, który gramoli się właśnie z dżipa, żeby iść w trawę za kluczykami, urywanie trąbię i po chwili jestem na szosie.

* * *

Nie jadę daleko, ledwie trzydzieści kilka kilometrów. Później widzę olbrzymi przydrożny parking i zjeżdżam na niego z zamiarem złapania stopa. Ale najpierw siku i coś do jedzenia. Wyjmuję ze schowka okulary pani Marioli, w których co prawda nie za dobrze widzę, ale za to wyglądam jak ktoś zupełnie inny.

Kawa jest niedobra, ale czekoladowe ciasto przepyszne. Najchętniej zamówiłabym drugi kawałek, ale nie chcę zwracać na siebie uwagi. Po wyjściu z lokalu, gdzie udało mi się znaleźć całkiem czystą damską toaletę, wyjmuję z furgonetki walizkę, przerzucam sobie przez ramię plecak z kasą i lustruję wzrokiem otoczenie.

Do jednego z tirów podchodzi właśnie młody jasnowłosy chłopak. Ciężarówka jest na zagranicznych numerach, chyba łotewskich.

– Cześć – zagaduję go po angielsku. – Podrzuciłbyś mnie gdzieś?

– A konkretnie? – Uśmiecha się.

– A dokąd jedziesz?

– Szczecin – mówi, śmiesznie wymawiając nazwę jednego z najpiękniejszych polskich miast. – Zainteresowana?

– Jasne – mówię, a on otwiera kabinę, bierze ode mnie walizkę, którą umieszcza z tyłu, i gestem zaprasza mnie do środka.

Wdrapując się do samochodu po stromych schodkach kabiny, uśmiecham się pod nosem na myśl o tym, że chociaż raz mam szczęście. Kierowca jest cudzoziemcem i kompletnie mnie nie kojarzy. Dla niego jestem miłym przerywnikiem na długiej trasie. W dodatku okazuje się grzeczny i nie rzuca żadnych obleśnych tekstów. Mówi o swoim kraju, półrocznej córeczce Karinie i żonie, w której wydaje się bardzo zakochany. Żadnych przeciągłych spojrzeń w moją stronę, ciężkich łapsk na moim kolanie, chamskich aluzji. Droga mija nam szybko. Dobrze nam się gada, a on całkiem nieźle mówi po angielsku i jest interesującym towarzyszem podróży.

Żegnając się ze mną przed dużym przydrożnym motelem na obrzeżach miasta, o nic nie pyta, chociaż przecież samotna młoda dziewczyna z walizką zawsze wzbudza ciekawość.

– Trzymaj się – mówi tylko, podając mi mój bagaż, a ja wylewnie dziękuję mu za życzliwość.

Czasem świat jest dobry. Czasem…

26.
ZUZANNA

Motel jest tani, stary, ale czysty. Mam co prawda świadomość tego, że co noc sypiają w tej pościeli inni ludzie, głównie kierowcy ciężarówek i przypadkowi podróżni, ale na osłodę mam fakt, że łazienka jest niemal sterylnie wysprzątana i wzięłam właśnie jeden z najdłuższych gorących pryszniców mojego życia.

Telewizor jest przestarzały, żadna tam plazma. Leżąc w łóżku, przerzucam kanały w poszukiwaniu serwisów informacyjnych i w końcu natrafiam na migawki z mojego miasteczka.

– *Zaginiona kilka tygodni temu młoda pracownica gabinetu stomatologicznego udzieliła dziś wywiadu lokalnemu dziennikarzowi, twierdząc, że została porwana przez swojego byłego chłopaka, który w akcie zazdrości zabił jej obecnego partnera, lokalnego dentystę. Domniemany zabójca został dziś odnaleziony przez policję w domu, w którym przetrzymywano młodą kobietę, i przewieziony do aresztu. Według słów Zuzanny M. to on miał stać za zabójstwem zaginionego doktora Adama F. Dziewczynie udało się zwabić go do piwnicy i uciec, nie jest jednak znane obecne miejsce jej pobytu* – relacjonuje stojący naprzeciwko wejścia do naszego salonu młody ciemnowłosy reporter TVN-u.

Później w telewizji pokazuje się moja matka. Chyba jest trzeźwa, ale wygląda strasznie. Siwy odrost, zmięta sukienka, cienie pod oczyma.

– Wiedziałam, że moje dziecko żyje – powtarza kilka razy, a obejmujący ją ramieniem Tadeusz stoi milczący i wyraźnie skacowany.

Widok matki sprawia, że się rozklejam, wyłączam telewizor i skulona na łóżku płaczę, a moje łzy wsiąkają w spraną kwiatowo pachnącą poszewkę pod moją głową.

* * *

Przez kolejne dwa dni prawie nie wychodzę z pokoju. Leżę na łóżku, oglądam telewizję, obżeram się kupowanymi w automacie batonami i żrę chipsy. Wszystko to przepijam colą i przytarganym z pobliskiego sklepu piwem. Bałam się iść po alkohol, byłam pewna, że ktoś mnie rozpozna. Ale stojący za ladą rudawy trzydziestokilkulatek z fatalną cerą ledwo na mnie spojrzał, kiedy położyłam na ladzie kilka butelek żywca, wydał mi resztę i stracił mną zainteresowanie.

Przed południem trzeciego dnia pobytu w motelu wybieram się na długi spacer po okolicy. Nie ma tu wielu atrakcji, głównie zdobne w dźwiękoszczelne ekrany drogi szybkiego ruchu, tanie motele, równie marne knajpy i przydrożne parkingi. Mam zawracać, kiedy widzę migający czerwony neon z napisem „Hot girls".

Buda jest knajpą serwującą głównie piwo i droższe alkohole, ale podest za barem i zdobiąca go metalowa rura nie pozostawiają cienia wątpliwości – wieczorami dzieje się tu coś znacznie więcej niż pogaduszki przy kuflu. Teraz jest jednak cicho i pusto. Przy stoliku w głębi siedzi chudy facet po pięćdziesiątce i wystukuje coś w telefonie. Na mój widok wstaje i podchodzi do baru, przy którym stanęłam.

– Zgubiłaś się, dziewczynko? – Puszcza mi oczko.

– Szukam pracy.

– U mnie jej raczej nie znajdziesz.

– Czemu? Nie jestem dość ładna? – Wyzywająco patrzę mu w oczy, a on przesuwa wzrok na mój dekolt i pyta, ile mam lat.

– Dwadzieścia jeden – kłamię, chcąc trochę się odmłodzić, a przy okazji nie podawać mu swojego prawdziwego wieku.

– Umiesz tańczyć? Pracowałaś już kiedyś w podobnym miejscu? – Koleś mruży wąskie niebieskie oczy i jeszcze raz zerka w mój dekolt. – Zgrabna jesteś, to ci trzeba przyznać. Włosy za krótkie, ale są peruki. Malujesz się czasem? Matka ci nie powiedziała, do czego służy szminka?

– Maluję się. Umiem też doczepiać sztuczne rzęsy i magnetyzować spojrzeniem. – Mrugam do niego, a on wybucha śmiechem.

– Proszę, proszę, jaka kokietka – mruczy. – Żadnych widocznych blizn na ciele?

– Żadnych.

– Wyczucie rytmu?

– Jak u Madonny. – Uśmiecham się lisio.

– Pyskata i cycata. Lubię to połączenie. – Rechocze.

– Co z umową o pracę? Czy to będzie problem, jeśli powiem, że zgubiłam gdzieś dowód?
– O ile nie będziesz miała problemu z przyjmowaniem gotówki do ręki, raczej nie. Tańczysz, w przerwach namawiasz kolesi do kupowania drinków, również dla ciebie, i nie okradasz klientów. Jeśli dostanę skargi w temacie, dzwonię po psy, a coś mi mówi, że to ci się nie spodoba. – Właściciel tancbudy z golizną puszcza mi oczko i dodaje, żebym przyszła koło szesnastej. – Dziewczyny dobiorą dla ciebie ciuchy i pokażą ci, jak się masz malować. Na scenę wejdziesz późnym popołudniem, wtedy tańczą świeżynki. Widownia bywa chamska i wulgarna. Będą gwizdać, rzucać w ciebie drobnymi monetami i używać brzydkich słów. Poradzisz sobie z tym, księżniczko? Bo jeśli przybiegniesz do mnie z płaczem…
– Poradzę sobie – wchodzę mu w słowo. – I może nawet któregoś dnia zaczną we mnie rzucać banknotami.
– Marzycielka, to mi się podoba! Majtek nie zdejmujesz, żeby była jasność. Tylko górę. Jeśli nabierzesz ochoty na przespanie się z którymś z klientów, nie obchodzi mnie, co robisz, byle nie tu. Seks na parkingu za lokalem nie jest mile widziany. Wszystko jasne?
– Jak słońce.
– Cieszę się, dziecinko. I mów mi Ted. – Mój nowy szef wyciąga do mnie rękę i powtarza, żebym zjawiła się o szesnastej. – Gotówkę wypłacam co tydzień, plus napiwki. Jeśli uda ci się zostać pupilką publiczności, będziesz zadowolona z zarobków – zapewnia mnie. – Masz jakieś imię? – pyta, a ja w panice zastanawiam się, co odpowiedzieć.
Wtedy on dodaje, że kij z imieniem i każe mi wymyślić sobie jakąś ksywkę.
– Xenia – mówię, a on z uznaniem kiwa głową.
– Całkiem niezłe. Widzę, że czujesz tę branżę.
Rozstajemy się przy wejściu i wracam do motelu, żeby złapać trochę snu. Po drodze kupuję banany i jem jednego, idąc wzdłuż szosy. Mija mnie radiowóz, ale już nie panikuję. Zrozumiałam, że nawet jeśli ludzie śledzą wiadomości w sieci, w prawdziwym życiu nie łączą faktów. Widząc mnie, nikt nie myśli o dziewczynie z serwisów informacyjnych. Na ulicy jestem tylko przeciętną fatalnie ostrzyżoną brunetką w okularach.

* * *

Kilka godzin później, przygotowując się do wyjścia, zastanawiam się, czy taniec w ostrym scenicznym świetle przydrożnej knajpy ze striptizem to na pewno dobry pomysł. Będzie mnie oglądać wielu ludzi, może nawet gliniarze wpadający tam po służbie. Ale czy ktokolwiek mnie pozna, widząc wijącą się na scenie mocno umalowaną półnagą laskę w peruce? „Będą patrzyć na cycki” – pocieszam się, wychodząc z motelowego pokoju.
Z wizją pokazania się światu w stroju Ewy nie mam najmniejszego problemu. Nigdy się nie obruszałam, kiedy faceci mnie podrywali czy klepali po tyłku. Może nie idę z duchem czasu, ale cały ten współczesny krzykliwy feminizm zupełnie do mnie nie przemawia. Natura dała nam seksapil, żebyśmy posiadały władzę nad mężczyznami. Tym zrekompensowała nam fizyczną wątłość – ciałem. Lubię, kiedy faceci mnie pragną, więc jeśli mam na tym zarobić, mogę paradować półnaga, nie ma problemu. Kasa od Adama szybko się przecież skończy. W plecaku znalazłam zaledwie dwadzieścia jeden tysięcy, resztę Norbert zdążył rozpieprzyć. Muszę zarabiać, zresztą to tylko chwilowe, na przeczekanie. Później wymyślę coś lepszego.
Pierwszy taniec idzie mi średnio. Rura okazuje się wyzwaniem, zwłaszcza w butach na obcasach wysokością przypominających szczudła. Faceci gwiżdżą i faktycznie ciskają we mnie drobniakami, jednak w tłumie pijanych, spoconych i rozwrzeszczanych samców zauważam szczupłego młodego szatyna, który wpatruje się we mnie z nabożną wręcz czcią, a kiedy w przerwie wychodzę na papierosa, pojawia się przy wyjściu, opuszczając lokal w ślad za mną.
– Ładnie tańczysz – zagaduje mnie.
– Dzięki – mówię, wydmuchując dym gdzieś nad jego głową.
Będąc z Adamem, rzuciłam fajki, ale ostatnio znowu się w nich rozsmakowałam.
– Jak masz na imię? – pyta.
– Xenia – przedstawiam się scenicznym pseudonimem, a on wyciąga rękę i muska końcówkę mojej srebrnobiałej peruki.
– Fajna. Jesteś blondynką?
– Nie.
– To dobrze. Wolę brunetki.
– Podrywasz mnie? – pytam, a on się peszy.
– Nie, chciałem tylko pogadać. Jestem Szymon.
– Miło mi – mówię, ignorując rękę, którą do mnie wyciąga.
– Będziesz jeszcze dziś tańczyć?
– Tak, nieco później.
– Nigdy wcześniej cię tu nie widziałem.

– Bo dopiero dzisiaj zaczęłam.
– A co robiłaś wcześniej?
– Pracowałam w jednym z kasyn Monte Carlo – nabijam się z niego, a on parska śmiechem. – Czym się zajmujesz? – pytam, wgniatając niedopałek w beton.
– Mam firmę remontowo-budowlaną, nic wielkiego – mówi, ale jak dla mnie brzmi to całkiem nieźle.
– Żona wie, że tu jesteś? – Mrugam do niego, chcąc wysondować, czy kogoś ma, a on mówi, że nie ma ani żony, ani dziewczyny.
– Taki przystojniak? Gdzie się uchowałeś? – Muskam dłonią jego policzek i mówię, że muszę wracać do środka. – Jeśli chcesz dłużej ze mną pogadać, musisz postawić mi drinka.
– Jasne, kupię ci coś do picia. – Szymon wchodzi za mną do środka i siadamy przy jednym ze stolików w głębi lokalu.
Kilka godzin później odprowadza mnie do motelu. Kiedy to proponuje, przez dłuższą chwilę się waham. Nie powinnam mu zdradzać, gdzie mieszkam, ale on sprawia takie miłe wrażenie… Znam ten typ kolesia – nieśmiały, samotny, rozpaczliwie poszukujący miłości. Nie jest jakoś szczególnie przystojny, ale ma ciepłe piwne oczy i ładnie wykrojone usta. Jest też w miarę wysoki i nieźle zbudowany, podejrzewam, że zdarza mu się pracować fizycznie ręka w rękę z zatrudnianymi przez niego pracownikami. O ile oczywiście posiada jakąkolwiek firmę, bo przecież wiem, jak faceci potrafią kłamać. Ale na razie biorę jego słowa za pewnik, a on idzie obok mnie chodnikiem i mówi o zmarłej niedawno matce, z którą dzielił dom. Na wzmiankę o domu momentalnie wzmagam czujność. Miałabym nieprawdopodobne szczęście, gdyby trafił mi się wolny facet z domem.
I okazuje się, że tak właśnie mi się trafiło. Kilka dni później Szymon zaprasza mnie do siebie na obiad. Mieszka przy spokojnej wysadzanej starymi drzewami ulicy, w domu, który z zewnątrz wygląda nieco jak z horroru, chociaż niezaprzeczalnie ma swój urok. Wykuszowe okna, niewielka wieżyczka ze szpiczastym dachem i wiekowe drzewa w ogrodzie – willa jest stara i zaniedbana, ale piętrowa, solidna i urokliwa. „Rozegraj to dobrze, a lada moment on zaproponuje ci wolny pokój” – mówię sobie, kiedy wchodzimy do ogrodu.
– Jak tu pięknie. – Uśmiecham się.
– To dobra dzielnica – mówi, przepuszczając mnie w drzwiach.
Na obiad podaje własnoręcznie przyrządzone klopsy z surówką z buraczków, a później kupiony po drodze sernik.
– Mama go lubiła – zdradza, zanim przeprasza, że ciągle ją wspomina.
– Kiedy odeszła? – pytam.
– Trzy tygodnie temu.
– Przykro mi. – Głaszczę go po dłoni, w jego oczach widzę łzy.
„Trzy tygodnie wcześniej stracił matkę i spędza wieczory w szemranej spelunie ze striptizem? Musi być kompletnie porąbany albo rozpaczliwie samotny” – myślę, lustrując wzrokiem pełen bibelotów i starych fotografii salon.
– Kochałeś ją?
– Nie. – Jego odpowiedź mnie zaskakuje. – Była dla mnie okrutna, wyszydzała mnie – dodaje szybko, w jego głosie słyszę napięcie. – Kiedy odeszła ode mnie żona, mówiła, że prawdziwy facet nigdy by na to nie pozwolił. Była podła, ale w pewien sposób lubiłem z nią mieszkać. Dom bez niej jest… pusty – mówi cicho, a ja w duchu pieję z zachwytu, bo wygląda na to, że mam nieprawdopodobny fart.
„Koleś jest zagubiony, nieśmiały, infantylny i niepewny siebie. A ja świetnie wiem, jak podbudować męskie ego” – myślę, głaszcząc go po policzku.
– Tylko kompletna idiotka mogła opuścić takiego faceta – mówię, patrząc mu w oczy, a on gwałtownie się czerwieni i spuszcza wzrok.
– Nie radzę sobie za dobrze z kobietami – wyznaje rozbrajająco szczerze, lekko się przy tym zacinając.
– Ze mną poradziłeś sobie świetnie – zapewniam go.
– Ty jesteś inna. Delikatna, miła, słodka – wymienia.
Nie jestem pewna, czy posiadam którąkolwiek z tych cech, ale za to dzięki temu wiem, jaką rolę mam przed nim grać. Więc szuka słodkiego dziewczęcia, nie lubi wulgarnych harpii. Klasyka, dokładnie tak jak Adam, przynajmniej na początku naszego związku.
– Ja też nie mam szczęścia do mężczyzn – zdradzam mu, nie dodając nic więcej, a on unosi moją dłoń do ust i całuje każdy mój palec, jeden po drugim.
– Zakochałem się, kiedy zobaczyłem cię na scenie. Wyglądałaś jak anioł w tej srebrnej peruce.
„Anioł z gołymi cyckami, dobre” – śmieję się w duchu, ale zachowuję kamienną twarz i pozwalam mu obcałowywać moje palce, a później przedramię, ramię i dekolt. Dopiero kiedy zbyt mocno się napala, lekko go odsuwam.
– Nie jestem jeszcze gotowa na taki krok – mówię, spuszczając oczy niczym jakaś bogobojna średniowieczna dziewica.
On zaczyna przepraszać. Jest spanikowany, boi się, że mnie uraził.
– Nie miałem cię za łatwą ani nic. Ja tylko…

– Ćśśś… – Przykładam mu palec do ust i wyciągam do niego rękę. – Zatańczmy. Znajdź w telefonie jakąś muzykę i spędźmy miłe popołudnie.

– Zatańczmy – zgadza się ze mną i po chwili klei się do mnie na środku salonu, a z oprawionego w srebrną ramkę zdjęcia na ścianie spogląda na nas jego zmarła niedawno matka.

Uśmiecham się do jej fotografii, bawi mnie jej zacięty wyraz twarzy i poorana zmarszczkami szyja. Musiała mieć syna w dość późnym wieku i wiele wskazuje na to, że wychowywała go w pojedynkę. „Krytyczna, zaborcza, złośliwa i apodyktyczna" – myślę, gładząc go po plecach.

Kiedy wychodzę, on pyta, czy jeszcze się zobaczymy.

– Jesteś taka piękna, kiedy tańczysz, pewnie wszyscy cię pożądają.

– Może, ale ja nie pożądam ich. – Uśmiecham się, a on się rozpromienia.

* * *

Kilka dni później, dokładnie tak, jak przewidywałam, Szymon proponuje, żebym zajęła jeden z pokoi w jego domu, pomaga mi przewieźć rzeczy z motelu i ścieli wygodne szerokie łóżko w gościnnym pokoju. W zamian proponuję zrobienie kolacji i przy okazji zapamiętuję, gdzie trzyma noże. Kiedy idzie do łazienki, biorę jeden z największych, na palcach przemykam do swojego pokoju i wsuwam go pod materac. Na wszelki wpadek. Życie nauczyło mnie, że faceci tacy jak on – desperacko poszukujący miłości – są albo zupełnie niegroźni, albo kompletnie popierdoleni. On wydaje mi się niegroźny, ale przecież nie mam takiej pewności. Nóż sprawi, że będę lepiej spać i swobodniej się czuć w jego domu.

Jemy w salonie, na tę okazję Szymon nakrył do stołu wyjętą z kredensu porcelaną i rozlał czerwone wino do kryształowych kieliszków. W kącie olbrzymiego pokoju widzę pianino.

– Twoja mama grała? – pytam.

– Tak. Mnie też zmuszała, kiedy byłem mały, nienawidziłem tego.

– Pozbądźmy się go więc – mówię, a on robi zszokowaną minę.

– Mama nigdy by mi nie…

– Teraz ty jesteś panem tego domu – karmię go pochlebstwami, które łyka jak młody pelikan i momentalnie się rozpromienia.

– Myślisz, że moglibyśmy? Nienawidzę tego pianina.

– Jasne, że możemy. Daj ogłoszenie, że sprzedasz, a ktoś…

– Oddam za darmo – mówi i nagle wybucha śmiechem.

Wygląda teraz niesamowicie chłopięco i rozczulająco.

„Ludzie ciągle się ranią. Silniejsi dręczą słabszych, mężowie żony, żony mężów, matki synów, czasem córki. Będę dla niego dobra" – obiecuję sobie, patrząc w jego roześmiane oczy.

Wiem, że prędzej czy później on będzie chciał seksu. I jeśli to ma mi zagwarantować pobyt w tym domu, pójdę z nim do łóżka. Trudno mi powiedzieć, jak długo tu zostanę. Kilka tygodni, miesięcy, może nawet lat? Czas pokaże. Życie nauczyło mnie elastyczności, nieprzywiązywania się do ludzi i miejsc, chociaż gdzieś w głębi serca marzę o prawdziwym domu, tak samo jak marzył o nim Norbert. I nagle, myśląc o nim, czuję pod powiekami łzy. Dorastaliśmy w podłych miejscach, oboje. Może dlatego tak naiwnie wierzył, że razem stworzymy coś lepszego? Dzieciaki z popapranych emocjonalnie rodzin często rozpaczliwie pragną zbudować coś idealnego, ale zazwyczaj nie potrafią. Nie umiem tego ja i nie umiał Norbert, który marząc o przyszłości ze mną, po drodze zrobił coś, co przekreśliło jego szansę na normalne życie i zrobiło z niego mordercę.

– Zasmuciłaś się? – pyta Szymon.

W jego piwnych oczach dostrzegam niekłamaną troskę.

– Odrobinę – mówię. – To tylko złe wspomnienia.

– Przyjdę dziś popatrzyć, jak tańczysz – obiecuje.

– Nie przeszkadza ci to, że się tam rozbieram?

– Nie. Czuję się dumny, że pragną cię wszyscy, a ty jesteś moja. – Uśmiecha się.

– Stąd mam znacznie dalej do pracy.

– Zawiozę cię – obiecuje.

– Spotykałeś się kiedyś z którąś z dziewczyn z tamtego lokalu? – pytam, kiedy dojadamy kolację, a on wygląda na zmieszanego.

– Z jedną – przyznaje. – Ale nie wypaliło.

„Ciekawe z którą" – zastanawiam się, ale nie chcę go wypytywać. Na to jest jeszcze zbyt wcześnie.

W nocy kilka razy się budzę i nasłuchuję. Stary dom trzeszczy, drzewa za oknem szumią, targane porywistym jesiennym wiatrem, pod materacem spoczywa nóż. W pokoju jest przytulnie i ciepło, a ja sama jestem najedzona i podlana do snu kilkoma kieliszkami czerwonego wina. Jego matka mnie nie znosi, tak samo jak nie znosiła mnie Alicja. Zdaję sobie sprawę, że ona nie

żyje, ale i tak ciągle śledzi mnie jej zimny wzrok, którym wodzi za mną zza szklanych szybek w ramkach fotografii. Kiedyś się jej pozbędę, tak samo jak pianina. Kiedyś wygram, przecież ja zawsze wygrywam. Kiedyś, ale jeszcze nie teraz…

Rano Szymon parzy dla nas kawę. Obserwuję go kręcącego się po kuchni i dopada mnie nieprzyjemne uczucie *déjà vu*. „Tak samo kręcił się po kuchni Adam" – myślę i nagle do mnie dociera, że od lat realizuję ten sam scenariusz. Oplatam się jak bluszcz wokół kolejnego mężczyzny i liczę na to, że on da mi szczęście. Czy tym razem się uda?

Biorę od niego kawę. On siada naprzeciwko, w jego oczach widzę czułość i ogarnia mnie przyjemne uczucie bezpieczeństwa, czuję się jak tonący w niezbyt głębokiej wodzie człowiek, który nagle odnajduje mulisty grunt pod nogami.

Po południu zabierają pianino, a Szymon całuje mnie w usta. Zza firanki domu naprzeciwko przygląda się nam starsza kobieta w czerwonym szlafroku. Posyłam jej uśmiech i macham do niej. Szybko się zadomowiłam, jak zawsze. Jestem jak pojedynczy element puzzli, zawsze szybko dopasowuję się do nowej sytuacji i całej reszty otoczenia. Nie wiem, jak potoczy się moje życie, ale jestem pewna, że cokolwiek się stanie, poradzę sobie. Jestem młoda, ładna i sprytna. Przetrwam bez względu na wszystko. „Tu nikt mnie nie znajdzie" – mówię sobie.

* * *

Dzień później idę do fryzjera, gdzie proszę o rozjaśnienie włosów na platynę. Fryzjerka trochę narzeka na tak radykalną zmianę, dekoloryzacja zajmuje całe wieki, ale wychodząc z salonu, w niczym nie przypominam tamtej ciemnowłosej asystentki stomatologicznej z zabitego dechami miasteczka nad jeziorem.

Szymonowi się nie podobam.

– Mówiłem ci, że wolę brunetki – narzeka na mój widok, a ja obojętnie wzruszam ramionami.

– Wynagrodzę ci to – obiecuję, wtulając się w niego, a on całuje mnie w czubek głowy. – I zawsze są peruki. – Śmieję się.

Wtedy on mówi coś, czego kompletnie się nie spodziewałam.

– Tak naprawdę mama nie umarła w szpitalu. Odeszła tutaj, w domu, zabiłem ją i ukryłem ciało pod podłogą – słyszę.

Chwilę później budzę się z ochrypłym krzykiem i zdaję sobie sprawę, że przysnęłam w fotelu u fryzjera, z farbą na głowie.

– Kurwa – szepczę, korzystając z tego, że przy moim stanowisku nikogo akurat nie ma. Chwilę później parskam nerwowym śmiechem.

Z centrum odbiera mnie Szymon, widok platyny na mojej głowie mocno go zaskakuje, ale chyba mu się podoba.

– Wiem, że wolisz brunetki, ale…

– To tylko włosy – mówi, całując mnie w usta.

Postanawiam, że tej nocy pójdę z nim do łóżka. A później sprawię, że oszaleje na moim punkcie. Z Adamem się nie udało, wszystko poszło nie tak, ale z Szymonem mogę mieć więcej szczęścia. Nagle wyobrażam sobie siebie sadzącą tulipany w jego ogrodzie, odwiedzającą nas mamę, którą jakoś się w końcu ukradkiem wywabi z naszego miasteczka, i śnieżnobiały obrus na ciężkim dębowym stole. Dawniej marzyłam o wielkim świecie, chciałam uciec z dala od Polski i rodzinnego grajdołu, ale teraz… Może bezpieczny dom na przedmieściach Szczecina nie jest taką złą opcją. Może wszystko się jakoś poukłada.

Szymon wręcza mi kwiaty. Kupił je w drodze z pracy, są przepiękne.

– Dla ciebie, mój aniele – mówi.

* * *

Kolejne trzy tygodnie są sielanką. Sypiamy ze sobą, pijemy wino, tańczymy i grabimy zeschłe liście w ogrodzie. Jest mi z nim dobrze, otworzył się przy mnie, już nie jest taki nieśmiały, nie sprawia wrażenia neurotycznego desperata. Którejś nocy rozmawiamy o mojej pracy i nagle on mówi, że chyba jednak by wolał, żebym z niej zrezygnowała. Waham się, bo w końcu całkiem nieźle tam zarabiam, ale w końcu mówię: „okej". Wtedy on zapewnia, że się mną zaopiekuje, jego głos jest pełen czułości, niesie obietnicę wspólnych poranków, wyobrażenie prawdziwego domu.

Dzień później odprowadzam go do furtki, kiedy wychodzi do pracy, całuję go i wręczam mu zapakowane w srebrną folię własnoręcznie zrobione kanapki. Kiedy odjeżdża, patrzę za nim, dopóki światła jego wozu nie znikają za zakrętem, później kluczykiem przyniesionym z korytarza otwieram skrzynkę na listy. Folder reklamowy z ofertą biżuterii wygląda bosko. Może nawet namówię Szymona na kupienie mi jakiejś błyskotki.

Wtedy kątem oka dostrzegam jakiś ruch – w moją stronę idzie kobieta z domu naprzeciwko.

– Dzień dobry! – Macham do niej, wczuwając się w rolę sąsiadki idealnej, młodej żonki z przedmieścia, z szerokim uśmiechem i niewinną minką. – Mgliście dziś, jesień rozpanoszyła się na całego.

Podchodzi bliżej, staje tuż obok mnie i rzuca coś, co sprawia, że uginają się pode mną nogi.

– To ty jesteś tą zaginioną dziewczyną z telewizji, prawda? Tą dziewczyną dentysty, który przepadł bez śladu.

Szok jest tak duży, że nie potrafię wykrztusić nawet słowa, a ona dodaje, że latami pracowała jako fotograf i ma pamięć do twarzy.

– Powinnaś wrócić do domu, tęsknią za tobą – rzuca.

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi. – Nie czekając na jej odpowiedź, wchodzę do ogrodu, zaciskając palce na katalogu z biżuterią.

W domu wrzeszczę, ryk wściekłości wydobywa się z mojego gardła i wibruje, obijając się o ściany. Z zawieszonej w przedpokoju fotografii spogląda na mnie zmarła matka Szymona, uśmiecha się. Wygrała.

Pakuję się w kilka minut, mam niewiele rzeczy i jestem w skrajnej panice. Jeśli starucha z przeciwka wezwała gliny, lada moment przed furtką będzie radiowóz. Kiedy wychodzę z domu, wścibska raszpla śledzi mnie zza firanki. „Niech cię diabli, babsztylu" – myślę. Katalog z biżuterią wrzucam z powrotem do skrzynki, przed wyjściem dosłownie w locie napisałam na kopercie dwa słowa: „Szymon, przepraszam". W dół uliczki biegnę, kółka walizki terkoczą na nierównych chodnikowych płytkach, w głowie mi huczy, do oczu cisną się łzy. Nie mam pojęcia, dokąd idę, gdzie będę tej nocy spać i co stanie się dalej, ale wiem jedno – poradzę sobie. Ja zawsze sobie radzę. Cokolwiek się wydarzy, przetrwam.

Kilka ulic dalej udaje mi się złapać autobus i wtedy mi się przypomina upchnięty pod materac nóż. Szymon kiedyś go znajdzie i będzie mu przykro. Zaczynałam coś do niego czuć, a on pewnie pomyśli, że byłam wyrachowaną zakłamaną suką, która zabawiła się jego kosztem. Jednak szybko przestaję się tym zadręczać. Jest dorosły, poradzi sobie. Ludzie zawsze się ranią, taką mają naturę. Teraz trzeba uciekać, znaleźć nowy sposób na życie i miejsce do spania. W autobusie jest kilka osób, ale nikt się mną nie interesuje i powoli zaczynam się uspokajać. „Dla nich jestem tylko młodą blondynką z walizką" – pocieszam się, zaciskając palce na pasku plecaka Adama, w którym trzymam kasę.

Wysiadam kilka przystanków dalej, nie chcę zbyt długo jechać tą samą linią. Przed sklepem widzę młodego faceta, który wsiada właśnie do ciemnogranatowego volkswagena.

– Hej, podrzuciłbyś mnie? – pytam, kiedy do niego podchodzę.

Wygląda na zdziwionego, chyba się waha, ale w końcu kiwa głową. Pytam, dokąd jedzie. Mówi, że pod Świnoujście, a ja lekko się uśmiecham. „Dawno nie widziałam morza" – myślę, kiedy on wkłada do bagażnika moją walizkę. Plecak trzymam na kolanach, nie spuszczam go z oczu. Mam jeszcze trochę kasy i nie ściga mnie żaden jadący na sygnale radiowóz. Jest dobrze. Prawie idealnie.

27.
ZUZANNA

Świnoujście szybko okazuje się pułapką. Zatrzymuję się na prywatnej kwaterze. Właścicielka, ruda, mocno otyła kobieta koło czterdziestki, nie zadaje mi zbyt wielu pytań, po prostu wręcza mi klucze. Dom jest stary i zaniedbany. Ona sama mieszka na parterze, mając dla siebie trzy całkiem spore pokoje, my, lokatorzy, gnieździmy się na piętrze, dzieląc wąski ciemnawy korytarz i zajeżdżającą stęchlizną niewielką łazienkę. Na górze są trzy pokoje. Ten, który wynajęłam, jest wąski i długi, skąpo umeblowany. Łóżko, szafa, stolik pod oknem z rozchybotanym krzesłem w komplecie i stary telewizor – dysponuję jedynie podniszczonymi meblami i spraną pościelą z kory, której zapasowy komplet leży na górnej półce szafy. Oprócz mnie na górze mieszka młoda Ukrainka, która całe dnie spędza w pracy, i dość ponury, mrukliwy typ koło czterdziestki, na którego wpadłam kiedyś na schodach. On też dużo pracuje i zazwyczaj całe dnie spędzam na piętrze sama, co chyba nie do końca podoba się właścicielce domu.

– A pani tak rzadko wychodzi, jodu trzeba zażywać – zaczepia mnie któregoś dnia, kiedy wracam ze sklepu.

– Mam agorafobię – rzucam na odczepnego, a ona patrzy na mnie jak na wariatkę.

– W sensie że co? – pyta w końcu, świdrując mnie wzrokiem.

– Lęk przed otwartą przestrzenią – wyjaśniam, chociaż bynajmniej na to nie cierpię, a ruda parska śmiechem.

– Dziewczyno kochana, tu to się nie ma czego bać. Morze, plaża, no może czasem jakiś dzik zza drzew wyjdzie. Spacerować trzeba, cieszyć się życiem, a nie w pokoju gnić – poucza mnie, zapewne nie mając pojęcia, czym tak naprawdę bywa tego typu fobia i jak trudno ją przezwyciężyć.

– Może jutro – mówię, a ona z politowaniem kręci głową.

– Jutro to akurat sztorm ma być, wietrzysko łby będzie urywać, ale na krótki spacer zawsze można, byle dobrze się ubrać…

– Ma pani może komputer? – pytam nagle. – Chciałabym zerknąć na oferty pracy – kłamię, bo jedyne, czego chcę, to móc przejrzeć serwisy informacyjne.

– Mam, a co mam nie mieć? Ale gościom to raczej nie udostępniam… Teraz zresztą każdy ma jakieś laptopy, tablety czy inne zabawki.

– Laptop mi skradli, a muszę znaleźć jakąś pracę – brnę w kłamstwo.

– Ale czynsz za przyszły miesiąc jeszcze pani zapłaci? – Właścicielka domu opiera się o framugę drzwi i świdruje mnie spojrzeniem. – Porządna z pani dziewczyna, co? Nie pije, nie pali, po nocach się nie włóczy.

Mówi bardziej do siebie niż do mnie, ale wyczuwam, że zależy jej na mnie jako na lokatorce. Nic dziwnego, bo faktycznie żadnych ze mną problemów (przynajmniej jak do tej pory), a kasa płynie…

– Tędy – mówi po chwili namysłu i otwiera drzwi od jednego z pokoi na parterze, w którym stoi regał z książkami, stary fotel z wysokim zagłówkiem i biurko ze sklejki.

Na jego blacie widzę komputer. Nie jest najnowszy, ale działa i mam ochotę ucałować rudą za to, że okazała mi życzliwość.

– Książek lokatorom nie pożyczam – zarzeka się, kiedy czekając, aż uruchomi się sprzęt, przeglądam poustawiane na regale tytuły. – Już ze dwa Kingi do mnie nie wróciły i jeden Coben – dodaje. – Ale kilka przecznic stąd jest biblioteka – dodaje i posapując, siada w fotelu.

„Kurwa, serio?" – myślę. Wkurza mnie fakt, że gospodyni ewidentnie nie ufa mi na tyle, żeby zostawić mnie sam na sam ze swoim wiekowym sprzętem, ale kiedy udaje mi się wejść na Onet, szybko zapominam o jej niepożądanej obecności i przeglądam wiadomości z kraju, cofając się do kilku dni.

I nagle to widzę, nagłówek dosłownie wali mnie po oczach, na moment odbiera dech. *To nie Norbert N. zabił partnera wciąż ukrywającej się Zuzanny M.* – czytam i przecieram oczy ze zdumienia.

Po złożeniu kolejnych zeznań Norbert N. wciąż twierdzi, że zabójstwa doktora Adama F. dokonała jego kochanka, Wioleta W., była żona ofiary. Mężczyzna uparcie powtarza, że został zmanipulowany i obwinia kobietę o wplątanie go w całą tę aferę, jak się wyraził. Wskazał miejsce zbrodni, dzięki czemu policja weszła w posiadanie noża, którym zabito Adama F., i nadal twierdzi, że czynu, zresztą na jego oczach, dokonała Wioleta W., chcąc się zemścić na byłym mężu za lata bicia, poniżania i gwałtów. To zmienia rolę Zuzanny M., która obecnie zaczyna być postrzegana przez opinię publiczną bardziej jako ofiara niż ktoś, kto brał udział w perfidnie zaplanowanej ohydnej zbrodni z motywem finansowym w tle. Przypomnijmy, że jeszcze kilka dni wcześniej mnóstwo osób wierzyło, że to właśnie ona, wspólnie z Norbertem N., zaplanowała wyłudzenie dużej sumy i pozbawienie życia

swojego partnera, z którym mieszkała i dla którego pracowała. Sprawy przybrały jednak inny obrót, a Zuzanna… – Urywam czytanie w pół zdania, bo do oczu cisną mi się łzy, przez które niewiele widzę.

– Ja pierdolę – wyrywa mi się, a siedząca w fotelu ruda nerwowo się porusza. – Fatalne prognozy – dodaję, a ona ze zrozumieniem kiwa głową.

– Coś szybko ta jesień przyszła – zgadza się ze mną, ale ja już nie słucham.

– Dziękuję – mówię tylko i nie czekając na jej odpowiedź, wybiegam z pokoju, a później wychodzę przed dom, siadam na jednej z ławek pod ścianą i zaczynam płakać.

Ukryłam się i bałam się wrócić do domu, bo byłam pewna, że to Norbert zabił Adama. Myślałam, że wszyscy oskarżą mnie o współudział, będą węszyć spisek. Skoro jednak zabiła go Wioleta, wszystko wygląda inaczej, jej wina mnie wybiela. Nie spiskowałam z nią, nie miałyśmy ze sobą żadnego kontaktu. Nie licząc tamtego przypadkowego spotkania nad rzeką, nigdy się nie widywałyśmy, nie dzwoniłyśmy do siebie, nawet nie patrzyłyśmy w swoją stronę. „Zabiła, bo się nad nią znęcał. Bo ją bił, gwałcił i upokarzał" – mówię sobie i nagle czuję wstyd. „Więc jednak usiłowała mnie ostrzec. Wyznała, co jej zrobił, a ja wzięłam ją za ogarniętą jakąś chorą obsesją zazdrosną wariatkę" – dociera do mnie i czuję ból na myśl o jej losie.

Później przez chwilę się zastanawiam, dlaczego Norbert skłamał i wmówił mi, że to on zabił mojego faceta. Odpowiedź wydaje mi się prosta – zabiła Wioleta, a jednak chciał, żebym wierzyła, że to on jest mordercą. W ten sposób pragnął mi udowodnić, że dla mnie jest gotowy na wszystko. „Zabiłem dla ciebie, słyszysz?!" – nawet zamknięty przeze mnie w piwnicy trzymał się swojej kłamliwej wersji, chcąc okazać mi oddanie i lojalność. Dopiero w obecności prokuratora zamienił się w konfidenta i bez wahania wyznał prawdę, wskazując miejsce i narzędzie zbrodni – nóż, który z tego, co zrozumiałam, policja znalazła w jednej z przerdzewiałych metalowych rur leżących przy polnej drodze w okolicach nieczynnej fabryki, niecałe kilkanaście metrów od miejsca, w którym tamtej nocy szukałam Adama…

Pakuję się szybko, trochę ciuchów, plecak z kasą, kilka drobiazgów. Wychodząc z pokoju, przez chwilę patrzę w lustro i nie podoba mi się to, co widzę. Moje włosy są tłuste, czubek głowy „zdobi" ciemny odrost, rozjaśnione końcówki wydają się pozbawione życia i suche. Pod oczyma mam ciemne kręgi, cerę ziemistą, niemal szarą.

Schodzę na dół i szukam gospodyni. Znajduję ją w fotelu, czyta jakiś skandynawski kryminał i je chipsy – książka i tłusta przekąska, fatalne połączenie…

– Muszę zrezygnować z najmu – mówię, a ona z niedowierzaniem kręci głową.

– Kilka dni temu się wprowadziłaś – rzuca z wyrzutem, nagle zwracając się do mnie na ty.

– Tak, i opłaciłam cały miesiąc. Tę kasę pani zostawię, ale proszę o zwrot kaucji.

– No nie wiem, nie tak się umawiałyśmy. – Kobieta wyraźnie się waha, aż w końcu teatralnie wzdycha, wstaje i ciężko sapiąc, wychodzi z pokoju.

Wraca po chwili z kopertą.

– Dziękuję – mówię i uśmiecham się do niej, szeroko, promiennie, po raz pierwszy od dawna.

– Dbaj o siebie, dziewczyno – rzuca w ślad za mną.

* * *

Wracam do domu. Jadę długo, godzinami. Spocona, spragniona, zmęczona. Stopem, pociągami, pekaesem, w nieskończoność.

Wiem, że czekają mnie ciężkie chwile. Zeznania w prokuraturze, może jakieś zarzuty, ale wiem też jedno – nie mogę dłużej uciekać, chować się przed światem w cuchnących stęchlizną motelach czy oplatać się jak bluszcz wokół kolejnych przypadkowo poznanych facetów. Wtedy, w panice uciekając z domu Szymona, przeszło mi nawet przez myśl, żeby stuknąć tę wścibską staruchę z przeciwka i dalej się ukrywać pod jego gościnnym dachem, ale – pomijając niedorzeczność tego pomysłu – nie jestem kimś takim, nie ja. Może bywam egoistką, materialistką i cwaniarą, ale nie splamię rąk krwią niewinnej starszej kobiety tylko po to, żeby mieć bezpieczne schronienie.

Dochodzi piąta rano, kiedy staję przed domem Juliusza i mimo wczesnej pory wciskam dzwonek. Dziennikarz otwiera mi kilka minut później, wychodzi przed dom z potarganymi po nocy włosami, ale wyraźnie podekscytowany moim widokiem.

– To znowu ty? – Uśmiecha się, otwierając furtkę.

– Znowu ja.

– Niepotrzebnie wtedy uciekłaś – wyrzuca mi, kiedy wchodzimy do domu.

Ściągając kurtkę, pytam go o jego psa, o którym mi czasem opowiadał, a przez twarz Juliusza przebiega grymas bólu.

– Wpadł pod auto dwa tygodnie temu – wyjaśnia.

Wtedy wybucham płaczem, a on obejmuje mnie i długo do siebie tuli.

– Już wszystko dobrze – powtarza, gładząc moje włosy, plecy i ramiona. – Wszystko będzie dobrze. Jeśli będzie trzeba, załatwię ci adwokata, znam kogoś, kto chętnie weźmie twoją sprawę pro bono.

– Myślisz, że pójdę siedzieć? – pytam, a on przecząco potrząsa głową.

– Nawet jeśli usłyszysz jakieś zarzuty, to nie może być nic poważnego. Pomijając mało chwalebny incydent na szosie, twoim jedynym grzechem jest wybieranie niewłaściwych facetów – pociesza mnie.

– Zostawiliśmy go tam. W lesie, zalanego krwią, zdanego na…

– On żyje i ma się dobrze. W areszcie dostaje ciepłe żarcie, pryczę i mnóstwo czułej państwowej opieki – wchodzi mi w słowo Juliusz.

– Równie dobrze mógł nie przeżyć. Adam był pijany, kiedy go potrącił, a później…

– Właśnie, Adam, nie ty. Adam, słyszysz? To on był pijany i on, będąc lekarzem, bezdusznie porzucił rannego człowieka przy drodze. Na moje oko dostaniesz wyrok w zawieszeniu, o ile o cokolwiek cię oskarżą. Mają już przecież sprawców, wszystko się wyjaśniło, a ty, pomijając własne zaginięcie, nie odgrywałaś żadnej z głównych ról w całym tym cyrku. – Juliusz sadza mnie za stołem i stawia na kuchence staroświecki emaliowany czajnik, który po chwili zaczyna cicho, przyjaźnie szumieć. – Twoja mama nie pije. – Uśmiecha się. – Odkąd zniknęłaś, jest trzeźwa. Pogoniła swojego faceta i czeka na ciebie w domu.

– Nie pierwszy raz odstawiła flaszkę, żeby później szybko do niej wrócić. – Krzywię się, jednak myśl o tym, że jednak coś dla mnie zrobiła, jest wyjątkowo kojąca.

Po kawie, szczerej dwugodzinnej rozmowie i zjedzonej na werandzie chałce z makiem Juliusz pakuje do bagażnika moją walizkę i odwozi mnie do domu.

Kiedy zatrzymujemy się przy furtce, widzę mamę – mimo że jesienny poranek jest mglisty i chłodny, siedzi na składanym krzesełku w ogrodzie i w narzuconej na ramiona kurtce pije kawę, spoglądając na ulicę, zupełnie jakby kogoś wypatrywała. Na nasz widok wstaje, ciska kubek w trawę i pędzi w naszą stronę, głośno szlochając.

– Mamo, przepraszam – mówię, kiedy mnie obejmuje.

– To ja cię, Zuzanko, przepraszam. Nie opiekowałam się tobą zbyt dobrze, zawsze to wódka była ważniejsza – przyznaje i obie głośno łkamy, nie potrafiąc się od siebie oderwać.

Kiedy w końcu wchodzimy do domu, wzruszone i zapłakane, matka sadza mnie za stołem i pyta, czy jestem głodna.

– Jasne. – Uśmiecham się, odnotowując przy okazji odmalowane kuchenne ściany, czyste blaty szafek, które latami oblepiał brud, i wazon z jesiennymi kwiatami.

– Wiem, że mi nie wierzysz, ale tym razem to już na stałe. Koniec z wódką, słyszysz? – mówi, stawiając przede mną talerz z kanapkami. – Znalazłam nową pracę. Sprzątam dom kultury, trochę szyję dla sąsiadek, jest dobrze. Wiem, że jeśli tym razem wrócę do wódy, więcej mi nie wybaczysz – dodaje.

„Wybaczę. Wybaczałam ci przez lata, jesteś moją matką” – myślę, ale nic nie odpowiadam.

Kanapki są pyszne, kawa też. Jem, biorę prysznic i kładę się do łóżka, chcąc odespać spędzone w podróży godziny i chociaż na moment zapomnieć o całym cholernym świecie.

Zasypiając, myślę o Wiolecie i o tym, jak podle potraktowałam ją wtedy, nad rzeką. A ona przeżyła piekło… Później, po dwugodzinnej drzemce, włączam stary komputer, z którego korzystałam lata temu, w liceum, i błogosławiąc w duchu starszego sąsiada, który sprzedał go nam wtedy dosłownie za grosze, przeglądam Onet, Interię i Wirtualną Polskę. Na Onecie nie znajduję jednak nic nowego. Interia też milczy w interesującym mnie temacie, za to Wirtualna Polska zamieściła rozległy wywiad z przebywającą w areszcie Wioletą.

Widok jej zdjęcia sprawia mi ból. Jeśli prawdą jest to, co mówiła, a co do tego nie mam już wątpliwości, być może nawet ta kobieta uratowała mi życie. „A ja nie chciałam jej nawet wysłuchać” – wyrzucam sobie, przebiegając wzrokiem jej szokujące opowieści o domowym piekle, jakie stworzył jej mąż. „I to wszystko w naszym mieszkaniu” – myślę i zaczynam płakać. Przecież wiedziałam, że Adam bywa agresywny i często nad sobą nie panuje. Szarpał mnie, wyzywał, aż w końcu uderzył, a ja nadal go broniłam! „Kim ja jestem?” – zastanawiam się, nie potrafiąc oderwać wzroku od uwiecznionej na kolorowej fotografii zmęczonej twarzy Wiolety.

Mówię o tym otwarcie, żeby pomóc innym kobietom. Nie tolerujcie żadnej formy domowej przemocy i nie pozwólcie sobie wmawiać, że skoro mąż, to nie gwałci. Gwałt, przemoc fizyczna czy psychiczna są złe zawsze, bez względu na to, kto się ich dopuszcza. Szukajcie pomocy i zwracajcie uwagę na to, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami mieszkań waszych sióstr, przyjaciółek czy koleżanek z pracy. Kobiety maltretowane latami krzyczą bezgłośnie, ale ktoś, kto naprawdę chce ten krzyk usłyszeć, w końcu go usłyszy… Czytam końcówkę wywiadu i wiem, że jestem winna Wiolecie coś, o czym nigdy wcześniej bym nie pomyślała – odwiedziny. „Teraz, kiedy tyle poświęciła, muszę jej wysłuchać” – mówię sobie.

Resztę dnia spędzam w domu, bezpiecznie odgrodzona od świata świeżo pomalowanymi kuchennymi ścianami. Wiem, że w końcu będę musiała zgłosić się na policję i złożyć zeznania w prokuraturze, ale w tej chwili chcę nacieszyć się domem, miłością w oczach matki, która dawno nie patrzyła na mnie tak przytomnie, i zapachem drożdżowego ciasta, które wstawiła do piekarnika.

Nagle myślę o Szymonie. Pojawia się w mojej głowie znienacka, wspomnienie jego ciepłych piwnych oczu eksploduje pod moją czaszką i sprawia ból w sercu. Naprawdę go polubiłam. I chociaż wiem, że to szaleństwo, kwadrans później wybieram jego numer.

Jego firmę znalazłam w sieci, a na jej stronie jego zdjęcie. Na głowie ma żółty kask, w ręku trzyma wiertarkę. Oczy mu się śmieją, nawet w pomarańczowej roboczej kamizelce wygląda całkiem nieźle. Wybierając ostatnie cyfry numeru, wstrzymuję oddech.

– Tak? – rzuca do słuchawki, a ja w panice się rozłączam.

„Nie, to nie jest dobry pomysł" – myślę. Ale chociaż przez dłuższą chwilę chce mi się płakać, wiem, że rozłączając się, postąpiłam słusznie. „To miły facet, jeden z niewielu, których ostatnio polubiłam. Zasłużył na coś lepszego niż kompletnie pochrzaniona emocjonalnie dziewczyna z trupami w szafie i całą tą aferą w tle" – mówię sobie, odkładając telefon na stół.

– Do kogo dzwoniłaś? – dziwi się matka.

– Do Kamili, ale nie odebrała – kłamię.

– Tej z gabinetu? Wyjechała, jest w Londynie – oświeca mnie rodzicielka. – Stomatologia zamknięta na głucho, kamienica wystawiona na sprzedaż, to pofrunęła w szeroki świat – dodaje, a ja czuję lekkie ukłucie zazdrości.

„Londyn, moje dawne marzenie" – myślę, szybko jednak wyrzucam z serca zawiść. Londyn to dobre miejsce na nowy początek, a każda z nas na niego zasługuje. Również Kamila z całym tym swoim irytującym wścibstwem. Uśmiecham się pod nosem.

Ciasto jest pyszne, przypomina mi szczęśliwe chwile, pachnie prawdziwym domem.

– Mamo… – mówię cicho, kiedy obie siadamy za stołem.

– Tak, Zuzanko? – pyta, gładząc mnie po głowie.

– Myślisz, że będę umiała sobie wybaczyć? No wiesz, to, co się stało na drodze i…

– Z czasem na pewno, córeczko. Ludzie robią wiele złych rzeczy, o wiele gorszych niż to, co zrobiłaś ty. Nie usprawiedliwiam cię, stwierdzam jedynie fakt – matka wchodzi mi w słowo i zakłada mi za ucho włosy. – Koszmarnie wyglądasz w tej platynie – mówi, a ja parskam śmiechem.

– Byłam poszukiwana, nie wymagaj zbyt wiele – rzucam z pełnymi ustami.

Chwilę później mam ochotę opowiedzieć jej o Szymonie, naszej krótkiej, ale intensywnej znajomości i tańcu na rurze w pełnym pijanych, wulgarnych kolesi klubie, który czasem jeszcze mi się śni, ale szybko rezygnuję z tego pomysłu. Pewne rzeczy lepiej zachować dla siebie. Niemal wszyscy idą przez życie, ciągnąc za sobą ciężar mniej lub bardziej ponurych sekretów, dlaczego ja miałabym być chlubnym wyjątkiem? Zresztą to przecież nic takiego, krótki epizod w moim pogmatwanym, pełnym kolein życiu.

Dzień później zgłaszam się na policję. Boję się, ale wiem, że to koniec uników. Nie mogę dłużej się ukrywać. Już nie.

28.
WIOLETA

Żałuję, że zabiłam Adama, ale tylko ze względu na własne zmarnowane życie. Tego, że uwolniłam świat od zwyrodnialca, żałować nie zamierzam. Wyrzucam sobie za to, że lepiej tego nie przemyślałam… Działałam bez planu i głupio przez to wpadłam. Norbert to szuja, wydał mnie bez wahania, momentalnie dogadał się z prokuraturą. Dał im wszystko, pokazał nawet miejsce, w którym to zrobiliśmy, dzięki czemu odnaleźli narzędzie zbrodni. Jestem na niego wściekła, chociaż wiem, że to nie do końca jego wina. To był mój plan i moja chęć odebrania życia byłemu mężowi sadyście. On miał być jedynie moimi rękoma, ale koniec końców zrobiłam to sama. Zawsze radziłam sobie sama, odkąd pamiętam. Dziewczynka z kluczem na szyi wyrosła na kobietę, która bierze sprawy w swoje ręce bez względu na konsekwencje…

Więzienie jest straszne, ale ten strach z czasem można oswoić. Kiedy człowiek wpada w tutejszą rutynę, najgorsze lęki bledną, pozwalają się okiełznać, znikają jak rozpraszające się w promieniach porannego słońca potwory spod dziecięcych łóżek.

Dostałam osiem lat. Zabiłam z zimną krwią, ale pojawiły się okoliczności łagodzące. Tak to chyba nazywają. Prokuraturze nie spodobało się to, że początkowo zleciłam zabójstwo Adama Norbertowi. Gdyby im tego nie powiedział, być może mój wyrok byłby niższy… Mogłabym twierdzić, że pojechałam tam z nim dla bezpieczeństwa i dopiero widok byłego męża sprawił, że puściły mi nerwy. A skąd miałam nóż? Był w aucie, nie mój. Nie, nie planowałam tego, wysoki sądzie… Mogłabym kłamać, ale czy na pewno by mi to pomogło? I czy potrafiłabym?

Nocami źle sypiam, odrzuca mnie to, co mnie otacza. Duchota ciasnej celi, wszechobecność współosadzonych, ich ciężkie oddechy wypełniające każdy zakątek pomieszczenia. Kiedy już udaje mi się zasnąć, często się budzę i w panice rozglądam po celi. Kilka nocy wcześniej jedna z kobiet, szczupła, siwiejącą na skroniach więźniarka po czterdziestce, chciała mnie namówić na seks, ale ostro odmówiłam. Więcej nie zapytała, nie usiłowała też dostać niczego siłą, co przyjęłam z wdzięcznością. „Żaden człowiek nie powinien być dotykany wbrew jego woli, nawet w tak plugawym miejscu jak to” – mówię sobie, bezsennie patrząc w niewielkie zakratowane okno.

Kilka miesięcy temu odwiedziła mnie Zuzanna. W jej oczach dostrzegłam poczucie winy i litość, ale wcale ich nie potrzebowałam. Nie zabiłam go dla niej. Zrobiłam to dla siebie, w odwecie za to, że zamienił moje życie w piekło.

Czasem myślę o martwym Adamie, jego toczonej przez tłuste larwy odłażącej od czaszki skórze twarzy i diabolicznie uśmiecham się w ciemnościach. Może i jestem tutaj, w tym ponurym, zatęchłym gmaszysku, ale ja, w przeciwieństwie do niego, wciąż jeszcze widuję słońce, czuję na twarzy podmuchy wiatru i marzę o przyszłości.

Mój prawnik mówi, że mam szansę wyjść nieco wcześniej, jeśli będę się dobrze zachowywać. Czasem mu wierzę i w przypływie desperackiej nadziei szybuję myślą w przyszłość, do dnia, w którym mnie stąd wypuszczą. A później dociera do mnie, gdzie jestem i co mnie otacza… Wszystkie te kobiety… Jest w nich wściekłość, gniew, rozpacz i ból. Nie każda z nich jest agresywna, ale wiele specjalnie szuka zaczepki, prowokuje bójki i chce wciągnąć inne osadzone w kłopoty. Są ostre, harde, sprytne i bezwzględne. Morderczynie, dzieciobójczynie, złodziejki – spotykam je każdego dnia, mijam je w korytarzach, nigdy nie patrząc im w oczy, i za każdym razem po plecach przebiega mi dreszcz. „Zabiły z zimną krwią” – myślę i dopiero chwilę później dociera do mnie, że przecież ja też. Planowałam to, śniłam o tym, marzyłam i zrobiłam. Wspomnienie ostrza przecinającego szyję Adama wciąż jest intensywne, nawet mimo upływającego w celi czasu, myśląc o tym, dosłownie czuję żelazisty zapach krwi, a później słyszę w głowie jego ohydne, przedłużające się w nieskończoność rzężenie i pełne przerażenia krzyki Norberta, który – chociaż wziął ode mnie połowę kasy za mokrą robotę i obiecał, że własnoręcznie się go pozbędzie – ostatecznie chyba nie byłby w stanie zabić mojego byłego męża. Ale może go nie doceniam? Nie dałam mu w końcu wiele czasu i szansy, żeby się wykazać… Uśmiecham się pod nosem, przewracając się na wąskiej dolnej pryczy. Może w końcu by to zrobił i cała wina spadłaby na niego, a ja nie tkwiłabym teraz w cuchnącej potem dusznej celi? Może… Chociaż, wiedząc, jak ochoczo wsypywał mnie przed prokuratorem, wątpię, że wywinęłabym się z tego.

Chciałam śmierci mojego kata i ją dostałam. Teraz muszę zapłacić za to, że odebrałam komuś życie, nawet jeśli ten ktoś był zwykłym ścierwem. Ale jeśli to ma być cena za uwolnienie świata od potwora, to dobrze, niech i tak będzie. Tkwię tu, odcięta od świata, samotna i przerażona, ale on nie skrzywdzi już żadnej kobiety!

Nagle myślę o Alicji. Jego matka nigdy nie okazała mi serca i nawet teraz, wyobrażając ją sobie, udręczoną i pochyloną nad grobem syna, nie umiem powstrzymać uśmieszku satysfakcji. „Zasłużyłaś sobie na to, ty suko. Gdybyś choć raz była mi życzliwa, kto wie, może nie zabiłabym ci syna?” – myślę.

Później zasypiam. Śni mi się Adam. Jest rozjuszony, wpadł w jeden z tych swoich amoków, podczas których zupełnie nad sobą nie panuje. Bije mnie po twarzy, szarpie za włosy, wyzywa od zdzir i głupich kurw. Budzę się z płaczem i zaciśniętym gardłem, ale szybko się uspokajam.

On już mnie nie skrzywdzi.

Nigdy.

Był głupim sadystycznym chujem, teraz jest trupem.

Szach-mat, posprzątane.

KONIEC

Pobrano ze strony exsites.pl